ŻYCIE PO PROTESTACH
Konstytucja, sądy, szkoła: teraz apatia, wkrótce wybuch

ZMIANA WYZNANIA
Dlaczego odchodzą od katolicyzmu

BAJKA O LAJKACH
Kosiński: to nie algorytmy wami manipulują

HUK I SKAMLENIE
Tajemnica korespondencji Eliota

Kraków 2 lutego 2020 nr 5 (3682) cena 8 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne www.TygodnikPowszechny.pl

Elżbieta jest wielka

Jak trening uczynił królową

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

Już w środę 5 lutego!
Premiera — nowe wydanie specjalne!

Siedzisz ileś tam lat na kanapie przed telewizorem, jedząc w depresji lody z pudełka, a tu nagle wstajesz i walczysz. Odzyskujesz samostanowienie.

Dorota Masłowska

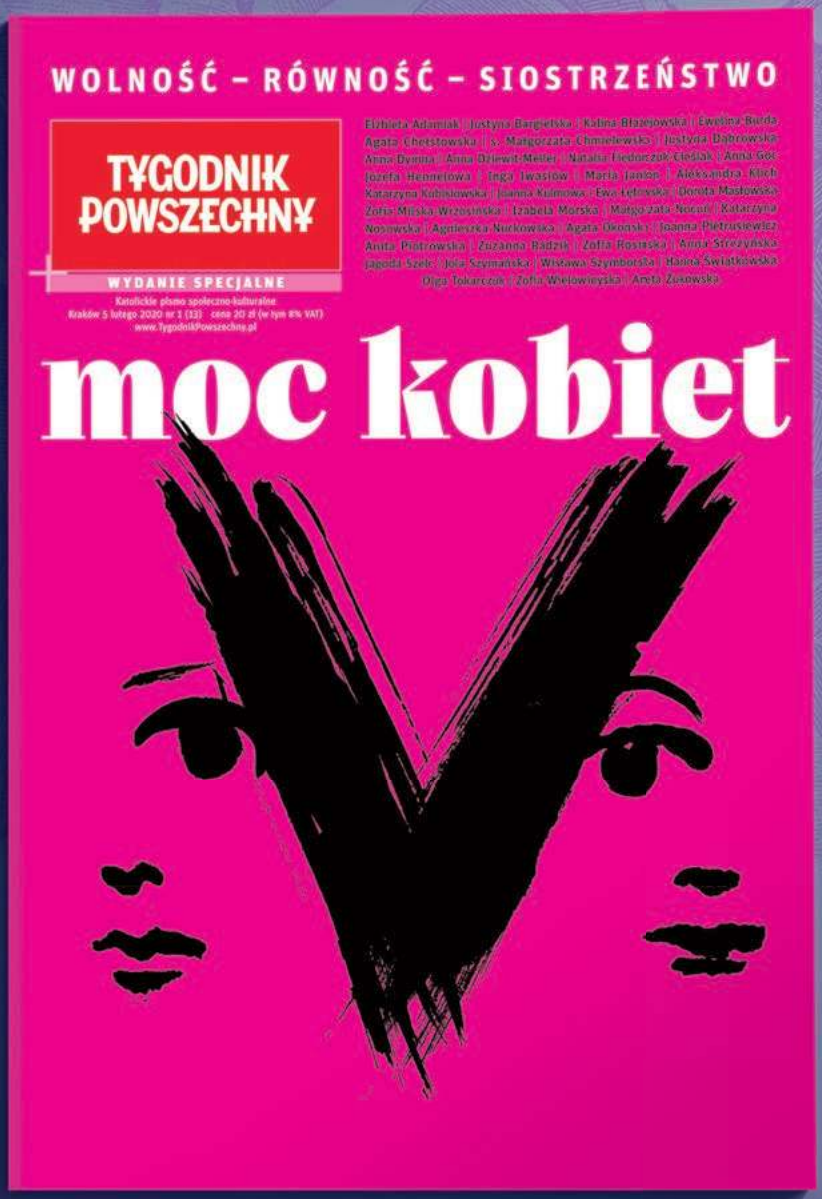

„Moc kobiet" – już od środy 5 lutego w sklepach z dobrą prasą i na powszech.net/mockobiet

weź, czytaj!

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY // FOT. GRAŻYNA MAKARA // GRAFIKA NA OKŁADCE: MIECZYSŁAW WASILEWSKI

KS. ADAM

Boniecki: *Nie cieszę się, że odchodzą*

Chciałbym móc powiedzieć – jak księżа w zamieszczonym w tym numerze artykule Marcina Chodunia – że „bardzo się cieszę, iż osoby odchodzące z Kościoła katolickiego nie trafiają w próżnię, tylko w dobre ręce" (tj. do Kościoła ewangelickiego). Zgoda: lepiej, że tam, niż gdyby miały trafiać w pustkę. Owo „tam" ładnie opisał ks. Roman Pracki, proboszcz luterańskiej parafii w Krakowie: konwersja to nie zmiana domu, a tylko zmiana pokoju na taki, „w którym się czują bardziej u siebie".

Ale z tego, że odchodzą, „bardzo się cieszyć" nie umiem. Choć nie jest to eksodus masowy, to wzrastająca z roku na rok liczba osób odchodzących z Kościoła katolickiego do innych Kościołów chrześcijańskich mnie niepokoi.

Czemu w Kościele katolickim nie czują się u siebie? Chociaż odpowiedzi cytowane w artykule Marcina Chodunia to zaledwie przykłady, bo kompleksowych badań nie ma, to jednak można podejrzewać, że odchodzą, bo w Kościele katolickim nie znajdują klimatu przyjaznego przeżywaniu wiary.

Oczekują, że takim miejscem będzie wspólnota wierzących. Wielkomiejska parafia, z niedzielnymi mszami odprawianymi co godzinę przy wypełnionym kościele, nie sprzyja tworzeniu się więzi. Zwykle w tych parafiach istnieją różne wspólnoty, lecz nie każdy się w nich odnajduje. Do tego dochodzi nawarstwiająca się przez stulecia katolicka obrzędowość. Od dzieciństwa przywykliśmy do niej, jak do śpiewów czy wystroju i dekoracji (w lepszym lub gorszym stylu) naszych kościołów. Obrzędy i wystrój mają służyć religijnemu skupieniu, tymczasem przeniesione z innych epok nabożeństwa, wnętrza ozdabiane na wzór pałaców lub domów kultury nużą, przytłaczają, czasem rażą i odpychają.

Jednak odchodzący wyznają, że nie w tym leży największa trudność. Kłopot sprawia im nasz sposób rozumienia i praktykowania chrześcijaństwa. W ich deklaracjach nie ma agresji wobec Kościoła katolickiego, jest raczej rozczarowanie. W sposobie funkcjonowania kościelnych struktur, w agresywnych, wykluczających postawach i wypowiedziach ludzi Kościoła, w całym naszym (katolików, nie tylko księży) zachowaniu nie znajdują ewangelicznego ciepła i miłości chrześcijańskiej.

To smutne i odległe od moich własnych doświadczeń z młodości, z czasów bliższego poznawania Kościoła. Wtedy zachwyciła mnie jego otwartość, odwaga i miłość do ludzi. Mistrzami środowisk, z którymi się wtedy spotkałem, byli ks. Jan Zieja i ks. Bronisław Bozowski, a później jeszcze bp Jan Pietraszko. W tym Kościele nie było śladu bizantynizmu. Byli świadkowie ewangelicznej miłości wychodzącej daleko poza świat „pobożnych katolików", niestroniącej także od tych, których wtedy uznawało się za publicznych grzeszników (rozwodników, ateistów, wolnomyślicieli itd.).

Poznałem też wtedy wspólnotę ludzi, którzy uwierzyli Ewangelii. Tak wtedy postrzegłem zgromadzenie, do którego wstąpiłem. Niewielkie, pokorne bez imponujących klasztorów i historycznych osiągnięć jak benedyktyni czy dominikanie, byli gotowi iść tam, gdzie Chrystus jest najmniej znany i kochany, dokąd nikt inny się nie wyrywał.

Z wchodzeniem do (każdej) wspólnoty jest tak, że oglądana z zewnątrz porywa nas swoim urokiem. Jednak po wejściu we wspólnotę, po okresie pierwszej euforii, otwierają się oczy. Dostrzegamy rysy na ideale, odkrywamy, że nie wszyscy są cudowni, nie wszystko jest piękne. Więc rozczarowanie, chęć odejścia, moment decydujący o przyszłości.

Jeśli kładąc rękę na klamce się zatrzymam, jeśli spojrzę na siebie i spytam: „A ty jesteś lepszy?"... Ja tak miałem. ©℗

Z tym numerem – jubileuszowy prezent dla Prenumeratorów

Weź pióro i pisz.
O dalszy ciąg się nie martw.
Dalszy ciąg nastąpi.

ks. Adam Boniecki, fragment wstępu

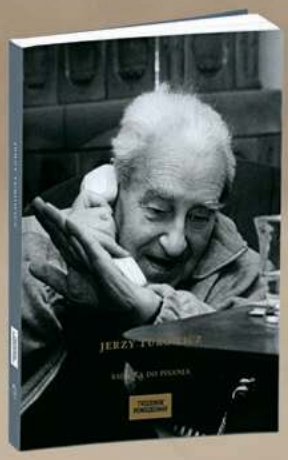

W marcu 2020 roku świętujemy 75-lecie „Tygodnika Powszechnego"

Z tej okazji wszyscy nasi Prenumeratorzy wraz z tym numerem otrzymują jubileuszowy prezent. „Jerzy Turowicz. Książka do pisania. 75 lat Tygodnika Powszechnego" – to ilustrowany notes z archiwalnymi fotografiami i fragmentami tekstów wieloletniego redaktora naczelnego pisma.

Dziękujemy za Waszą obecność! Redakcja

Jak kupić prenumeratę? – patrz str. 83

WYDAWCA: TYGODNIK POWSZECHNY, AUSTERIA

PARTNER WYDANIA: FUNDACJA JERZEGO TUROWICZA

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

22 W oczekiwaniu na wybuch
PAWEŁ MARCZEWSKI
Podważanie niezależności sądownictwa wyzwoliło energię ulicznych demonstracji, ale efektywnym hamulcem okazały się instytucje unijne. W tej sytuacji łatwo o frustrację i coraz trudniej o kolejne mobilizacje.

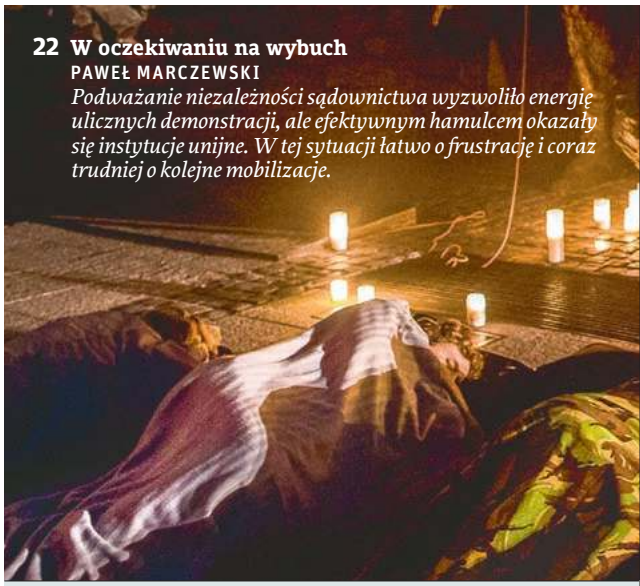

32 Inny pokój
MARCIN CHODUŃ
Katolicy zostają protestantami, nie brak zmian na prawosławie, bywają też konwersje na katolicyzm. Dlaczego tak się dzieje?

45 Polityczne deale w cieniu Zagłady
KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET Z TEL AWIWU
Nawołując w czasie izraelskich obchodów 75. rocznicy wyzwolenia Auschwitz do szacunku wobec ofiar Zagłady, premier Netanjahu sam potraktował je instrumentalnie. Nie pierwszy raz.

58 Tę wojnę już przegraliśmy
Z MICHAŁEM KOSIŃSKIM, PSYCHOLOGIEM, ROZMAWIA DARIUSZ ROSIAK:
Wykorzystanie informacji o ludziach, utrata prywatności, manipulowanie zachowaniami – to wszystko było z nami przed Facebookiem.

64 Córka dancingu
ROZMOWA Z AGNIESZKĄ SMOCZYŃSKĄ, REŻYSERKĄ:
U nas w domu imprezowało się w każdy weekend. A sylwester był dla moich rodziców najważniejszym dniem w roku. Antidotum na szarość.

78 Hiacyntowa dziewczyna
MAGDA HEYDEL
Thomas S. Eliot, poeta, którego twórczość wywarła zasadniczy wpływ na rozwój literatury w XX wieku, a także na sposoby jej odbioru i rozumienia, przez niemal trzydzieści lat pisał listy do szerzej nieznanej panny Emily Hale.

JĘDRZEJ NOWICKI / AGENCJA GAZETA // JACEK TARAN // GORM K. GAARE // PRINCETON UNIVERSITY // ZUZA KRAJEWSKA / WARSAW CREATIVES // ALEXEI NIKOLSKY / TASS / FORUM

6 Jeden kraj, dwa systemy ANDRZEJ STANKIEWICZ

7-11 Wiadomości / Komentarze

20-21 Czytania / Widzenia ABP GRZEGORZ RYŚ / PAWEŁ ŚPIEWAK / O. WACŁAW OSZAJCA / PIOTR SIKORA

KRAJ

22 W oczekiwaniu na wybuch PAWEŁ MARCZEWSKI

26 Powolne kruszenie nauczyciela MONIKA OCHĘDOWSKA

28 Lanolinę wcieraj na ciepło MAREK RABIJ: *Lodowate wody Rafała Ziobry*

WIARA

32 Inny pokój MARCIN CHODUŃ

36 Omijając źródło KS. ANDRZEJ DRAGUŁA: *Coraz więcej moich przyjaciół i znajomych rezygnuje z uczestnictwa w mszy. To mój ból duchowy jako księdza*

39 Plaża zamiast pielgrzymki MARCELINA SZUMER-BRYSZ: *Dlaczego Polacy już nie pielgrzymują do Turcji*

ŚWIAT

42 Albo życie, albo sprawiedliwość MONIKA ANDRUSZEWSKA Z KIJOWA *Ukraińscy jeńcy wojenni wracają do domów*

45 Polityczne deale w cieniu Zagłady KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET

46 Pierwszy test w Pasie Rdzy JAN SMOLEŃSKI: *Wyłanianie kontrkandydata dla Trumpa wchodzi w kluczową fazę*

TEMAT TYGODNIKA

GEOFF PUGH / GETTY IMAGES

12 Trening czyni królową

MARCIN ŻYŁA

Rankiem po brexicie mgła nad Kanałem znów zasłoni Brytyjczykom kontynent. Świat się jednak nie skończy, bo wciąż rządzić będzie ona.

18 Jak z ulgą zdjąć spodnie na scenie

MAREK RABIJ

Zmarły właśnie Terry Jones zdążył się wcielić w niemal wszystkie kluczowe byty brytyjskiej tożsamości. To, że brexit nastąpi kilkanaście dni po jego pogrzebie, nie może doprawdy być dziełem przypadku.

FELIETONY

31 ANNA DZIEWIT-MELLER
63 WOJCIECH BONOWICZ
77 PAWEŁ BRAVO
82 STANISŁAW MANCEWICZ
82 BARTOSZ MINKIEWICZ

Okładka: ELŻBIETA II
FOTOGRAFIA LICHFIELD ARCHIVE / GETTY IMAGES
Redaktor prowadzący: MICHAŁ KUŹMIŃSKI

49 Przerwany występ ROMAN HUSARSKI Z SEULU: *Samobójstwa w koreańskim show-biznesie*

51 Barca albo śmierć JAKUB MEJER Z SENEGALU *o młodych, którzy decydują się na ryzykowną podróż do Europy*

HISTORIA

54 Dobry sułtan z Muskatu WOJCIECH JAGIELSKI: *Przywódca Omanu, zmarły niedawno sułtan Kabus, cierpliwie godził zwaśnionych i służył mądrą radą*

57 Misja Jana Sehna PIOTR LITKA *o książce „Jan Sehn. Tropiciel nazistów" Filipa Gańczaka*

NAUKA

58 Tę wojnę już przegraliśmy ROZMOWA Z MICHAŁEM KOSIŃSKIM

KULTURA

64 Córka dancingu ROZMOWA Z AGNIESZKĄ SMOCZYŃSKĄ

68 Prosto i z krzykiem DARIUSZ KOSIŃSKI: *Lech Raczak nie miał w sobie nic z legendy i nic z kombatanta*

72 Jeszcze nowsze terytoria JAN BŁASZCZAK: *Jako urodzony improwizator Wacław Zimpel nie lubi czuć się zbyt pewnie*

74 Bomba zegarowa ANITA PIOTROWSKA *o filmie „1917" Sama Mendesa*

76 Przed katastrofą LEKTOR *o „RuRu" Joanny Rudniańskiej*

ZMYSŁY

78 Hiacyntowa dziewczyna MAGDA HEYDEL

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Woś się jeży

Roboty trzeba opodatkować. Są na to dobre sposoby – *pisze w autorskim cyklu* **RAFAŁ WOŚ** *i zauważa, że polski rząd zamierza zrobić coś dokładnie przeciwnego – chce do robotyzacji dopłacać* **tygodnikpowszechny.pl/wossiejezy**

Biblia, Bóg i bicie dzieci

W księgach Pisma Świętego można znaleźć cytaty zachęcające do kar cielesnych. To nie jest jednak Jego słowo – *o oburzającej publikacji, która zaleca bicie dzieci i uzasadnia je odwołaniami do objawienia biblijnego, pisze* **PIOTR SIKORA** **powszech.net/bicie-biblia**

/TygodnikPowszechny ▪ /Tygodnik ▪ /Tygodnik ▪ YouTube /TygodnikPowszechny

OBRAZ TYGODNIA

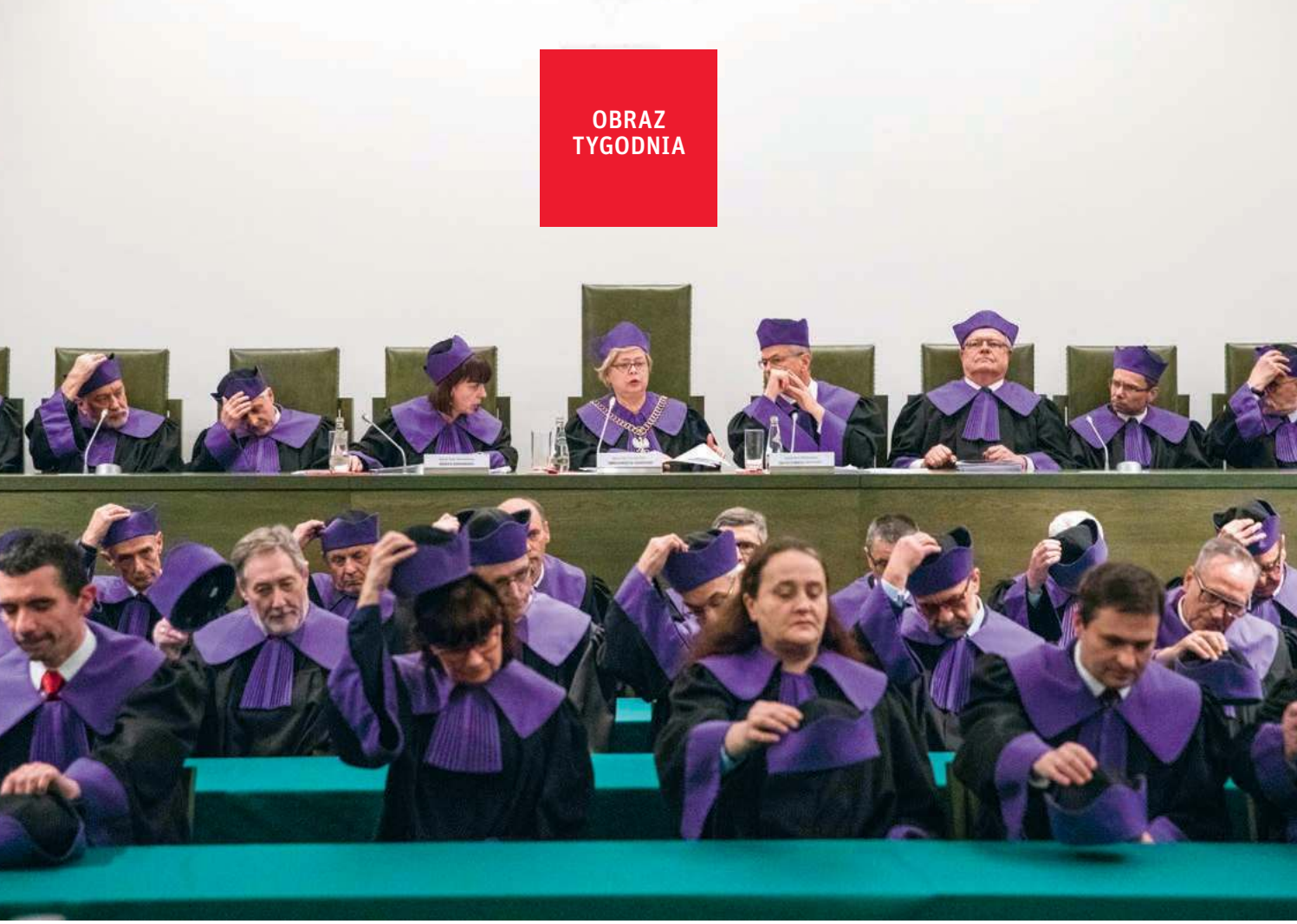

ANDRZEJ IWAŃCZUK / REPORTER

JEDEN KRAJ, DWA SYSTEMY

Wiara w to, że precedensowa uchwała trzech izb SN położy kres chaosowi prawnemu w wymiarze sprawiedliwości, jest złudna. Może raczej ów chaos pogłębić.

ANDRZEJ STANKIEWICZ

Tak zwane stare izby Sądu Najwyższego – czyli stworzone i obsadzone przed dojściem PiS do władzy – podjęły uchwałę w sprawie legalności działań Krajowej Rady Sądownictwa, wybierającej i awansującej sędziów. Niemal 60 prawników z Izb Karnej, Cywilnej oraz Pracy uznało, że nowa KRS – zdominowana przez ludzi związanych z PiS – wybiera sędziów w wadliwy sposób. Uchwała nie pozbawia ich jednak statusu sędziowskiego i nie podważa ich dotychczasowych wyroków. Uznaje za to, że należy zbadać, czy są oni niezależni. O ile tacy sędziowie mogą kontynuować swe sprawy karne, to cywilnych nie.

Obóz władzy wszelkimi sposobami usiłował nie dopuścić do tej rozprawy. Przybierało to czasem formy karykaturalne – jak wówczas, gdy skierowany przez Zbigniewa Ziobrę do SN sędzia Kamil Zaradkiewicz próbował jednoosobowo zawiesić niektóre przepisy ustawy o Sądzie Najwyższym.

Posiedzenie trzech izb Sądu Najwyższego. Warszawa, 23 stycznia 2020 r.

Ostatecznie PiS wybrał dwie metody. Najpierw Sejm wystąpił do Trybunału Konstytucyjnego w sprawie rzekomego sporu kompetencyjnego z Sądem Najwyższym, by wierna PiS szefowa TK Julia Przyłębska mogła oznajmić, że do czasu decyzji Trybunału zabrania Sądowi Najwyższemu zajmować się sprawą.

Z tego też względu Zbigniew Ziobro uznał uchwałę za nielegalną – bo podjęto ją mimo zakazu Przyłębskiej. Premier poszedł inną drogą: on z kolei zaskarżył do TK przepisy, na podstawie których SN podjął uchwałę. Choć to wersje niespójne – skoro uchwała jest nieważna, to po co kwestionować przepisy wykorzystane do jej podjęcia – to widać wyraźnie, że cel jest wspólny: wykorzystać Trybunał, by uchwałę podważyć i jej nie respektować.

Z tego względu wiara w to, że po decyzji Sądu Najwyższego cokolwiek w polskim wymiarze sprawiedliwości się wyjaśniło, jest złudna. W dodatku sama uchwała sędziów najwyższych ma wiele luk. Przyjęta wykładnia redukuje do miana sędziów gorszego sortu np. młodych prawników, którzy z racji daty urodzenia, a zatem chwili rozpoczęcia kariery, akurat trafili ze swoją nominacją na KRS już obsadzoną przez obóz władzy. Podobnie ze starszymi prawnikami, którzy co prawda sądzą od lat, ale – znów, ze względów metrykalnych – dostali od obecnej KRS awans do sądu wyższej instancji. Teraz wszyscy oni będą się musieli poddać niejasnej procedurze weryfikacji: sądy wyższych instancji ocenią ich status podczas rozpatrywania odwołań od ich wyroków.

Takich wątpliwości jest znacznie więcej. Sędziowie uznali za całkowicie nielegalną nową Izbę Dyscyplinarną SN, obsadzoną przez ziobrystów. Ale to oznacza, że praktycznie przestaje istnieć system dyscyplinarny sędziów, prokuratorów i adwokatów. Podważony został także status sędziów innej nowej izby – Kontroli Nadzwyczajnej (tu dominują ludzie Andrzeja Dudy). No to kto w takim razie podejmie decyzję o ważności wyborów prezydenckich, które już za cztery miesiące?

Optymiści – jak były wiceszef TK Stanisław Biernat – mówią: nie ma problemu, wracamy do porządku prawnego sprzed PiS. Nie tak łatwo. Nie uznając uchwały Sądu Najwyższego, obóz władzy nie uzna także powrotu do dawnych rozwiązań – tym bardziej że sam z premedytacją je zmienił. A to oznacza w praktyce dwa systemy prawne w Polsce.

Sędziowie muszą teraz wybrać, który honorują. My możemy sobie współczuć – jeśli trafimy przed oblicze Temidy, to niczego nie będziemy mogli być pewni. ©

Autor jest dziennikarzem Onet.pl, stale współpracuje z „TP".

Więcej pracy, mniej zatrudnienia

EWELINA BURDA

Bierność zawodowa Polek wynika z ich obłożenia obowiązkami rodzinnymi – ponad 75 proc. nieaktywnych zawodowo kobiet nie pracuje ani nie poszukuje zatrudnienia z powodu opieki nad dziećmi lub innych prac domowych, a w ostatnich latach aktywność zawodowa Polek stale maleje – podaje Instytut Badań Strukturalnych w raporcie „Jak zwiększyć aktywność zawodową kobiet w Polsce".

Co na nią wpływa? Autorka raportu punktuje: wykształcenie, posiadanie dzieci oraz miejsce zamieszkania. Polki, choć są dwukrotnie lepiej wykształcone niż 15 lat temu, to pracują wciąż rzadziej niż inne Europejki (różnica jest najwyższa w grupie kobiet z dwójką dzieci). 63 proc. kobiet w wieku 15–64 lat jest aktywnych zawodowo, podczas gdy w UE jest to 68 proc. Łączenie pracy z życiem rodzinnym jest szczególnie trudne dla mieszkanek małych miast i wsi (bez względu na ich wykształcenie), a wykluczenie transportowe powoduje, że zmuszone są one poszukiwać pracy tylko w miejscu zamieszkania. Kobiety wciąż są silnie obciążone kulturowo nałożonymi na nie obowiązkami: nawet jeśli praca opiekuńcza i ta w gospodarstwie domowym jest podzielona, to jej koordynacja spada na kobiety.

W kontekście tych badań ciekawie brzmią dane z międzynarodowego raportu fundacji Oxfam, który został ogłoszony przed Światowym Forum Ekonomicznym w Davos: na całym świecie kobiety i dziewczynki pracują codziennie 12,5 mld godzin bez wynagrodzenia. Chodzi o ich nieodpłatną pracę opiekuńczą: opiekę nad dziećmi, starszymi i chorymi z rodzin oraz prace domowe. Generuje ona dla globalnej gospodarki trzy razy więcej zysku niż branża technologiczna (szacuje się, że to co najmniej 10,8 bln dolarów rocznie).

Dane dotyczące Polski i świata nie są prosto zestawialne, ale łączy je na pewno jedno: obciążenie pracą domową i opiekuńczą kobiet, a także małe wsparcie systemowe dla ich rozwoju zawodowego zdaje się być w przykry sposób uniwersalne i wygodne dla wszystkich, bez względu na status polityczny czy ekonomiczny krajów i społeczności. ©℗

Sygnaliści bez ochrony

FUNKCJONARIUSZ WIĘZIENNY przeniesiony do placówki kilkaset kilometrów od domu, bo ujawnił nieprawidłowości w swoim miejscu pracy; pracownik służb specjalnych drżący przed ujawnieniem przypadków stosowania tortur; policjant, który zgłosił braki w wyposażeniu pomieszczenia dla zatrzymanych, a potem stracił pracę (oficjalnie bez związku ze zgłoszeniem). „Niekorzystna ocena służbowa, upomnienia, (...) blokowanie dostępu do szkoleń, obniżenie uposażenia, degradacja" – takie przykłady opresji przytacza w niedawnym wystąpieniu Rzecznik Praw Obywatelskich, alarmując, że polscy sygnaliści (od angielskiego *whistleblower*; ktoś, kto w interesie publicznym ujawnia informacje o nieuczciwej lub bezprawnej działalności) nie są chronieni prawem, sygnaliści mundurowi są zaś narażeni na opresje szczególnie („Stosunek służbowy żołnierza czy policjanta zawiera wiele elementów władczych, których brak w normalnym stosunku pracy"). Adam Bodnar przypomina, że choć w Polsce nadal nie ma ustawy chroniącej sygnalistów, to od grudnia istnieje dyrektywa Parlamentu Europejskiego i Rady UE ws. ochrony osób zgłaszających naruszenia prawa Unii. Polska ma niecałe dwa lata na wprowadzenie dyrektywy do naszego prawa.

GRAŻYNA MAKARA

Ochrona sygnalistów to jednak problem nie tylko prawny. Samo pojęcie nie weszło pod strzechy, a informowanie o nieprawidłowościach skazane jest na – obarczone jak najgorszymi historycznymi skojarzeniami – opisy, takie jak „donosiciel" czy „kapuś". I na społeczny stygmat, którego skruszenie potrwa zapewne dłużej niż napisanie ustawy.

©℗ PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

KRAJ W SKRÓCIE

TOMEK
Tomasz Kaczmarek, wielokrotnie skompromitowany b. poseł PiS i b. agent CBA, oskarżył w reportażu TVN24 obecnego szefa MSWiA Mariusza Kamińskiego o naciski podczas operacji dotyczącej rzekomej willi Jolanty i Aleksandra Kwaśniewskich w Kazimierzu Dolnym. Kancelaria Premiera uznaje jego zarzuty za akt politycznej zemsty.

JACEK
„Mówi się, że opozycja krytykuje, ale od tego jest opozycja" – mówiła w Radiu Maryja wdowa po ministrze środowiska Krystyna Szyszko, podkreślając, że mąż „najgorsze ciosy" dostawał „od swoich", a Jacek Kurski pilnował, żeby drzwi TVP były dlań zamknięte.

BORYS
Nowym przewodniczącym PO został Borys Budka. „Jeżeli chcemy odzyskać zaufanie wyborców – zadeklarował w powyborczej rozmowie – musimy gabinety warszawskie zamienić na targ na Podkarpaciu czy bazarek na Lubelszczyźnie".

ANDRZEJ
Wśród wyborców chce być też Andrzej Duda: prezydent zainaugurował w Zakopanem charytatywne zawody w narciarstwie, a na Twitterze, nie żałując przymiotników i wykrzykników oraz fantazyjnie używając wielkich liter, pogratulował polskim skoczkom narciarskim kolejnego zwycięstwa.

DAMIAN KLAMKA / / EAST NEWS

SMOG
O tym, w jakich warunkach musieli skakać Kubacki i Stoch, prezydent politycznie nie wspomniał: w czasie turnieju stężenie pyłów zawieszonych w zakopiańskim powietrzu przekraczało normy o kilkaset procent.

LOT nad niemieckim gniazdem

„THANKS'ALOT, CONDORSKI" – jeśli wierzyć mediom społecznościowym, tak ma brzmieć kolejna reklama niemieckich linii lotniczych Condor Air, które kilka dni temu przejął właściciel PLL LOT.

Premier Mateusz Morawiecki jest zachwycony transakcją, która jego zdaniem dowodzi siły polskiej gospodarki w Europie. Istotnie, LOT wyszedł już z finansowego korkociągu sprzed lat. W 2018 r. polski przewoźnik zwiększył przychody o 29 proc. Szybciej rosły jednak koszty operacyjne i finansowe i rok 2018 polskie linie zakończyły z 45,11 mln zł zysku – czyli z wynikiem aż o 87 proc. słabszym niż rok wcześniej. Na koniec 2019 r. w kasie spółki mogło zostać jeszcze mniej pieniędzy za sprawą uziemionych boeingów 737 MAX, co może kosztować ok. 500 mln zł. Słowem – sytuacja finansowa LOT-u nie jest zła, ale też trudno nazwać ją stabilną. Czy stać go zatem na kolejny wydatek?

MICHAEL PROBST / AP / EAST NEWS

Nie wiadomo, ile polska strona zapłaci za Condor Air, nieoficjalnie mówi się o 250 mln euro. Dodatkowe 380 mln euro pochłonie spłata zadłużenia wobec niemieckiego skarbu państwa. Złoży się na to konsorcjum banków Pekao, PKO BP i PZU, ale już np. koszty niespłaconego leasingu maszyn Condora spadną na LOT. Po fuzji nasz przewoźnik będzie jednak 13. największą linią Europy, a w tej branży kluczem do sukcesu są koszty operacyjne, które najlepiej obniżać zwiększając jednocześnie skalę działalności. Siatka połączeń Condora (głównie USA i Ameryka Południowa, dokąd linie wożą klientów biur podróży) dobrze łączy się z LOT-owską, którą od lat rozbudowywano w stronę Azji. Z drugiej strony park maszynowy Condor Air składa się głównie z wysłużonych europejskich airbusów, podczas gdy polskie linie od lat współpracują z amerykańskim Boeingiem.

O wiele łatwiej ocenić natomiast propagandową stronę tej transakcji. Polski biznes od lat próbuje, na ogół bezskutecznie, wchodzić na rynki niemieckie. Potknął się na tym Orlen, pod górę za Odrą miał też producent obuwia CCC. Sukces LOT-u nad niemieckim gniazdem byłby więc dowodem na słuszność linii gospodarczej rządu PiS.

A porażka? Cóż, je zawsze dolicza się podatnikom do kolejnych zeznań. ©℗ MAREK RABIJ

Polska-Ukraina: potrzeba systemu immunologicznego

WOJCIECH KONOŃCZUK

Kilka dni temu Związek Ukraińców w Polsce poinformował, że w Monasterzu (powiat Lubaczów) nieznani sprawcy zniszczyli tablicę na grobie członków UPA, poległych w walce z NKWD w 1945 r. To kolejny – po dłuższej przerwie – tego typu incydent. W latach 2014-17 w Polsce i na Ukrainie doszło do kilkunastu aktów wandalizmu wymierzonych w miejsca pamięci ważne dla drugiej strony. Zapewne nie jest przypadkiem, że ten ostatni wydarzył się teraz – w momencie, gdy trwają rozmowy na temat odnowienia legalnych upamiętnień ukraińskich w Polsce. Szerszym tłem jest natomiast zniesienie w ubiegłym roku przez Kijów zakazu polskich prac ekshumacyjnych na Ukrainie. Decyzja ta była ważnym sygnałem gotowości do nowego dialogu z Warszawą.

Incydent w Monasterzu potępiło polskie MSZ, pisząc, że to „kolejne działania mające podważyć dobrosąsiedzkie relacje Polski z Ukrainą", i że wpisują się w inne „próby skłócenia narodów Europy na tle historycznym". Po stronie ukraińskiej wybrzmiał zaś racjonalny głos wiceszefa dyplomacji wzywający do tego, by w obliczu rosyjskich ataków propagandowych Polska i Ukraina połączyły siły i wspólnie stawiły im czoło. Warto przypominać, że poróżnienie Warszawy i Kijowa jest jednym z kluczowych celów Kremla w regionie, a historia służy tu jako ważny oręż.

Jednak same głosy nie wystarczą. Kolejnym krokiem powinno być doprecyzowanie dwustronnej umowy z 1994 r. o ochronie miejsc pamięci i miejsc pochówku, a także stworzenie praktycznych mechanizmów reagowania na prowokacje. Pozwoliłoby to na wypracowanie przez Polskę i Ukrainę swoistego „systemu immunologicznego" na takie incydenty. Inaczej kolejne akty wandalizmu będą tylko kwestią czasu – ze wszystkimi tego negatywnymi skutkami dla relacji dwustronnych. ©

AFP / EAST NEWS

Kontrola epidemiologów, Tengzhou, 26 stycznia 2020 r.

Wirus i strach w Chinach

O PONAD 2 TYSIĄCACH potwierdzonych zakażeń nowym koronawirusem i ponad 50 zgonach mówią Raporty Światowej Organizacji Zdrowia (WHO). Wirus trafił do Europy, USA, Australii i Azji Południowo-Wschodniej. Wszystkie przypadki prowadzą do Wuhan, gdzie w grudniu 2019 r. osoby przebywające na targowisku rybnym zgłaszały niepokojące objawy. Pojawiała się gorączka, osłabienie i duszność. U chorych rozwijało się zapalenie płuc, przechodzące w ciężką niewydolność oddechową. Pierwsze doniesienia podawały 15-procentową śmiertelność, choć wraz z napływem kolejnych danych ten wskaźnik maleje.

Coronaviridae to spora rodzina wirusów. Część z nas mogła mieć już z nimi niezbyt przyjemny kontakt, ta sama grupa odpowiada bowiem nawet za 20 proc. zwykłych przeziębień. Z drugiej strony koronawirus SARS w 2003 r. zabił blisko 800 osób, wśród ponad 8 tys. zakażonych. Pojawił się w Chinach już w 2002 r., wówczas władze nie powiadomiły WHO o zagrożeniu.

Tym razem informacja rozprzestrzenia się szybciej niż wirus. Chiński rząd objął kwarantanną wiele miast. W Wuhan zamknięto lotnisko i wstrzymano transport publiczny. W ciągu sześciu dni zbudowano szpital na tysiąc łóżek. Internet obiegły filmy, na których sanitariusze w maskach mierzą temperaturę pasażerom na lotniskach. WHO próbuje jednak uspokoić apokaliptyczne nastroje i na razie nie ogłasza międzynarodowego zagrożenia zdrowia publicznego.

© BARTOSZ KABAŁA

Technologia niezwykle potężna

ZACZĘŁO SIĘ OD WIADOMOŚCI na WhatsAppie. Skończyło skandalem z udziałem najpotężniejszych. Jeff Bezos, najbogatszy człowiek świata, właściciel m.in. Amazona i „The Washington Post", dostał wiadomość z filmem, w którym mogło być złośliwe oprogramowanie. Nadawcą był następca tronu Arabii Saudyjskiej Mohammed bin Salman. Niedługo potem miliarder ogłosił, że jest szantażowany ujawnieniem jego romansu. Dowody miały pochodzić z jego własnego telefonu.

Wynajęci przez Bezosa śledczy uważają, że użyto oprogramowania firmy Memento Labs albo programu Pegasus, tego samego, z którego ma korzystać m.in. polskie CBA. Rijad twierdzi, że zarzuty są absurdalne. Twórcy Pegasusa zapewniają, że program służy do tropienia terrorystów i nie działa na numerach telefonów w USA. Tyle że WhatsApp pozwał ich twierdząc, że Pegasus szpieguje dziennikarzy i aktywistów na całym świecie. Memento Labs na pytania nie odpowiada.

Specjalni sprawozdawcy ONZ Agnès Callamard i David Kaye wzywają do międzynarodowego śledztwa. Według Callamard „mamy do czynienia z technologią niezwykle trudną do śledzenia, niezwykle potężną i zupełnie nieregulowaną", a jeśli nawet najbogatszy człowiek świata pada jej ofiarą, „to oznacza, że wszyscy jesteśmy zagrożeni". © AK, WB

Angola: korupcja od góry

WOJCIECH JAGIELSKI

NAJBOGATSZA KOBIETA AFRYKI, STAWIANA za wzór przedsiębiorczości i zaradności, okazała się złodziejką. Świadczą o tym ujawnione przez dziennikarzy w zeszłym tygodniu należące do niej listy i dokumenty.

Isabel, najstarsza córka José Eduardo Dos Santosa, byłego (1979–2017) przywódcy przebogatej w ropę naftową Angoli, dorobiła się bogactwa (ponad 2 mld dolarów) dzięki ojcu-prezydentowi i żyła w zbytku, kosztem nieszczęścia i biedy jej 30 mln rodaków.

Angolski dziennikarz Rafael Marques de Morais pisze o tym od 20 lat: że Eduardo Dos Santos rządził jak dyktator, że całe angolskie państwo przeżarte jest do cna przez korupcję, że rodzina panująca traktuje je jak własny folwark, a petrodolary (Angola jest najbogatszym obok Nigerii naftowym eldorado w Afryce Subsaharyjskiej) z państwowego skarbca podejmuje jak z prywatnych kont bankowych (przeciwko przyrodniemu bratu Isabel, José Filomeno, toczy się w Angoli proces o kradzież pół miliarda państwowych pieniędzy). Reporter trafił za to do więzienia (dostał też nagrody za odwagę, uczciwość i piętnowanie korupcji). A mimo to Isabel dalej zapraszana była na uniwersytety do Lizbony, Londynu (tam studiowała), Nowego Jorku z wykładami o biznesie i moralności. Bywała na Światowym Forum Gospodarczym w Davos i w Brukseli na zaproszenie Parlamentu Europejskiego.

O ile źródła bogactwa 46-letniej Isabel są znane od dawna, o tyle ujawnione dziś dokumenty pokazują, w jaki sposób i które firmy doradcze z Zachodu pomagały jej prać pieniądze tak, by nie zostały na nich ślady po korupcyjnym brudzie. „To tylko wierzchołek góry lodowej" – ostrzega Rafael Marques de Morais. A prokurator ze stołecznej Luandy podpowiada, że jeśli Isabel odda rządowi miliard dolarów, cała sprawa zostanie zapomniana. ©℗

FERNANDO VELUDO / AFP / EAST NEWS

Arcybiskup ponad prawem

WIELU BISKUPÓW, KARDYNAŁÓW, I BERGOGLIO, nie mają takiej pogłębionej wiary, jaką Chrystus przekazał apostołom" – stwierdził abp Jan Paweł Lenga w programie „Warto rozmawiać" w TVP. Mówił, że zamętowi w Kościele winni są masoni, a synod amazoński był zdominowany przez teologię wyzwolenia.

Lenga to marianin, w 1981 r. wysłany przez Jana Pawła II do Tadżykistanu, potem przeniósł się do Kazachstanu. W 1991 r. przyjął sakrę biskupią, w 1999 r. został biskupem Karagandy, cztery lata później przyjął paliusz arcybiskupi. W 2011 r. złożył rezygnację. Jej powodów nie ogłoszono, on sam uważa się za ofiarę spisku sekretarza stanu kard. Tarcisia Bertonego. Emerytowany hierarcha zamieszkał w Licheniu, w klasztorze marianów. Jego status kanoniczny próbował ustalić Zbigniew Nosowski z „Więzi": do odpowiedzialności za Lengę nie poczuwają się ani marianie, ani KEP, ani kuria włocławska.

Abp Lenga w TVP powtórzył poglądy znane z jego kazań i z książki „Przerywam zmowę milczenia". Papieża uważa za heretyka i nie wspomina go podczas mszy. Ekumenizm to dla niego „największa plaga Kościoła".

Na program zareagował rzecznik KEP ks. Rytel-Andrianik, podkreślając, że hierarcha „nie jest członkiem KEP", a jego wypowiedzi „nie można traktować jako stanowiska polskich biskupów". Komunikat rzecznika nie zawierał opinii o poglądach abp. Lengi. Sytuacja wygląda na patową, skoro biskupi ani przełożeni zakonni nie poczuwają się do odpowiedzialności za jego działalność. Prawo kanoniczne (np. 392 § 2) nakłada na każdego z ordynariuszy odpowiedzialność za głoszenie Ewangelii na swoim terenie. Polski episkopat ma więc w ręku potrzebne narzędzia.

©℗ MACIEJ MÜLLER

VINCENZO PINTO / AFP / EAST NEWS

40 EGZEMPLARZY PISMA ŚW. wręczył papież przedstawicielom różnych grup społecznych i zawodowych (wśród nich biskup, bezdomny, nauczyciel, imigrant, policjant, więzień, dyplomata, sportowiec, duchowny prawosławny i ewangelicka pastorka) na zakończenie mszy w Niedzielę Słowa Bożego, po raz pierwszy obchodzonej w Kościele. Nowe święto znalazło się w kalendarzu liturgicznym tuż po Tygodniu Modlitw o Jedność Chrześcijan i w sąsiedztwie Dnia Judaizmu. ©℗ EA

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

NIEMORALNA WOJNA
Zabójstwo irańskiego generała Kasema Sulejmaniego narusza tradycyjne kryteria wojny sprawiedliwej, dlatego nie jest „moralnie usprawiedliwione" – głosi oświadczenie amerykańskich etyków reprezentujących religie monoteistyczne (chrześcijaństwa, islamu i judaizmu). Wśród sygnatariuszy znalazło się pięciu katolickich teologów.

WYMIANA KADRY
Konserwatysta kierujący archidiecezją Filadelfii abp Charles Chaput podał się do dymisji po osiągnięciu 75. roku życia. Papież mianował na jego miejsce 58-letniego biskupa

AP / EAST NEWS

Cleveland Nelsona J. Pereza (na zdj.), nazywanego przez komentatorów „człowiekiem Franciszka". Perez jest potomkiem imigrantów kubańskich. Kieruje w amerykańskim episkopacie Komisją ds. Różnorodności Kulturowej (wcześniej kierował Podkomisją ds. Latynosów). W rozmowie z Reuterem nowy arcybiskup Filadelfii powiedział, że „Kościół amerykański przez sto lat był głównie »Irlandczykiem«. Ta era minęła". Blisko 20 mln amerykańskich Latynosów określa się jako katolicy.

ŚNIADANIE U ARCYBISKUPA
Pierwszymi osobami, które spotkał arcybiskup Salzburga Franz Lackner podczas porannego spaceru po salzburskiej starówce 21 stycznia, byli pracownicy przedsiębiorstwa komunalnego sprzątający ulice. Rozpoczęta wówczas rozmowa skończyła się tym, że 13 pracowników komunalnych zjadło śniadanie w pałacu arcybiskupim. Abp Lackner chciał w ten sposób podziękować za utrzymywanie czystości w mieście i pracę o wczesnej porze.

Oskarżona siostra Chmielewska

ARTUR SPORNIAK

Lewicowa dziennikarka i działaczka społeczna, Agata Diduszko-Zyglewska, zarzuciła s. Małgorzacie Chmielewskiej uczestniczenie w procederze ukrywania przez Kościół księży pedofilów. Jej zdaniem przełożona Wspólnoty Chleb Życia „daje sobie prawo do wchodzenia w rolę państwa i policji", gdyż zamiast zgłosić się do prokuratury, na własną rękę próbuje chronić potencjalne ofiary księdza pedofila, przyjmując go do swego ośrodka, tym samym narażając jednak własne przybrane dzieci na niebezpieczeństwo. Opublikowany na stronie „Krytyki Politycznej" tekst „Szokujące wyznanie siostry Chmielewskiej" jest komentarzem do wypowiedzi zakonnicy podczas zorganizowanego w listopadzie ubiegłego roku przez studentów Papieskiego Wydziału Teologicznego we Wrocławiu panelu „Czy Kościół w Polsce jest na krawędzi?". I – jak się okazało – jest nieporozumieniem.

W sprostowaniu zamieszczonym na profilu facebookowym s. Chmielewska dopowiedziała, że ksiądz pedofil, nieodpowiedzialnie wyrzucony przez biskupa z diecezji (który w ten sposób „dał mu ogromne pole do popisu, żeby krzywdził następne dzieci"), został przyjęty do prowadzonego przez nią ośrodka nie jako duszpasterz, tylko jako pensjonariusz, który w ramach pracy nad sobą m.in. opiekował się innymi obłożnie chorymi pensjonariuszami. Nie był w żaden sposób ukrywany, gdyż trwało przeciwko niemu prokuratorskie postępowanie. I żadne dziecko nie było na kontakt z nim narażone. Zakonnica przypomniała, że do prowadzonych przez nią ośrodków trafiają także ludzie o trudnej przeszłości („mordercy, pedofile, złodzieje, oszuści, członkowie gangów") i że często są one dla nich ostatnią szansą.

Do tego przykrego dla s. Chmielewskiej nieporozumienia nie doszłoby, gdyby autorka komentarza skontaktowała się z nią i o to wszystko wypytała.

Ale całe zamieszanie ma też ważny skutek. Tym, którzy wymianę zdań obu pań śledzili, uświadomiło, że sprawiedliwa kara czy sekularyzacja nie kończy problemu księży pedofilów. Oni mają dalsze życie. Co się z nimi dzieje? ©℗

KULTURA W SKRÓCIE

AKCJA
Aktywista i reżyser Bartosz Staszewski mocuje znaki drogowe z napisem „Strefa wolna od LGBT" w miejscowościach, które przyjęły uchwały przeciwko „ideologii LGBT" (obecnie jest ich około 90), a następnie fotografuje na ich tle osoby, które poczuły się nimi dotknięte. „Mam nadzieję, że dosłowność projektu pozwoli ludziom zrozumieć zło, z którym mamy do czynienia" – wyjaśnia mediom Staszewski, a Porozumienie Jarosława Gowina składa w sprawie znaków zawiadomienie do prokuratury. „To zorganizowana akcja dezinformacyjna" – twierdzą politycy.

BARTOSZ STASZEWSKI

DEZINFORMACJA
Akcję dezinformacyjną prowadziła także grupa gdańskich miłośników pokera, która pod przykrywką „klubu literackiego" organizowała nielegalne gry hazardowe. „Książki w tym miejscu zauważono – przyznali policjanci, którzy wpadli na trop przestępców – ale nie stwierdzono, by ktoś je czytał". Spotkania klubu organizowane były wielokrotnie, w tym konkretnym brało udział siedemnastu czytelników.

DEZORIENTACJA
Zdezorientowani byli także czytelnicy pisma „Holistic", gdy wycofano ze sprzedaży cały nakład noworocznego numeru, a pracę stracił redaktor naczelny Mariusz Zawadzki. Razem z nim odeszła prawie połowa zespołu. Sprawcą zamieszania miał być Łukasz Orbitowski, którego polityczna humoreska wydrukowana w numerze wycelowana została w jednego z polityków.

GRAŻYNA MAKARA

25 STYCZNIA w krakowskim Muzeum Manggha Basil Kerski, dyrektor Europejskiego Centrum Solidarności w Gdańsku, odebrał Nagrodę im. Jerzego Turowicza – za budowę instytucji ożywiającej tradycje solidarności, wspierającej wartości demokratyczne i uczącej obywatelskiego zaangażowania (na zdjęciu z Krystyną Zachwatowicz). Dominika Kozłowska podkreśliła w laudacji, że jest to wyróżnienie dla całego zespołu ECS-u, a laureatprzypomniał, że Centrum mogło powstać dzięki wizjonerstwu tragicznie zmarłego prezydenta Gdańska Pawła Adamowicza, więc nagroda Fundacji Jerzego Turowicza należy się także i jemu.
©℗ TF

Osiwieć ze stresu

PODOBNO WŁOSY MARII ANTONINY, ostatniej królowej Francji przed wybuchem rewolucji francuskiej, zbielały w ciągu jednej nocy przed jej egzekucją. Choć ten historyczny przypadek może być nieco przesadzony, to naukowcy od dawna próbują ustalić, dlaczego włosy siwieją pod wpływem stresu. Naturalny kolor naszych stu tysięcy włosów jest stale odnawiany przez komórki pigmentowe, które przekształcają się z komórek macierzystych. Kiedy te pierwsze umierają, to drugie wyrównują ilość pigmentu.

W przeprowadzonym na myszach badaniu Bing Zhang i współpracownicy wykazali, że na siwienie włosów pod wpływem stresu wpływa noradrenalina – hormon związany z reakcją „uciekaj lub walcz" (zarazem badacze wykluczyli wpływ układu odpornościowego i innych hormonów). Receptory noradrenaliny znajdują się w pobliżu włosów. Po ich aktywacji wspomniane wcześniej komórki macierzyste masowo przekształcają się w komórki pigmentowe. W ten sposób włosy na przyszłość tracą „magazyny" komórek macierzystych, które mogłyby przemienić się w komórki pigmentowe. Bez nich włosy wyglądają na szarawe lub białe.

© MICHAŁ ŚWIĄTEK / NATURE.COM

Biały Dom mówi: jedzcie więcej frytek

AMERYKAŃSKI DEPARTAMENT ROLNICTWA wydał nowe wytyczne dla agencji nadzorującej program żywieniowy w szkołach, odpowiedzialnej za posiłki dla prawie 30 mln dzieci (z czego ok. 20 mln bezpłatnych). Zmiana idzie w stronę złagodzenia wymogów co do zawartości surowych owoców oraz warzyw w zestawach – np. ziemniak zostanie potraktowany właśnie jako warzywo. Urzędnicy chcą też dać uczniom możliwość zamawiania za opłatą dań takich jak frytki czy pizza. Rygor dietetyczny to dziedzictwo czasów Michelle Obamy, która przez dwie kadencje swego męża prowadziła kampanie na rzecz zdrowego odżywiania, co ma o tyle znaczenie społeczne, że jedna trzecia amerykańskich dzieci cierpi na nadwagę w stopniu, który wróży znaczne problemy zdrowotne w dorosłości. Dlatego obecną zmianę natychmiast zinterpretowano jako akt politycznego rewanżu. Urzędnicy tłumaczą się, że działali pod wpływem dyrektorów stołówek, którzy twierdzili, że młodzież wyrzuca zdrowszą część posiłków i *per saldo* chodzi głodna. Tłumaczenie to nosi znamiona zdroworozsądkowej prawdy: dzieci nie jest łatwo przestawić na jedzenie rzeczy mniej działających na ośrodki nagrody w mózgu. Obama grzeszyła naiwnym optymizmem typowym dla inżynierii społecznej, za to ludzie Trumpa dla szybkiego poklasku okazują dziś brak cierpliwości, zgubny dla dobra publicznego jak masowa otyłość i cukrzyca.

©℗ PAWEŁ BRAVO

TEMAT TYGODNIKA

TRENING CZYNI KRÓLOWĄ

Rano po brexicie mgła nad Kanałem znów zasłoni Brytyjczykom kontynent. Świat się jednak nie skończy, bo wciąż panować będzie ona.

MARCIN ŻYŁA

Premier Boris Johnson wygłosi orędzie, zegar na fasadzie jego kancelarii odliczy minuty do wielkiej chwili, a w obiegu pojawi się nowa półfuntówka z napisem „Pokój, pomyślność i przyjaźń między narodami". Big Ben nie zadzwoni, bo wciąż w remoncie, burmistrz Londynu odmówił zgody na sztuczne ognie, lecz podczas fety zwolenników brexitu plac przy parlamencie i tak utonie w morzu brytyjskich flag. Kilka przecznic dalej z masztu na fasadzie przedstawicielstwa Komisji Europejskiej „Union Jack" zostanie dyskretnie zdjęta, złożona – i oddana do muzeum.

W takich okolicznościach – trzy i pół roku od referendum, które skłóciło ze sobą Brytyjczyków, przyczyniło się do upadku dwóch rządów i sprowokowało pytania o jedność królestwa – w piątek 31 stycznia o godz. 23.00 czasu lokalnego, po 47 latach członkostwa Wielka Brytania opuści Unię Europejską. Dla Johnsona, od lat budującego poparcie na obietnicy „odzyskania kontroli" nad państwem, za które dotąd decydowano ponoć w Brukseli, będzie to historyczna chwila: odzyskanie wolności, start nowej ery. ↦

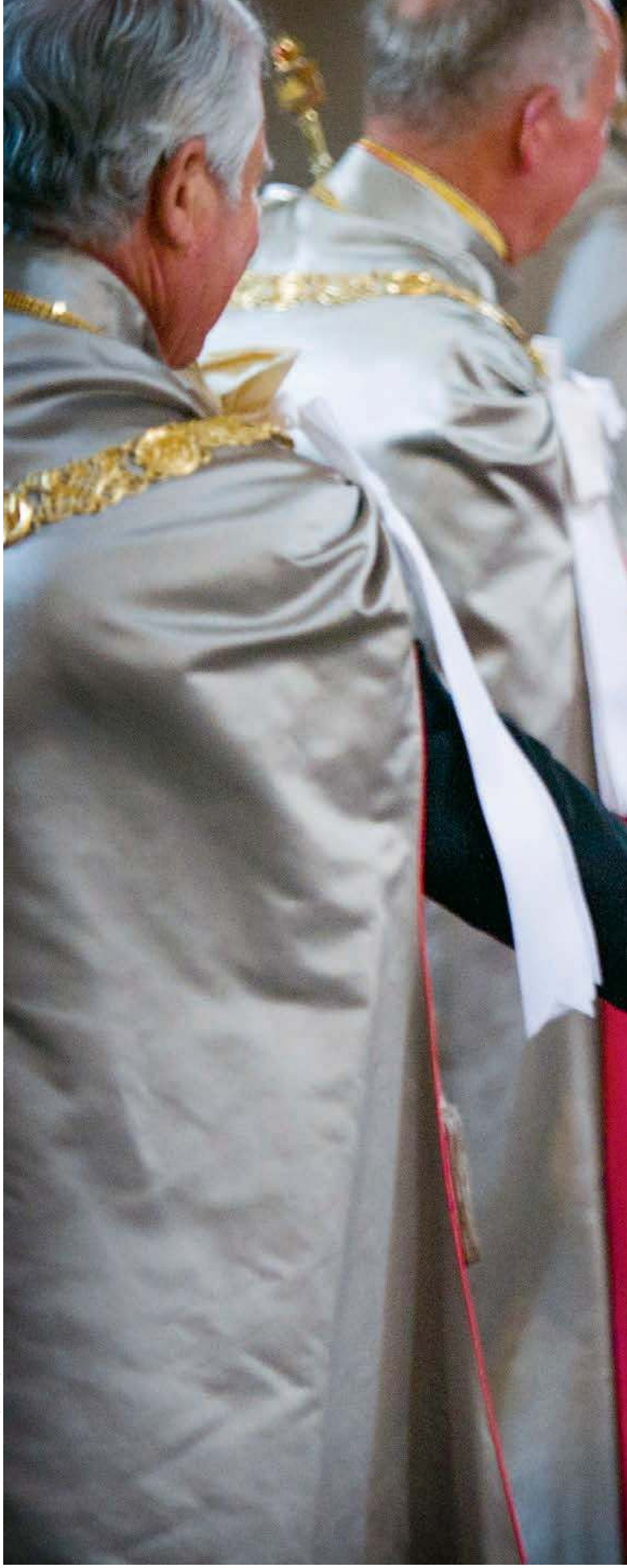

GEOFF PUGH / AFP / EAST NEWS

Elżbieta II w katedrze św. Pawła w Londynie, marzec 2012 r.

Ale Wielka Brytania, jaką znamy, nie skończy się. Tak długo, jak królową będzie Elżbieta II, zmieni się niewiele.

Z żołnierzami trzech stuleci

Gdyby uznać brexit za ostatnią, desperacką próbę ratowania tego, czym przez ostatnie dekady była brytyjskość (prawdziwa lub wyobrażona), za próbę odzyskania dla Brytyjczyków ostatniego kawałka dawnego imperium – ich własnych Wysp – okaże się, że jest on dobrym punktem wyjścia do opowiedzenia historii Elżbiety. Jest ona bowiem ostatnią łączniczką z epoką, która w poprzednim stuleciu formowała nowoczesną Wielką Brytanię.

Urodziła się 21 kwietnia 1926 r., w dniu, w którym w Anglii miał się rozpocząć strajk generalny, a wielu w jej rodzinie obawiało się robotniczej rewolucji. Monarchinią jest od 68 lat, najdłużej z wszystkich żyjących koronowanych głów świata. Jej biograf Robert Hardman w wydanej w 2018 r. monumentalnej książce „Queen of the World" pisze, że może być ona jedynym człowiekiem, który rozmawiał z kombatantami wojen toczonych w XIX, XX i XXI stuleciu. W 1951 r., podczas pierwszej podróży do Kanady, spotkała się z żołnierzem, którego za zasługi z walk w Afganistanie w latach 70. XIX w. przyjęła na audiencji królowa Wiktoria; weterani ostatnich walk w tym kraju urodzili się, gdy Elżbieta była już na tronie. Podobnie zresztą jak 81 proc. jej obecnych poddanych.

Paradoks „drugiej ery elżbietańskiej", jak czasem nazywa się jej panowanie, polega na tym, że przez przyszłych historyków zostanie zapewne uznana za czas nieprzerwanego upadku Wielkiej Brytanii. Począwszy od stopniowego rozpadu imperium, przez kres prymatu w globalnym handlu, po ostatni, wywołany właśnie brexitem, co najmniej chwilowy spadek znaczenia międzynarodowego. Jej pierwszym premierem był Winston Churchill, ostatnim, jak dotąd, Boris Johnson – dla złośliwych już samo to jest znakiem kryzysu.

Państwo więc słabło, lecz Elżbieta II zyskiwała poważanie Brytyjczyków. Dlaczego? Czy wystarczy to najczęstsze wytłumaczenie, że w czasach „żelaznej kurtyny", kryzysów gospodarczych, zamachów IRA i Al-Kaidy, kojarzyła się z czymś stałym, niezmiennym? Czy chodzi o naszą potrzebę posiadania symboli? O jej osobiste przymioty?

> Przybywa populistów, największe partie ulegają radykalizacji, **ale tylko jedna piąta Brytyjczyków chciałaby żyć bez królowej.**

Może zresztą sama odpowiedziała już na to pytanie. Na początku lat 90., w jedynym wywiadzie, którego udzieliła telewizji BBC na potrzeby filmu dokumentalnego „Elizabeth R", wspominała o żołnierzu, któremu przyznawała medal za odwagę na polu bitwy: „Powiedział, że to wyłącznie zasługa odpowiedniego wyszkolenia. Ja też mam poczucie, że trening i odpowiednie przygotowanie, odpowiadają za wiele wielkich rzeczy. Dużo można zrobić, jeśli się zostało dobrze przeszkolonym. Mam nadzieję, że ja zostałam".

Najsłynniejsza enigma

Jest taki film: samolot brytyjskich linii zamorskich BOAC z 26-letnią królową na pokładzie kołuje po płycie podlondyńskiego lotniska. Przyleciał z Kenii, która miała być przystankiem w długiej podróży Elżbiety i jej męża Filipa do Australii i Nowej Zelandii. Luty 1952 r., kilkadziesiąt godzin wcześniej odszedł król Jerzy VI, jej ojciec, z którym w ostatnim okresie była wyjątkowo zżyta. „Zmarł o wiele za wcześnie – powiedziała wiele lat później. – Wszystko polegało na natychmiastowym przejęciu [jego obowiązków] i wykonywaniu tej pracy najlepiej, jak się potrafi".

Kamera łapie na chwilę młodą Elżbietę w oknie samolotu. Ociera łzy. Za kilka minut, gdy zejdzie do ludzi, nie będzie śladu po emocjach. A przez kilkadziesiąt kolejnych lat „poszukiwanie łez królowej" będzie jednym z najbardziej bezcelowych zajęć korespondentów akredytowanych przy Dworze św. Jakuba. Nie uroni ich po śmierci księżnej Diany w 1997 r. Nie będzie nawet – wbrew temu, co pokazano w jednym z odcinków popularnego serialu „The Crown", który wiele wątków z życia Elżbiety potraktował dość luźno – udawać, że płacze, gdy w 1966 r., kilka dni po tragicznej katastrofie górniczej, odwiedzi walijskie miasteczko Aberfan. Publicznie zapłacze tylko podczas ceremonii pożegnania królewskiego jachtu „Britannia" oraz w czasie uroczystości Dnia Pamięci, obchodzonych w Wielkiej Brytanii 11 listopada dla upamiętnienia ofiar Wielkiej Wojny (i wszystkich kolejnych).

Dla niektórych to bezduszność. Dla niej – efekt wychowania i sznytu dyscypliny, który podczas I wojny światowej rodzinie Windsorów nadał jej dziadek, król Jerzy V. W czasach, gdy bolszewicka rewolucja obalała Romanowów, a w miejsce cesarstw, królestw i księstw w Europie niepodległość miały wkrótce ogłosić kolejne republiki, porzucił on dotychczasowe, niemieckie nazwisko Coburg – i ruszył w objazd po kraju. Elżbieta II powiedziała kiedyś, że „musi się pokazywać, aby w nią wierzono" – to echo porad, których najbliższym udzielał jej ulubiony „Dziadek Anglia": wyjdźcie do ludzi, bądźcie widziani.

Pełnoletność osiągała w czasie II wojny światowej. W pałacu Buckingham jej matka odbierała lekcje strzelania z pistoletu, aby w razie czego móc walczyć z niemieckimi spadochroniarzami, a ona sama nadawała radiowe apele do swoich rówieśników, dzieci i młodzieży, których dla ochrony przed Blitzem kwaterowano w domach całego królestwa, często u obcych rodzin. Dorastała w otoczeniu mężczyzn w mundurach, broni, nakazu wykonania rzeczy precyzyjnie i na czas. Traktowania ich serio.

Elżbieta nie jest Królową Serc, jak, dla kontrastu, nazywano księżną Dianę. Pozostaje natomiast „najbardziej znaną zagadką świata" – to określenie Andrew Marra, znanego brytyjskiego dziennikarza politycznego, twórcy filmu i książki o królowej. Ani transmisja z koronacji w 1953 r., która wielu poddanych skłoniła do kupna pierwszego w życiu telewizora, ani zrealizowany kilkanaście lat później przez BBC dokument „The Royal Family", w którym zobaczyli ją w końcu w roli innej niż monarchini – matki i żony – nie rozszyfrowały tej enigmy.

Jerzy V zaś, „założyciel" dynastii Windsorów, dokonał jeszcze jednego zabiegu. Pozbywając się niemieckiego nazwiska, idąc w ślady królowej Wiktorii, świadomie przyjął ideologię „angielskości". Historyk Norman Davies, autor monumentalnych „Wysp", pisze, że dopiero kró-

CATHAL MCNAUGHTON / AFP / EAST NEWS

Z Margaret Thatcher, Cherie Blair i Tonym Blairem, przed nabożeństwem z okazji 25. rocznicy wojny o Falklandy, Berkshire, 14 czerwca 2007 r.

lowa matka (1900-2002) była pierwszą osobą w rodzinie, która nie była Niemką, a „Księżna Walii Diana – »róża Anglii« – była pierwszą osobą pochodzenia angielskiego, która kiedykolwiek znalazła się w pobliżu brytyjskiego tronu". To zresztą kontekst dla popularnego – i błędnego – nazywania Elżbiety II „królową angielską".

Samodzielna, ale...

Trudność opisu Elżbiety II polega na tym, że Korona, jej podstawowy punkt odniesienia, jest pojęciem abstrakcyjnym. Psychologizowanie, czym jest dla niej – przeznaczeniem czy ciężarem – zostawmy innym. Zajmijmy się kwestią bardziej praktyczną: czy i jakie ma to w ogóle znaczenie dla świata?

Kiedy latem 2019 r. premier Johnson poprosił królową o precedensowe zawieszenie sesji parlamentu – co miało mu pomóc (i pomogło) w ostatecznej rozgrywce o brexit – wielu liczyło, że Elżbieta II wkroczy do gry i „uratuje" pogrążony w kryzysie konstytucyjnym kraj. Było to mało prawdopodobne. Już od XIII w. i Wielkiej Karty Swobód prawa monarchy są na Wyspach sukcesywnie ograniczane. Monarcha prosi premiera o utworzenie rządu i przyjmuje jego rezygnację; otwiera obrady kolejnej sesji parlamentu, przedstawiając priorytety rządu (i czytając przygotowane przez gabinet przemówienie). Kiedy przyjedzie do parlamentu karocą, wysłannik Izby Lordów idzie do Izby Gmin, aby zaprosić posłanki i posłów do wysłuchania jej słów. Zgodnie z tradycją zatrzaskuje się przed nim drzwi i dopiero gdy zapuka trzy razy, posłowie przyjmują zaproszenie. Ma to podkreślić nadrzędność wybieranej w głosowaniu powszechnym Izby. Innymi słowy: nadrzędność ludu nad arystokracją – demokracji.

Ostatni raz monarcha brytyjski samodzielnie zdymisjonował premiera w 1834 r. (tylko po to, aby wkrótce ponownie wybrano go w wyborach powszechnych). Także moment, kiedy ostatni raz nie posłuchał rad swojego rządu – gdy w 1936 r. Edward VIII poślubił Amerykankę Wallis Simpson – nie kojarzy się w rodzinie królewskiej dobrze: król abdykował po roku.

Korona, choć pozbawiona uprawnień, spełnia inną rolę. Jest zabezpieczeniem przed zbyt daleko idącymi wizjami polityków, co rusz gotowych ogłaszać nowe ery w historii kraju. W latach 90. XX w. Tony Blair mógł iść do wyborów z hasłem „New Labour", zapowiadać modernizację kraju i słynną „trzecią drogę" – dziś silnie krytykowaną za ludzkie koszty liberalnych przemian w finansach i gospodarce – ale obecność królowej temperowała co śmielsze wizje. Państwo jest jedno – pomaga przypominać Elżbieta II – musi reprezentować wszystkich, niezależnie od tego, co sądzą na temat rządzących. Musi mieć pamięć przeszłości. I interes w długoterminowej przyszłości. „Kontynuacja" to jedno ze słów kluczy do panowania królowej.

Dla prof. Josepha Nye z Harvardu, który rozwinął teorię *soft power*, jej najlepszą reprezentacją jest właśnie monarchia brytyjska – a ściślej: jej zdolność do prowadzenia polityki za sprawą wywoływania zainteresowania innych, a nie przymusu czy udzielanych koncesji. Taka miękka siła, argumentuje politolog, „będzie coraz ważniejsza, a Wielka Brytania okaże się jej czempionem". „Pomimo brexitu, są wciąż inne pokłady brytyjskiej *soft power*, i jednym z nich jest rodzina królewska", powiedział Nye Robertowi Hardmanowi, autorowi biografii Elżbiety II.

Poproszę o ekspres

Drugi kłopot z dyskusją o Elżbiecie II polega na tym, że królowej – dla ciekawskiej opinii publicznej okrytej aurą celebryctwa, z kolei dla krytykujących *establishment* komentatorów symbolizującej bogactwo i „globalne elity" – trudno bronić, nie odwołując się do jej specjalnego statusu. „Jestem przyzwyczajona do stania, mam wrażenie, że stoję całe życie", miała powiedzieć swojemu portreciście. Marc Roche w swojej biografii „Ostatnia królowa" twierdzi, że technikę stania ma opanowaną do perfekcji: stopy trzeba ustawić równolegle do siebie, by ciężar ciała mógł się rozłożyć równomiernie – ale czy naprawdę w świecie, w którym wszyscy pracujemy coraz więcej, ciężej i szybciej, kogokolwiek to powinno obchodzić?

Roche pisze z przejęciem: „To królowa może się do nas zbliżyć, nigdy odwrotnie. Nie wolno zwracać się do niej, jeśli nie odezwie się pierwsza. (...) Gdy kiedyś premier Australii Paul Keating ośmielił się położyć rękę na jej plecach, zgromiła go tak wymownym spojrzeniem, że podobno do dziś jest wstrząśnięty" (autor nie dodaje, że w ramach przeprosin za afront Keating nakazał wprowadzenie do obiegu nowego banknotu z wizerunkiem Elżbiety). Autorzy jej biografii opisują chłodek i półmrok, jaki panuje w pałacu Buckingham, i radzą zabrać ze sobą do środka ciepłe swetry. Piszą też, że Elżbieta jest praktyczna. Kiedy w 1977 r. ministrowie zapytali ją, jaki prezent od narodu chciałaby dostać, odpowiedziała ponoć: „ekspres do kawy".

↦

↦ Jeszcze raz: jakie to ma znaczenie? Można powiedzieć: to absurd, relikt przeszłości. Jednak to ci sami Australijczycy sprzeciwili się kiedyś w referendum pozbawieniu Elżbiety roli głowy ich państwa – a w świecie Trumpów i Johnsonów, podważania demokracji i innych podstawowych wartości, te elitarne „dziwactwa" wydają się coraz mniej groźne...

Anglia zielona, pełna uroku

Elżbieta zmieniała się z Brytanią. Pierwszy okres jej popularności to lata 50. XX w., kiedy – po II wojnie światowej i powojennym kryzysie gospodarczym – państwo znów zaczęło się rozwijać, a szczątki imperium jeszcze istniały. Później przyszły lata 60., okres buntu, rebelii i londyńskiego antyestablishmentu. W kolejnej dekadzie znów spokojnie było tylko w rodzinie królewskiej: Karol występował w mundurze kawalerzysty, Anna zdobywała złoto na igrzyskach 1976 r. W kraju zaś trwały wielkie strajki przemysłowe, szalała inflacja, pytano o jego przyszłość. Dekada lat 80. trwa już w pamięci wielu z nas – za sprawą Karola i Diany, ich ślubu, separacji, gazetowych „spowiedzi" i wreszcie rozwodu.

Dopiero w latach 90. seria skandali obyczajowych w jej rodzinie zmusiła Elżbietę II, aby – niechętnie – pogodziła się z obyczajowością współczesności. Jej kilkudniowe milczenie po śmierci Diany zakończyło się – ponoć pod wpływem premiera Tony'ego Blaira – przemówieniem, w którym mówiła „jako królowa i babcia". Pozostała jednak konserwatystką – wiadomo, że prywatnie jest przeciwniczką małżeństw osób tej samej płci. „Jak długo przemiany obyczajowe nie ranią jej uczuć religijnych, tak długo je akceptuje", pisze Marc Roche.

Elżbieta jest też wierna kultywowanemu od dzieciństwa, sielskiemu obrazowi swojego kraju. Wtedy najbardziej lubiła humoreski P.G. Wodehouse'a – cykl opowieści o przygodach młodego lorda Woostera i jego kamerdynera – autora, którego książki już w chwili wydania przedstawiały archaiczny obraz życia brytyjskich wyższych sfer. Dziś jedyną organizacją, do której należy, jest Women's Institute – założony w 1915 r. wiejski ruch kobiet, który powstał po to, „by Anglia pozostała zielona i pełna uroku".

Natomiast David Owen, były minister spraw zagranicznych, za zaletę Elżbiety II uznaje „odwagę bycia nieinteresującą" – kluczową, zdaniem dyplomaty, dla równowagi konstytucyjnej państwa. „Wszyscy chcą zwracać na siebie uwagę, ale trzeba prawdziwej dyscypliny, aby pozostać nieinteresującą. Podczas oficjalnego obiadu nie powinno się spotykać prawdziwego, żywego człowieka" – mówił lord Owen Robertowi Hardmanowi o królowej, której zresztą, na żadną nudę nie narzekając, towarzyszył w wielu wyjazdach zagranicznych.

Wciąż na znaczkach

Za granicą występuje w pięciu rolach: monarchini Zjednoczonego Królestwa, przywódczyni Wspólnoty Narodów, królowej brytyjskich terytoriów zależnych (od Gibraltaru po Brytyjskie Terytorium Antarktyczne), monarchini dependencji Korony (m.in. wyspy Man) oraz formalnej głowy państw, które zdecydowały się ją w takiej roli pozostawić (Kanady, Australii czy Nowej Zelandii). Za jej panowania Imperium Brytyjskie przemieniło się we Wspólnotę Brytyjską, w końcu we Wspólnotę Narodów, wolne stowarzyszenie krajów, w dużej mierze byłych kolonii – jeden z najważniejszych osobistych projektów Elżbiety II.

Wiadomo, że potrafi działać zdecydowanie: w latach 60. szef brytyjskiej poczty, który odważył się zaproponować królowej, aby jej wizerunek zniknął ze znaczków, był bez pracy, zanim zdążył wrócić do biura z pałacu Buckingham. Odnalazła jednak wspólny język z dalekimi jej politycznie premierami: Haroldem Wilsonem i Tonym Blairem. Powoli odwracała się hierarchia wieku: szefowie jej pierwszych rządów byli od niej starsi – dziś wielu młodych przyznaje, że cotygodniowe konsultacje z królową mają dla nich charakter wręcz terapeutyczny.

Wszystko to sprawia, że spekulacje o końcu monarchii są trudne, bo, jak pisze Norman Davies, „kryzysy dynastyczne o symptomach śmiertelnej choroby rozwijają się nagle – przychodzą jak zawał. Nie można się na nie przygotować, można tylko dbać o kondycję i zdrowie".

Możliwych jest więc kilka scenariuszy. Np. taki, że po zakończeniu „drugiej epoki elżbietańskiej" Wielka Brytania otrzyma w końcu spisaną konstytucję, monarchia zaś – jeśli przetrwa – zostanie sprowadzona do roli czysto ceremonialnej, jak w Niderlandach, Belgii czy Szwecji. Albo że zagrozi jej dalsza przemiana polityki w stronę populizmu. Boris Johnson, choć sam zdecydowany zwolennik monarchii, chce poszerzania roli premiera; narusza w ten sposób nieformalny system *checks and balances*, który do tej pory, mimo wspomnianego braku konstytucji, działał w kraju dobrze.

Sny o końcu

Koniec brytyjskiej monarchii jeszcze za panowania Elżbiety II wieszczono więc od lat. Były to sny na jawie – najciekawiej prezentowały się w literaturze.

Wydana w 1992 r. powieść angielskiej pisarki Sue Townsend „The Queen and I" („Królowa i ja"), przypomniana przez Daviesa w „Wyspach", opisuje przyjazd do pałacu Buckingham przewodniczącego Ludowej Partii Republikańskiej, która właśnie wygrała wybory i zamierza przenieść Elżbietę II i jej bliskich do domu opieki:

„Królowa skrzywiła się, widząc, że Jack Barber gasi papierosa na jedwabnym dywanie (...). Książę Karol schylił się, podniósł niedopałek i wsunął go do kieszeni.

Księżniczka Małgorzata powiedziała:

– Lilibet, muszę sobie zapalić. Proszę cię!

– Czy moglibyśmy otworzyć okno, panie Barker? – zapytała królowa.

Jej akcent przejechał po skórze Jacka jak ostry diament.

– Mowy nie ma – odpowiedział".

Książka wyszła na długo przed śmiercią Małgorzaty i królowej matki, w czasie gdy wydawało się, że rodzina królewska jest w stanie rozkładu, a Elżbieta traci kontrolę nie tylko nad nią, ale i nad krajem. Zachwiało nią i nieudane małżeństwo Karola i Diany, i krótki, lecz wymowny gniew opinii publicznej na milczenie królowej – po śmierci księżnej. Wielki pożar zamku w Windsorze, pod koniec 1992 r., był dla Elżbiety jednym z najbardziej traumatycznych przeżyć w życiu.

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne
MARCIN ŻYŁA będzie gościem Agnieszki Lichnerowicz w Światopodglądzie Radia TOK FM w czwartek 30 stycznia o godzinie 15.00
95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław
96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź
97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań
– www.tokfm.pl

W tym samym okresie brytyjskie rządy przeżywały swoje najlepsze dni. Po konserwatyście Johnie Majorze premierzy z Partii Pracy – Tony Blair i Gordon Brown – modernizowali kraj, układali stosunki Londynu ze Szkocją, Republiką Irlandii i Irlandią Północną.

Dziś jest na odwrót. David Cameron, cedując na społeczeństwo decyzję w sprawie tak złożonej jak członkostwo w Unii, otworzył na Wyspach drzwi populistom. Przez trzy i pół roku od referendum brexitowego władza znajdowała się w stanie permanentnego, największego od czterech dekad kryzysu. Największe partie mocno się zradykalizowały, przygotowania do wyjścia z Unii – uznawanego za najbardziej skomplikowane zadanie dla służby cywilnej od II wojny światowej – były chaotyczne; to, co zdarzy się po 1 stycznia 2021 r., po końcu tzw. okresu przejściowego, jest wciąż niepewne.

Monarchia tymczasem kwitnie. W sondażu z 2018 r. dla Ipsos MORI 75 proc. Brytyjczyków, najwięcej od początku takich badań, uznawało, że królowa/król ma do odegrania w przyszłości ważną rolę. Tylko jedna piąta chciałaby, aby Elżbieta II abdykowała w najbliższym czasie. Tak jakby dziś jeszcze bardziej potrzebna była im wiara, że stare, stabilne instytucje, które wiele razy przechodziły próbę, dadzą radę i teraz. Jakby inkluzywność i tolerancja – cechy dotąd rzadko kojarzone z rodami królewskimi – były kolejnym kluczem do zrozumienia epoki królowej. Kiedy jedzie w podróż, „włączeni" w przeżycie są wszyscy, nie ma wykluczonych. Monarchia, tłumaczył jeden z jej doradców, to wszyscy. Wszyscy razem.

Kryzysy wciąż przychodzą, blisko 94-letnia dziś Elżbieta II reaguje na nie jednak coraz lepiej. Odsunięcie w cień księcia Andrzeja – który przyjaźnił się z nieżyjącym już Jeffreyem Epsteinem, oskarżanym o przestępstwa seksualne, i co gorsza: w wywiadzie dla BBC miał trudność z jednoznacznym potępieniem go – nastąpiło jednak dość szybko. Kiedy książę Harry i Meghan Markle zdecydowali porzucić role członków rodziny królewskiej, Elżbieta, inaczej niż kiedyś, zbytnio nie oponowała.

Czasy są inne niż choćby w latach 90. Może dzięki temu, że takich zmian doświadczyła w życiu więcej niż królowa Wiktoria, będzie mogła w wieczór brexitu usiąść w fotelu bez większych nerwów – i wrócić do czytania politycznej fantastyki:

„W Środkowym Salonie królowa odpędziła dłonią dym z papierosa księżniczki Małgorzaty, a potem zapytała:

– Ile mamy czasu?

– Czterdzieści osiem godzin – odpowiedział Jack.

Królowa zauważyła:

– To bardzo krótki termin, proszę pana.

– Już całe lata temu powinniście wiedzieć, że wasz czas się kończy – powiedział Jack. – Zostaniecie powiadomieni o dniu przeprowadzki.

I zwracając się do Karola, dodał:

– Ulżyło, co?".

©℗ MARCIN ŻYŁA

ANWAR HUSSEIN / GETTY IMAGES

W drodze do zamku Balmoral w Szkocji, lotnisko w Aberdeen, początek wakacji 1974 r.

Jak z ulgą zdjąć spodnie na scenie

MAREK RABIJ

Zmarły właśnie Terry Jones zdążył się wcielić w niemal wszystkie kluczowe byty brytyjskiej tożsamości. To, że brexit nastąpi kilkanaście dni po jego pogrzebie, nie może doprawdy być dziełem przypadku.

Bycie Nagim Organistą łączył z funkcją Biskupa Detektywa, który z pastorałem w ręku i w mitrze na głowie ściga przestępców. Zanim we francuskiej restauracji rozerwało go na strzępy po spożyciu miętowego wafelka, zdołał jeszcze urodzić kandydata na mesjasza, jako Karol Marks niemal wygrał komplet mebli w teleturnieju sportowym dla ideologów ustrojów totalitarnych i liznął języków obcych dzięki rozmówkom, w których węgierskie zdanie „Czy może mi pan wskazać drogę na dworzec?" przetłumaczono na angielskie „Proszę, popieść mój tyłeczek".

Pokazywał się publicznie jako dystyngowana dama i stateczny dżentelmenem w meloniku, choć na czele gangu staruszek zdarzało mu się także napadać bezbronnych młodych mężczyzn. Raz wziął nawet udział w supertajnym teście Najzabawniejszego Żartu Świata, którego alianci użyli potem przeciwko Niemcom w Ardenach. Przykuty do ściany lochu nauczył się szanować starożytnych Rzymian. Ręce na szczęście wytrzymały tortury i już wkrótce mógł zagrać pierwszy koncert fortepianowy Czajkowskiego, wydostając się przy tym z worka i zrzucając kajdanki.

W konwencji pythonowskich mów pogrzebowych od czasu pożegnania Grahama Chapmana (1989) patos nie jest wskazany, ale tym razem nie wypada nie wspomnieć, że zmarłemu 21 stycznia Terry'emu Jonesowi (1942–2020) w trakcie kariery aktorskiej udało się wcielić w niemal wszystkie kluczowe byty brytyjskiej tożsamości.

Spoliczkowani rybami

Monty Pythona nie byłoby bez Oksfordu. Studenci tutejszego uniwersytetu, Michael Palin i Terry Jones spotkali tam Johna Cleese'a, Grahama Chapmana i Erica Idle'a z konkurencyjnego Cambridge; później dołączył do nich Amerykanin Terry Gilliam. W genotypie pythonowskiego humoru od początku mocno wyczuwalny był sznyt tutejszej studenckiej burleski niestroniącej od absurdu i obsceniczności. Czym innym były jednak takie ekscesy w ramach studenckich juwenaliów, a czym innym epatowanie nimi na antenie szacownej BBC, która jeszcze kilka dekad wcześniej puszczała w eter modlitwy oraz informacje o cenach skupu żywca.

„Proszę zamienić słowo ze swoimi autorami – pisał dwa tygodnie po emisji pierwszego odcinka „Latającego Cyrku Monty Pythona" szef BBC Comedy Michael Mills do producenta Iana MacNaughtona. – Do tej pory nie reagowałem na to, co pojawia się w scenariuszu, w nadziei, że sami twórcy narzucą sobie pewne ograniczenia. (...) Niech spróbują wyprodukować coś w dobrym guście".

Reakcje widzów również nie zwiastowały narodzin nowego telewizyjnego fenomenu. „Program był momentami zabawny, ale w pozostałych chwilach po prostu głupi" – zanotował 1 grudnia 1969 r. anonimowy urzędnik departamentu badań widowni BBC.

Owszem, był. Nie pozostawiał jednak widzów obojętnymi. Dlatego Robert Seatter, szef BBC History, pisząc niedawno na półwiecze działalności grupy, że rozkwit tak kontrowersyjnego fenomenu w konserwatywnym środowisku BBC najlepiej świadczył o zdolności Brytanii do kulturowej mimikry, zaznaczył od razu, że to Pythoni swoją twórczością systematycznie przesuwali granice tego, co publicznie dopuszczalne w sferze skostniałych brytyjskich obyczajów. „W jednym ze skeczy bohaterowie policzkują się rybami. W pewnym sensie to samo Pythoni zafundowali całemu krajowi" – zauważa Seatter.

Przekłuwanie imperium

Z członkami Monty Pythona bywa tak jak z Beatlesami – kochając twórczość zespołu, można mieć jednocześnie ulubieńca. Choćby Johna Cleese'a w klasycznym numerze o Ministerstwie Głupich Kroków. Grahama Chapmana jako Briana. Michaela Palina w roli Poncjusza Piłata, rzymskiego (ang. *roman*) namiestnika nieumiejącego wyartykułować głoski „r". Erica Idle'a jako szefową koła gospodyń wiejskich rekonstruującą z koleżankami bitwę pod Pearl Harbor na błotnistym polu. Czy Terry'ego Gilliama za jego animacje.

Poza Matką Briana i panem Creosote, który w „Sensie życia..." pęka po spożyciu miętowego wafelka, ikoniczną rolą Terry'ego Jonesa jest wcielenie w dżentelmena, który na plaży w Blackpool próbuje znaleźć ustronne miejsce do założenia kąpielówek. W końcu, niepokojony przez kolejnych przechodniów i letników, z ulgą zdejmuje spodnie w ciemnym pomieszczeniu – które nagle okazuje się sceną wypełnionego po brzegi teatru. „Być Anglikiem to czuć ustawiczny strach przed kompromitacją" – pisał Jeremy Paxman w swoim bestsellerze „Anglicy. Opis przypadku".

W twórczości Pythonów przekłuwanie imperialnego balonika było jednym z kluczowych toposów, a proces przekształcania Brytyjczyków w egalitarne społeczeństwo być może nie poszedłby tak gładko, gdyby w debacie publicznej zabrakło wówczas pythonowskiego absurdu: żartów o statecznej BBC nadającej z toalety, plebiscytu na Arystokratycznego Głupola Roku, kpin z figury anglikańskiego biskupa i z brytyjskich alpinistów kontynuujących imperialne tradycje (skecz o wyprawie fryzjerów na Mount Everest).

Być może to przypadek, ale role dżentelmenów, którzy okazują się dewiantami, lub statecznych wiktoriańskich dam, z których wychodzi kołtuneria, upodobał sobie właśnie Terry Jones. Czy w ten osób dawało o sobie znać jego walijskie pochodzenie, za które – odkąd rodzina z pięcioletnim wówczas

Terrym przeniosła się do Anglii – pewnie nie raz obrywał w dzieciństwie od lepiej urodzonych kolegów?

W tej grupie nigdy nie było lidera. Palin i Jones zwykle tworzyli skecze razem. Cleese i Chapman stanowili drugi zespół. Idle wolał pracować samotnie. Potem spotykali się, by przejrzeć swoje pomysły i w demokratyczny sposób („jeśli coś rozśmieszyło co najmniej trzech" – powie po latach Palin) decydowali, co wejdzie do kolejnego odcinka. „Bądźmy szczerzy, większość naszych żartów nie jest wcale śmieszna" – docinał sobie i kolegom Palin.

Publiczność, nie tylko brytyjska, była i jest jednak innego zdania. „Żywot Briana" po 40 latach nie stracił swego obrazoburczego uroku, zwłaszcza gdy w polskiej wersji wspierają go inteligentne tłumaczenia Tomasza Beksińskiego („błogosławieni malujący pokój"). Pythonowski absurd, walczący z autorytetami, ikonami brytyjskości i angielskości, stał się jedną z takich ikon i wzorem dla innych pokoleń komików. Dolary przeciw orzechom, że bez „Latającego Cyrku" nigdy nie byłoby telewizyjnego fenomenu „Małej Brytanii". A może i polskiego kabaretu Mumio.

Dziś, gdy Brytania żegna się z Unią Europejską, pogrążając się na nowo w *splendid isolation* (za czym gorąco opowiadał się swego czasu John Cleese), warto sobie ten humor przypomnieć. Mgła znów wisi nad Kanałem. Ale tym razem to Wyspy są odcięte.

©℗ MAREK RABIJ

TERRY JONES:
– Kim jesteś?
GRAHAM CHAPMAN:
– Jestem Artur, król Brytyjczyków.
– Kto?
– Król.
– Nie głosowałam na ciebie!

„Monty Python i Święty Graal", 1975 r.

JOHN CLEESE:
– Może jeszcze tylko ten miętowy cienki wafelek, monsieur?
TERRY JONES:
– Odwal się, jestem pełen.

„Sens życia według Monty Pythona", 1983 r.

YOUTUBE X3

GRAHAM CHAPMAN:
– Dlaczego kobiety nie mogą chodzić na kamienowanie, mamo?
TEERY JONES:
– Bo tak jest napisane!

„Żywot Briana", 1979 r.

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc, Michał Okoński, Marek Rabij, Mariusz Sepioło, Andrzej Stankiewicz, Przemysław Wilczyński, Rafał Woś
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik), Marcin Żyła **Historia:** Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioło, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik)
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Michał Okoński
TP Typografia: Andrzej Leśniak, Marta Bogucka, Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Maja Kuczmińska (kierownik), Anna Dziurdzikowska, Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Mateusz Gawron, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietoniści: Wojciech Bonowicz, Anna Dziewit-Meller, Szymon Hołownia, Jan Klata, Stanisław Mancewicz, Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, o. Wacław Hryniewicz, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Marcelina Szumer-Brysz, Paweł Śpiewak, Jacek Taran, Joachim Trenkner
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (członkini)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków, ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11, redakcja@tygodnik.com.pl
Reklama, promocja: tel. 12-422-05-70, reklama@tygodnik.com.pl, promocja@tygodnik.com.pl
Prenumerata: tel. 12-431-26-83, prenumerata@tygodnik.com.pl

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA — S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

Quad Graphics — Quad/Graphics w Wyszkowie drukuje „Tygodnik Powszechny"

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

PAWEŁ

Śpiewak: *Realizm ksiąg mądrościowych*

Księgi mądrości zawierają wiele rad czysto pragmatycznych. Uczą, jak się odnaleźć w konkretnych sytuacjach i jaką miarę w nich zachować. Nie są to z pewnością instrukcje, które mają uczynić ludzi lepszymi. Mędrcy nie mieli takich zamierzeń. Chcieli ludzi uczynić bardziej ludzkimi, dać im wgląd i udział w tworzeniu czegoś, co dzisiaj nazywamy kulturą Izraela. Nie ma tu mowy o kolejnych etapach wyzwolenia po to, by żyć w pełni albo stać się nowym człowiekiem. Nie znajdziemy w tych Księgach obrazu idealnego życia, które przekracza to, co znamy. Ogólnie rzec można: mędrcy unikają wszelkiego utopijnego myślenia. Nie jestem przekonany, czy w ogóle ciekawi ich nawet teologia zbawienia. Z całą pewnością uczą jednego: jak wsłuchiwać się w pierwotny porządek Stworzenia i szukać w nim schronienia oraz ładu.

Przyjęli w swoich studiach postawę realistyczną i w centrum rozważań postawili człowieka w jego konkretności, w jego związkach z otoczeniem, w którym jest zarazem podmiotem i przedmiotem, bywa aktywny lub bierny, mądry lub głupi. Bez tego spojrzenia na nas samych przez związki ze światem nie byłaby mądrość Izraela zrozumiała. Izrael mało lub zgoła nic nie wiedział o naturze ludzkiej pojętej abstrakcyjnie. Osoby ludzkie znał w interakcjach, powiązaniach, relacjach z innymi ludźmi, z czasem, przez naturę nas otaczającą, a przede wszystkim przez okrytą ciemnością obecność Najwyższego. To byli ludzie biedni, bogaci, strudzeni lub cieszący się owocami swojej pracy, sprawiedliwi i niesprawiedliwi. I przez te cechy czy jakości życia są widziani i oceniani.

W tym sensie nauczyciele mądrości posługiwali się bardzo rzeczowym obrazem ludzi. Mieli oni, każdy w swoich cechach i okolicznościach, poszukiwać swojego ładu duszy. Istniejemy, uczyli, w obliczu olbrzymiej zmienności rzeczy, a tym samym reguły życia muszą zachować swoją ważność wobec wielości możliwych zastosowań. Mądrość nie była abstrakcją, wyrastała z doświadczenia codziennego i do niego powracała uzbrojona w lepsze narzędzia rozumienia i przeżywania. Odkrywali ów pierwotny porządek istnienia w poczuciu wzniosłości tego, co opisują. Był on czymś pięknym i cudownym. Dlatego wymagał specjalnego języka. Wymagał mowy poetyckiej. Między pragmatycznymi pouczeniami a szczególnym poczuciem wzniosłości powstawała więź niemożliwa do przeoczenia. Trudno wątpić w estetyczny zmysł Izraela, choć nie był on celem samym w sobie.

Świat Ksiąg mądrości był światem hierarchicznym. Jedynie niektórym dany był wgląd w porządek ludzkiego postępowania. Oni budzili w nas kulturę życia. Głupcy zamknięci w sobie pędzili życie nierefleksyjne, zamknięci na to, co wzniosłe i co może być podstawą zaufania do Boga i Stworzenia. ©

O. WACŁAW

Oszajca: *Władca śmierci*

W Święto Ofiarowania Pańskiego, czyli Matki Bożej Gromnicznej, w kościołach błogosławi się gromnice. Dawniej po przyjściu do domu zapalano je i na bierzmie wypalano krzyż, opalano też pęczek włosów na głowach domowników, a w lecie podczas burzy zapaloną gromnicę ustawiano w oknie – w ten sposób zabezpieczano się przed piorunami. Działanie tego odgromnika wzmacniano, kwitując błyskawice cytatem: „A Słowo Ciałem się stało i zamieszkało między nami".

Najważniejszym zadaniem gromnicy było jednak przeprowadzenie umierającego z „życia do życia". Pamiętam takie czasy, kiedy ludzie woleli umierać świadomie, i o to się modlili, śpiewając suplikacje: „Od nagłej a niespodziewanej śmierci / zachowaj nas, Panie". Umierającemu dawano do rąk zapaloną gromnicę i gaszono ją po skonaniu. Wreszcie, znamy obraz Piotra Stachiewicza, na którym „Maryja odpędza zapaloną świecą wilki od siedzib ludzkich".

Zabobon! Niekoniecznie, raczej pewien typ religijności, zwany, czasami pogardliwie, ludowym, który wcale nie musi się kłócić z prawomyślną doktryną. Papież Franciszek: „religijność ludowa jest prawdziwą formą ewangelizacji, którą trzeba zawsze popierać i dowartościowywać, nie pomniejszając jej znaczenia. W sanktuariach bowiem nasi ludzie żyją swą głęboką duchowością, tą pobożnością, która od wieków kształtowała wiarę przez nabożeństwa proste, ale bardzo znaczące". Pielgrzym „niesie z sobą swoją historię, swoją wiarę, blaski i cienie własnego życia" i kiedy „wchodzi do sanktuarium, czuje od razu, że jest u siebie w domu, przyjęty, zrozumiany i wsparty". Sanktuarium jest przecież „domem przebaczenia, gdzie każdy spotyka się z czułością Ojca, który ma miłosierdzie dla wszystkich, nikogo nie wyklucza". Każdy, kto wtedy przystępuje do konfesjonału, mówi papież, „wyraźnie rozumie, że Bóg go nie potępia, ale przyjmuje i bierze w ramiona, jak ojciec syna marnotrawnego, by przywrócić mu godność synowską". Okazuje się, że ludowe wierzenia, związane z użyciem gromnicy, ratujące biologiczne życie człowieka, mogą też uratować jego życie duchowe, religijne.

Światło gromnicy przeprowadzało umierającego z „życia do życia". Dla nas najprawdziwszym światłem, które „oświeca każdego człowieka, gdy na świat przychodzi", jest Jezus. W Liście do Hebrajczyków czytamy, że On stał się człowiekiem, aby „przez śmierć mógł pokonać diabła, dzierżącego władzę nad śmiercią, i aby uwolnić tych, którzy bojąc się śmierci, całe życie podlegali niewoli". Ten strach niejednego z nas wciąż paraliżuje. Żyjemy tak, jakby śmierci nie było – nic dziwnego, że jeśli się już zjawi, nie umiemy jej przyjąć. A przecież Jezus śmierć też „zbawił ode złego", i to tak dalece, że św. Izaak Syryjczyk ułożył modlitwę za demony.©

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Bałwochwalstwo

Kiedy zaczynamy lekturę 15. rozdziału Pierwszej Księgi Samuela, nic nie zapowiada upadku Saula. Oto król wyruszył na wojnę z Amalekitami, zwołał ponad 200-tysięczną armię i odniósł spektakularne zwycięstwo. I to właśnie ono go przerosło.

Prosto z pola bitwy Saul poprowadził swoich ludzi na Górę Karmel i tam postawił sobie (!) pomnik (1 Sm 15, 12). Podobnie jak ludzie, którzy stawiali wieżę Babel jako pomnik „swojemu imieniu" (zob. Rdz 11, 4). Z Karmelu dopiero udał się do Gilgal, a tu przyszedł do niego Samuel ze słowem od Pana: „Pan odrzucił cię jako króla" (1 Sm 15, 23).

Mówi się zwykle, że przyczyną odrzucenia Saula było jego nieposłuszeństwo: zgodnie z poleceniem Boga miał „obłożyć klątwą" tak wszystkich Amalekitów, jak i całe ich mienie. Nie uczynił tego – pozwolił zachować swoim żołnierzom najlepsze bydło i owce (pozabijał jedynie te „bezwartościowe"). Przepytywany przez Samuela stwierdził, iż (uwaga!) „bał się ludu" (w. 24) oraz że pierwociny z ocalonych zwierząt planował złożyć na ofiarę Bogu; prorok jednak nie dał się zwieść i nazwał Saulową postawę bałwochwalstwem.

„Bałem się ludu" – mówi król, który się znalazł u szczytu potęgi. Zasmakował władzy i boi się ją stracić. Kupuje więc poklask ludzi za cenę łupu, który się im nie należy – wszak wojna była „Pana" i to Pan odniósł zwycięstwo. Zatrzymanie łupu oznacza tak naprawdę zawłaszczenie sobie triumfu przez ludzi. Bojący się o siebie Saul potwierdza pychę swych poddanych. Kupuje swoją władzę – od ludzi, którzy mu jej nie dali!. To przecież Bóg go wybrał na pierwszego króla w Izraelu i to Samuel – w imieniu Boga, nie ludu – go namaścił i uczynił władcą. Mamy więc do czynienia z kompletnym przewróceniem perspektywy: tak lud Boga, jak i jego przywódca zaczynają myśleć i postępować tak, „jakby Bóg nie istniał" – w miejsce wiary pojawiła się polityczna, doczesna, chłodna kalkulacja, w której ostatecznie (zwłaszcza Saulowi) chodzi już nie o Boga, lecz wyłącznie o siebie. O swoją władzę, pozycję i zyski. Stało się – to dość gorzka konstatacja – to, o czym mówili wtedy, gdy prosili Samuela, by im dał króla. Mówili wtedy: „chcemy być jak inne narody" (por. 1 Sm 8, 5).

Czytamy tę historię jako Kościół – jako nie przeszłą, lecz aktualną przestrogę kierowaną przez Słowo Boga pod adresem Jego ludu. Słyszymy – wraz z nią – słowo Jezusa: „Nie tak będzie między wami...". Staje przed nami poważne pytanie o władzę w Kościele – na każdym jego poziomie (od Kościoła powszechnego po Kościół domowy włącznie): o co w niej chodzi? Czym jest? Czym ma być? Jest wielkim niebezpieczeństwem myśleć o niej jedynie jako o *naszej* władzy sprawowanej *w imieniu* Boga; ona ma być władzą i pierwszeństwem samego Boga. Gdy gubimy właściwą jej dyscyplinę, zostaje nam tylko... strach i polityka. Bałwochwalstwo. ©

Idź ciasną drogą.

ABBA POJMEN

Jeśli będziesz szukał prawdy i wiedzy, to je znajdziesz. Jeśli będziesz szukał czegoś dla siebie, może i znajdziesz coś dla siebie – lecz stracisz szansę na osiągnięcie wyższego poziomu rozwoju.

SUFI PAULAD Z ERYWANIA

Wybrał PIOTR SIKORA

CZYTANIA LITURGICZNE (2 – 9 II)

Niedziela, Święto Ofiarowania Pańskiego: Ml 3, 1-4; Ps 24; Hbr 2, 14-18; Łk 2, 22-40;
Poniedziałek: 2 Sm 15, 13-14. 30; 16, 5-13a; Ps 3; Mk 5, 1-20;
Wtorek: 2 Sm 18, 9-10. 14b. 24-25a. 31 – 19, 3; Ps 86; Mk 5, 21-43;
Środa: 2 Sm 24, 2. 9-17; Ps 32; Mk 6, 1-6;
Czwartek: 1 Krl 2, 1-4. 10-12; 1 Krn 29; Mk 6, 7-13;
Piątek: Syr 47, 2-11; Ps 18; Mk 6, 14-29;
Sobota: 1 Krl 3, 4-13; Ps 119; Mk 6, 30-34;
5. niedziela zwykła: Iz 58, 7-10; Ps 112; 1 Kor 2, 1-5; Mt 5, 13-16.

W OCZEKIWANIU NA WYBUCH

Podważanie niezależności sądownictwa wyzwoliło energię ulicznych demonstracji, ale ostatecznie efektywnym hamulcem okazały się instytucje unijne. W tej sytuacji łatwo o frustrację i coraz trudniej o kolejne mobilizacje.

PAWEŁ MARCZEWSKI

Kiedy dekadę temu przez świat przetoczyła się fala protestów przeciwko nierównościom ekonomicznym obnażonym przez kryzys finansowy, wydawało się, że czeka nas przewartościowanie podstaw ładu gospodarczego i społecznego. Jednak im dłużej trzeba było czekać na tę rewolucję, tym chętniej spisywano na straty takie ruchy jak nowojorski Occupy Wall Street i bardziej lokalne manifestacje kolektywnego niezadowolenia. Kiedy amerykańska gospodarka zaczęła się odbijać, a grecki rząd ugiął się pod żądaniami „Trojki", wydawało się, że nie tylko rewolucja społeczna, ale i rewolucja w myśleniu o gospodarce, na przykład w zakresie tego, czym w swojej istocie jest dług, okazała się niemożliwa.

Ostatnie dziesięciolecie zaczęło się zatem od wielkiego, globalnego trzęsienia ziemi, po którym zapanowała pełna rozczarowania cisza. Czy to oznacza jednak, że potencjał gniewu społecznego został wyczerpany i globalni marzyciele śniący o bardziej sprawiedliwym świecie mogą w najlepszym wypadku liczyć na drobne korekty co bardziej oczywistych i dokuczliwych niesprawiedliwości?

Ross Douthat, wpływowy amerykański publicysta, obecnie pełniący rolę dyżurnego konserwatywnego głosu na łamach „New York Timesa", przekonywał niedawno w tekście podsumowującym ostatnią dekadę, że było to dziesięciolecie naznaczone dekadencją. Ducha czasów definiuje dziś jego zdaniem osobliwa mieszanka „stabilizacji połączonej z rozczarowaniem, patowości z radykalizacją, szaleństwa z beznamiętnością i apatią". Douthat pisze o społeczeństwie amerykańskim, ale jego diagnoza daje się z łatwością uogólnić. Także w Polsce mnóstwo osób odczuwa, że zawiedzione nadzieje na wielkie przewartościowanie ustąpiły miejsca radykalizacji języka, emocji, postaw. Ale paradoksalnie towarzyszy temu nadwątlenie wiary w skuteczność protestów, manifestacji i spontanicznej samoorganizacji obywateli.

Bezradność po polsku

Czujemy się, niezależnie od konkretnych sympatii politycznych, coraz bardziej bezradni i zarazem coraz bardziej wściekli. Zwolennicy PiS mogą oczywiście cieszyć się z kolejnych zwycięstw wyborczych swojej partii i przekonywać samych siebie, że oznaczają one z dawna wyczekiwane ↦

JĘDRZEJ NOWICKI / AGENCJA GAZETA

Nocny protest pod Sądem Najwyższym, w tle Pomnik Powstania Warszawskiego. Warszawa, 4 lipca 2018 r.

wyrównanie rachunków historycznych i ekonomicznych. Dane są jednak nieubłagane – jawne i ukryte nierówności społeczne nie zniknęły, młode pokolenia nie zaczęły masowo chodzić do kościoła, Polska w ostatnich latach przyciągnęła też dużą liczbę imigrantów. Rzeczywistość społeczna kompletnie nie przystaje zatem do wizji polskiego społeczeństwa, którą narzuca partia rządząca, i ten rozdźwięk z pewnością nie ujdzie uwadze jej zwolenników.

Krytycy PiS nie mają jednak czego świętować. Wbrew ich oczekiwaniom, w ostatnich latach wzrósł odsetek ludzi, którzy uważają demokrację za ustrój lepszy od innych i czują się reprezentowani przez któreś z funkcjonujących na scenie politycznej ugrupowań. Wedle prostej narracji części opozycji rządy PiS miały przynieść wzrost tendencji autorytarnych, przyniosły jednak paradoksalnie pewne, przynajmniej deklaratywne, demokratyczne ożywienie, widoczne choćby w wyższej frekwencji w ostatnich trzech kolejnych wyborach. Nie przekłada się jednak ono na realne, głębokie zmiany – ani te postulowane przez PiS i jego zwolenników, ani te zgłaszane przez różne ugrupowania opozycyjne.

Co więcej, w Polsce też odczuwane jest zmęczenie dotychczasowymi protestami. Podważanie niezależności sądownictwa wywołało protesty społeczne, wyzwoliło gigantyczną energię ulicznych demonstracji (zwłaszcza latem 2017 r.), ale ostatecznie najbardziej efektywnym hamulcem okazały się instytucje unijne. Można oczywiście zasadnie argumentować, że bez ulicznej presji Komisja czy TSUE byłyby bardziej opieszałe, ale dla wielu demonstrujących, którzy widzą w swoim działaniu narzędzie realnej zmiany politycznej, jest to zapewne bardzo frustrujące. Jak to? Tysiące ludzi wystaje w chłodzie na ulicach, niektórzy ryzykują przez to w pracy lub w swojej lokalnej społeczności, a ostatecznie sytuację i tak ratują odlegli unijni decydenci? W tej sytuacji łatwo o frustrację i coraz trudniej o kolejne mobilizacje. Opisywana przez Douthata amerykańska dekadencja, połączenie radykalizacji z apatią, ma również swoje lokalne, polskie oblicze.

Ukradziona nadzieja

Upatrywanie przyczyn dekadencji w oporze świata przed głęboką przemianą jest formą obrażania się na rzeczywistość. I starsze pokolenia, które mają za sobą doświadczenie życia w opresyjnych, brutalnych reżimach politycznych, chętnie wytykają rozczarowanym młodym brak wytrwałości i wygodnictwo.

Za komuny ryzykowaliśmy pałowaniem, a wam nie chce się dziś nawet chwilę pomarznąć – tak można by streścić ich żal. Dlaczego oczekujecie natychmiastowych efektów? Zmiany społeczne i polityczne potrzebują czasu, zwłaszcza jeśli chce się je przeprowadzić w sposób pokojowy, unikając rozlewu krwi i przestrzegając demokratycznych standardów.

Dzisiejsza dekadencja to jednak coś poważniejszego niż właściwe wszystkim protestom społecznym niecierpliwość i wypalanie się zapału demonstrantów. Problem leży nie w mniejszej wytrwałości protestujących czy w ich wygodnictwie. Z tymi problemami zmagały się wszystkie ruchy społeczne i demonstracje, to ich nieodłączny element. Dekadencja to jednak coś więcej niż proste zniechęcenie – to głębokie przekonanie o daremności wszelkich protestów połączone z głęboką niezgodą na ten stan rzeczy. To właśnie ma na myśli Douthat, kiedy mówi o splocie radykalizacji z apatią.

Dlaczego głodnych zmian byłych i niedoszłych demonstrantów trawi dziś ta paląca, domagająca się jakiegoś rozwiązania sprzeczność? Otóż ostatni globalny kryzys finansowy różnił się od poprzednich, gdyż nie zniszczył dawnych instytucji. Podważył ich legitymizację, zagroził ich trwałości, ale ostatecznie zdołały się utrzymać po części dzięki publicznym pieniądzom, a po części z braku wystarczająco rozpowszechnionego i przekonującego pomysłu na alternatywę. Nie ma niczego bardziej frustrującego dla społeczeństwa niż niedokończona rewolucja.

Co więcej, symboliczne sukcesy tej niedokończonej rewolucji zostały zagarnięte przez prawicowy populizm. Zamiast obywatelskiego ożywienia, „prawdziwej demokracji teraz", jak głosiło hasło hiszpańskich Oburzonych, kryzys legitymizacji globalnego ładu wyniósł do władzy przede wszystkim samozwańczych trybunów ludowych. Lud sam nie zyskał mocnego głosu i większego wpływu, dostał zamiast tego przedstawicieli, którzy podważyli samą ideę reprezentacji politycznej. Narendra Modi, Donald Trump, Viktor Orbán zanegowali podstawową zasadę demokracji, wedle której przywódcy odpowiadają przed wyborcami i są przez nich cyklicznie rozliczani. Nowi przywódcy nie chcieli być już reprezentantami interesów i politycznych celów konkretnych wyborców, lecz zapragnęli być emanacjami i przekaźnikami wyimaginowanej woli ludu.

Niektórzy wyborcy, wobec braku przekonującej alternatywy i w poczuciu głębokiego rozczarowania dotychczasowym porządkiem, przystali na tę grę pozorów. Z rezygnacją przyjęli, że jedyny nowy ład, na jaki mogą liczyć po obnażeniu niedostatków starego, to retoryczny i symboliczny teatr nowych trybunów ludowych. Im mniej realnych zmian są w stanie wprowadzić nowi antyliberalni liderzy, ograniczając się w zasadzie do działań czysto reaktywnych (zbudować na granicy mur lub przynajmniej postawić płot z drutu kolczastego, rozmontować wprowadzony przez poprzednika system opieki zdrowotnej, wyrzucić niepożądane organizacje pozarządowe z kraju), tym więcej fanfaronady w sławieniu przez nich własnych dokonań i ich przełomowego znaczenia. W którymś momencie rzeczywistość upomni się jednak o swoje i obecni klakierzy populistów zamienią się w następnych dekadentów.

Ci, którzy nie chcieli zaakceptować populistycznego przywództwa jako alternatywy dla dawnego ładu, od razu padli ofiarą dekadencji. Napięcie między apatią a radykalizmem nie może się jednak utrzymywać wiecznie, w którymś momencie musi eksplodować.

Koniec niewinności

Badaczki i analitycy ruchów społecznych mówią często o cyklach. Po okresach wzmożonej mobilizacji, eksplozji energii społecznej następuje etap uspokojenia, po którym ma miejsce kolejna erupcja. Pamięć protestów, form społecznej samoorganizacji i wznoszonych haseł nie znika, nawet jeśli jest nie do końca uświadamiana poza momentami zbiorowej aktywności. Stare protesty inspirują nowe, tworzą tradycję demonstrowania. Kiedy władza ponownie naruszy poczucie społecznej sprawiedliwości, sięgnie po represje albo zagrozi poziomowi życia, społeczeństwo ma już gotowy repertuar środków protestu.

Większość analiz koncentruje się, co zrozumiałe, na momentach wybuchu zbiorowego niezadowolenia. Pytania „dlaczego teraz?" i „czemu w tej formie?" padają na ogół dopiero wtedy, kiedy lu-

dzie są już na ulicach. Faza uspokojenia, etap między szczytowymi punktami cyklu protestów, jest zwykle traktowany po macoszemu. Kiedy nowojorscy demonstranci okupowali park nieopodal Wall Street, interesowały się nimi wszystkie media. Kiedy usunęła ich policja, mało kto starał się prześledzić ich dalsze losy i poświęcił uwagę na zbadanie, co teraz robią. Podobnie było w przypadku protestów przeciwko ACTA w Polsce. Dopiero po sukcesie Kukiz'15 w wyborach do Sejmu w trzy lata po tych protestach co uważniejsi komentatorzy rozpoznali w szeregach tej partii, która nie chciała być partią, niegdysiejszych anty-ACTA-wistów.

To, jakie strategie przyjmują działaczki i aktywiści po zakończeniu protestów, ma fundamentalne znaczenie nie tylko dla ich sukcesu, ale i dla przebiegu przyszłych demonstracji. Dowodzi tego dobitnie wydany przez think tank Carnegie tom „After Protest", zbiór studiów strategii, jakie przyjmowano po zakończeniu masowych protestów w różnych krajach świata. Po Rewolucji Słoneczników na Tajwanie powstała nowa, „aktywistyczna" partia polityczna, która odgrywa istotną rolę w głównym nurcie politycznym. W Turcji podobna próba po demonstracjach w obronie parku Gezi spaliła na panewce. W Rumunii cykl protestów przeciwko korupcji popchnął demonstrujących do szukania wejścia do polityki partyjnej, na Ukrainie rozczarowani powolnym tempem reform skoncentrowali się raczej na lokalnych działaniach i samoorganizacji.

Zasadniczy dylemat, którego rozwiązanie zależy w dużej mierze od tego, czy udało się zmienić władze i czy rządzący sięgnęli po przemoc, polega przede wszystkim na tym, czy wchodzić do oficjalnej, partyjnej polityki i starać się zmienić ją od środka, czy też pozostać niezależnym, organizować się na innowacyjne sposoby, jawnie lub w podziemiu. Pierwsza strategia wiąże się nieuchronnie z ryzykiem kooptacji, przemieniania działaczek i aktywistów w „zwykłych" polityków, którzy zaczynają podtrzymywać dotychczasowy ład i instytucje. Druga strategia grozi kolejnymi porażkami i narastającą frustracją w obliczu systemu, który wydaje się wieczny i wciąż tak samo niesprawiedliwy. W Polsce po fali protestów przeciwko różnym działaniom rządu PiS, po demonstracjach w obronie niezależności sądownictwa czy przeciwko zaostrzeniu ustawy aborcyjnej, aktywistki i demonstranci stanęli przed analogicznym dylematem i w ostatnich wyborach niektórzy znaleźli się na listach wyborczych.

> Kiedy opadną złudzenia, że populizm jest odpowiedzią na głęboką potrzebę realnych zmian, **świat czeka kolejny wybuch społecznego gniewu.** I tym razem fala protestów raczej nie ominie Polski.

Wydaje się, że zarówno w Polsce, jak i na świecie znajdujemy się teraz na „spokojnym" etapie cyklu protestów. Energia chwilowo opadła, wkradło się zniechęcenie, ale towarzyszy mu jednocześnie coraz dalej idąca radykalizacja języka i postaw. Ten dekadencki, niepewny spokój powoli dobiega jednak końca. Im bardziej nic się nie zmienia, tym silniejszy będzie wybuch, kiedy ludzie spróbują – a spróbują na pewno – mimo wszystko coś zmienić.

Płomienie protestu

Protesty Occupy Wall Street i ich pochodne w różnych krajach świata, poza niezgodą na ratowanie banków, które doprowadziły do kryzysu finansowego, za pomocą publicznych pieniędzy, łączyło przekonanie, że najlepszą formą protestu jest sprzeciw bez użycia przemocy. Demonstrujący powoływali się na Gandhiego i jego ideę nieuciekania się do przemocy w żadnych okolicznościach, szczególnie w zetknięciu z przemocą, i wytrwałego obstawania przy prawdzie.

Te inspiracje podzielały ruchy, które pojawiły się w następnych latach, jak choćby Ruch Parasolek demonstrujący w Hongkongu w 2014 r. przeciwko nowym, nieprzejrzystym zasadom wyboru na urząd szefa lokalnej administracji. Protesty „parasolkowe" były pozbawione przemocy, świat obiegły zdjęcia demonstrantów z transparentami, na których przepraszali za niedogodności. W pięć lat później Hongkong stał się areną regularnej ulicznej wojny, kiedy wybuchły nowe protesty, wywołane przez próbę wprowadzenia nowego prawa dającego możliwość ekstradycji do Chin kontynentalnych. Grzecznych studentów z parasolkami zastąpili zamaskowani wojownicy z łukami, przywodzący na myśl postacie z serii postapokaliptycznych filmów „Mad Max".

Skąd wzięła się ta radykalizacja? Odpowiedź samych demonstrantów jest prosta – z desperacji. Poprzednie demonstracje nic nie dały, na szefową administracji wybrano Carrie Lam, która przez wielu obywateli Hongkongu postrzegana jest jako marionetka Pekinu. Policja brutalnie pacyfikowała wszelkie przejawy sprzeciwu i wydawało się, że koniec względnej autonomii Hongkongu jest przesądzony. Demonstrujący młodzi uznali zatem, że ich jedyną szansą jest zastosowanie strategii, którą najlepiej streszcza slogan z serii „Igrzyska śmierci": „Jeśli my płoniemy, wy spłoniecie razem z nami". Chodziło o wyrządzenie tak dotkliwych szkód lokalnej gospodarce, by odczuły to całe Chiny i rozpoczęły rozmowy.

Dramatyczne wydarzenia w Hongkongu, choć wynikają bezpośrednio z lokalnych uwarunkowań, są ważnym sygnałem, że kolejna fala protestów nie będzie już tak niewinna i pozbawiona przemocy jak poprzednia. Po dekadzie rozczarowania i pogłębiającej się niepewności jedynym, co powstrzymuje kolejny wybuch, jest odziedziczone po niepowodzeniach ruchów sprzed dekady poczucie, że protest nic nie daje.

To dziesięciolecie i wydarzenia, które je zapoczątkowały, pokazały jednak, że nowy ład jest konieczny, stary utracił bowiem legitymizację. Kiedy opadną złudzenia, że populizm jest odpowiedzią na głęboką potrzebę realnych zmian, świat czeka kolejny wybuch społecznego gniewu. I tym razem fala protestów raczej nie ominie Polski. Obecna władza skutecznie podważyła niedawny mit o „zielonej wyspie", a wprowadzone przez nią transfery socjalne, których realną wartość coraz bardziej zjada inflacja, nie rozwiązały na dłuższą metę problemu nierówności. Za kilka lat rządzący na świecie będą wspominać Occupy Wall Street, a w Polsce demonstracje w obronie Konstytucji, z dużym sentymentem.

© PAWEŁ MARCZEWSKI

Autor jest szefem działu „Obywatele" w forumIdei, think tanku Fundacji Batorego.

Powolne kruszenie nauczyciela

MONIKA OCHĘDOWSKA

Ostatnie lata poważnie zachwiały kondycją psychofizyczną pracowników oświaty.

Było pochmurne październikowe popołudnie, jechałam z synem do ortodonty – opowiada Małgorzata, drobna blondynka przed czterdziestką. – W radiu przypomnieli, że mija 75. rocznica upadku powstania warszawskiego. Wysłuchałam wiadomości do końca i brakło mi powietrza. Robiłam szybkie wdechy, jakbym przebiegła maraton. To takie wrażenie przyduszenia. Narastający strach wylewa się porami skóry. Bałaś się kiedyś skórą? A ja przecież wiozę dziecko. I nie wiem, co się ze mną dzieje. Interesuję się historią, ale nie na tyle, by atakiem paniki reagować na informacje o rocznicach. To było cztery miesiące po złożeniu wypowiedzenia.

Podróż bez celu

Małgorzata dwa lata wcześniej zaczęła pracować jako anglistka w szkole podstawowej w dużym mieście. Od razu po studiach, lubiła kontakt z dziećmi, wyzwania pracy z trudniejszymi uczniami. Nie wyobrażała sobie spędzania całych dni przed komputerem.

Najpierw w ogóle nie wierzyła, że reforma zaproponowana przez rząd Beaty Szydło dojdzie do skutku. Potem, że minister oświaty Anna Zalewska zdecyduje się przeprowadzić ją tak szybko, w ciągu niecałych dziewięciu miesięcy. W tym czasie zmieniły się niemal wszystkie elementy szkolnego systemu, począwszy od struktury placówek, przez podstawy programowe i podręczniki, a skończywszy na konieczności takiego dostosowania budynków, by mogły przyjąć nowych uczniów. Efekt? – Hałas, smród, ścisk i wieczny pośpiech – puentuje temat Małgorzata.

Do szkoły, w której dotąd były dzieci, przychodzi młodzież, z którą nie wiadomo, jak postępować. Jakby wylądowali kosmici. Skala problemów jest ogromna, od cyberprzemocy po samookaleczenia. Małgorzata ma w klasie uczniów leczonych farmakologicznie z powodów psychiatrycznych, dzieci z ADHD oraz lekkim upośledzeniem. Działa intuicyjnie. Koleżanka przyznaje, że poszła na terapię, bierze coś na uspokojenie – ma 29 godzin lekcyjnych i dwa wychowawstwa. Dyrektorka kazała.

Małgorzatę zmuszono do wzięcia kilku godzin polskiego, bo „przecież ma dwa fakultety". Opór skutkował konfliktem z przełożoną. Do pedagog, dyżurującej raz w miesiącu, trafia tylu uczniów, że czasem dzwoni z prośbą: „Może ty byś załatwiła tę sprawę z Wojtusiem? Ciebie lubi, posłucha". Miała poczucie, jakby ktoś wysłał ją w podróż bez celu. W głowie świeciła się dioda: „Przepraszam, czy leci z nami pilot?". Pilot dwa lata później katapultuje się w Brukseli. Zanim to nastąpi, Małgorzata będzie protestować.

– Strajk? Od entuzjazmu do poczucia bycia zmiażdżoną – wspomina. – Czułam, że się nie liczę, i chyba dotąd nie odzyskałam poczucia godności. Spójrz, co roku dostawaliśmy ścisłe, liczące po sto stron procedury dotyczące przeprowadzania egzaminów i nagle się okazało, że one są niepotrzebne. Każdy może być egzaminatorem. Jak to o nas świadczy? W nocy mogłam spać tylko na boku, z poduszką między nogami. W każdej innej pozycji czułam ból. Przez kilka tygodni z powodu tego bólu się diagnozowałam. Prześwietlenia, wizyty u lekarzy, rehabilitantów. Badania w kierunku dny moczanowej, bo zaczęło mnie boleć kolano. Myślałam, że za dużo jeżdżę na rowerze. Wyniki były w normie.

Powiedziała sobie: najwyżej się zwolnię. Zaraz po strajku rzeczywiście złożyła wypowiedzenie. Nową pracę znajduje już po dwóch tygodniach, dzięki znajomości języka. Zaczyna od najniższego stanowiska i dostaje pensję, na którą w szkole pracowałaby 12 lat. Pojawia się pierwszy atak paniki. Po trzech miesiącach pracodawca oferuje umowę na czas nieokreślony, podwyżkę, premię. Tyle, ile w szkole zarabiałaby dopiero za rok, po napisaniu stosu sprawozdań niezbędnych do uzyskania stopnia nauczyciela dyplomowanego. To odbudowuje jej wiarę w siebie. I wtedy, tuż przed świętami Bożego Narodzenia, przychodzi kolejny atak. Nie rozumie reakcji własnego ciała.

– Jestem rozkojarzona, drażliwa, nerwowa – mówi z niepokojem. – Weszłam do gabinetu psychiatry, przedstawiłam się i zaczęłam płakać. Myślałam, że takie sytuacje przytrafiają się tylko bohaterkom melodramatów.

Lekarka wyjaśnia, że wypaleniu zawodowemu, wbrew przekonaniu o jego depresyjnym charakterze, towarzyszy wiele emocji. Frustracja i gniew nie są jedyne. Często pojawiają się strach i lęk. Ciało przejmuje kontrolę, zaczyna myśleć za nas.

Więcej umów niż ludzi

We wrześniu 2019 r. szkoły średnie musiały przyjąć blisko 370 tys. więcej uczniów, łącznie prawie 706 tys. absolwentów. Pod koniec wakacji tylko w ośmiu województwach brakowało ponad 7 tys. nauczycieli. Najwięcej na Mazowszu, głównie specjalistów od języków. Angliści niemal w każdym województwie byli w pierwszej trójce najczęściej poszukiwanych nauczycieli. To prawdopodobnie przejściowy problem, bo pojawienie się podwójnego rocznika spowodowało potrzebę zwiększenia liczebności w obsadach szkół i po trzech latach sytuacja nie będzie tak dramatyczna – uspokajają eksperci.

Jak jest po pierwszym półroczu? Na stronach kuratoriów wciąż widnieją ogłoszenia informujące o dostępnych wakatach. W województwie mazowieckim jest ich niemal tysiąc, w małopolskim poszukiwanych jest wciąż prawie dwustu nauczycieli, w tym ponad osiemdziesięciu w samym Krakowie – na cały etat. W Szczecinie brakuje przede wszystkim nauczycieli wychowania przedszkolnego, wykładowców angielskiego, niemieckiego i matematyki.

Kuratoria nie mają informacji o liczbie nauczycieli, którzy w ubiegłym roku odeszli z pracy. W danych, którymi się dzielą, najczęściej nie są uwzględniani lu-

ŁUKASZ DEJNAROWICZ / FORUM

Anna Zalewska, ówczesna minister edukacji, otwiera salę gimnastyczną w szkole podstawowej im. Kawalerów Orderu Uśmiechu w Borczu. 3 lutego 2017 r.

dzie, a umowy. Statystyki Ministerstwa Edukacji pokazują, że w latach 2014-18 (nie ma jeszcze danych za rok 2019) liczba etatów w oświacie systematycznie rosła. – Tylko że niektórzy nauczyciele mają zawarte dwa stosunki pracy, w tym na przykład jeden na czas określony – mówi „Tygodnikowi" Anna Kij z Kuratorium Oświaty w Katowicach. – Mogą mieć miejsce sytuacje, że nauczyciel w jednym roku ma zawarte dwie lub trzy umowy, a w następnym jedną, i odwrotnie.

Kij potwierdza jednak, że w województwie śląskim zawieranych z nauczycielami umów na bieżący rok szkolny jest mniej niż w roku poprzedzającym strajk.

Co pokazują te statystyki? – Stres – wyjaśnia profesor UAM dr hab. Jacek Pyżalski, od lat zajmujący się badaniem psychospołecznych warunków pracy polskich nauczycieli. – Ktoś, kto pracował całe życie z nastolatkami, nagle z konieczności uczy młodsze dzieci i na pewno czuje się do tego nieprzygotowany, bo metodyka jest zupełnie inna. Do tego dochodzi niepewność, czy znajdą się godziny umożliwiające skompletować etat. A jest wielu nauczycieli łączących etaty.

W tym roku szkolnym w samym województwie śląskim jest ich 4380. – Niewątpliwie nie jest to czynnik pozytywny – ocenia Pyżalski. – Nie ma badań, które pokazałyby, jak wygląda aktualnie kondycja nauczycieli. Ale z moich obserwacji i rozmów wynika, że ubiegłoroczna sytuacja najbardziej dotknęła zaangażowanych pedagogów, tych, którzy włożyli w swój zawód najwięcej serca.

Oczywiście, nauczyciele byli i są nieustannie narażeni na stres, bardziej niż inne grupy zawodowe. – To wynika z szeregu czynników, począwszy od sposobu zarządzania szkołą i klimatu tego zarządzania, przez stosunki w radzie pedagogicznej, a skończywszy na samej pracy z uczniami – tłumaczy Pyżalski. – Mam tu na myśli na przykład obecność uczniów ze specjalnymi potrzebami edukacyjnymi, którzy stawiają nauczycielom naprawdę duże wymagania, a takich uczniów jest coraz więcej.

A jeśli w tej „rutynie" pojawia się dodatkowy czynnik stresogenny? – Następuje sytuacja krytyczna – odpowiada Pyżalski.

Od bezradności do przemocy

Zawód nauczyciela należy do grupy tzw. profesji pomocowych. W jego specyfikę wpisana jest dysproporcja między dawaniem a braniem na poziomie psychologicznym. Oznacza to, że satysfakcja czerpana z pracy często nie jest w stanie zbilansować ponoszonych kosztów. Z badań prof. Pyżalskiego wynika, że nawet 75 proc. nauczycieli czuje się nieprzygotowanych do radzenia sobie w niektórych trudnych sytuacjach związanych z pracą. Rozbieżność między wymaganiami, jakie stawia się pedagogom, a niezdolnością do ich przyjęcia to prosta droga do kryzysu.

Ostatnie badania nad kondycją psychofizyczną nauczycieli prof. Pyżalski prowadził dziesięć lat temu. Ale na szczycie rankingu czynników wywołujących stres już wówczas znalazły się obciążenia wynikające z organizacji systemu oświaty. 20 proc. nauczycieli zdradzało pełne objawy zespołu wypalenia zawodowego, większość zaraz po rozpoczęciu pracy w zawodzie.

Co się dzieje, gdy nauczyciela dopada rezygnacja? – W obronie przed tym, że za dużo kosztuje nas praca z drugim człowiekiem, na przykład uczniem przejawiającym zaburzenia zachowania albo uczniem agresywnym, kiedy się czujemy bezradni, albo wycofujemy się z relacji, albo wykonujemy w pracy tylko niezbędne minimum. Nauczyciel z początku po prostu się dystansuje – wyjaśnia Pyżalski. – Ten mechanizm pełni z jednej strony rolę regulacyjną. Oddalenie się od podopiecznych oszczędza nauczycielowi negatywnych emocji.

Czy to niebezpieczne? Taka sytuacja tak czy owak odbije się na uczniach, ale jej istotą jest obrona siebie. Daje jednak możliwość zbudowania bezpiecznej przestrzeni, przetrwania.

„Nauczyciel, który wielokrotnie znajdzie się w sytuacji bezradności, może wytworzyć system »twardych« przekonań" – pisał w analizie wyników swoich badań Pyżalski. Oznacza to, że poziom wypalenia zawodowego przekłada się bezpośrednio na poglądy dotyczące postępowania z uczniami. I tak, przekonanie o skuteczności krzyku i przemocy podzielało w badaniach prof. Pyżalskiego aż 65 proc. badanych nauczycieli. Z kolei 30 proc. wierzyło, że są uczniowie, w stosunku do których kary cielesne są jedyną skuteczną metodą wychowawczą. Aż 15 proc. badanych chciało, aby taka kara była dozwolona, choćby po to, żeby nauczyciel mógł nią postraszyć, a 13 proc. uwzględniało możliwość wprowadzenia takiej kary, pod warunkiem że jednoznacznie ↦

określi się procedury jej zastosowania. 8 proc. ankietowanych dawało pedagogom przyzwolenie do wymierzenia, zakazanej prawem, lekkiej kary cielesnej. Tak było dziesięć lat temu. Czy wiemy, jak jest dziś?

– Mimo wszystko obserwuję w ostatnich latach pozytywne zmiany. Pomysły na kształcenie nauczycieli przeszły długą ewolucję. Działają uczelniane szkoły praktyk, w ramach których studenci mają okazję zobaczyć, jak wygląda praca na wszystkich poziomach edukacji. Studenci uczą się o bieżących problemach związanych z pracą z młodzieżą, nabywają kompetencji w zakresie komunikacji, poznają nowoczesne rozwiązania dydaktyczne. Działają grupy samopomocowe, np. superbelfrzy, grupy zrzeszające nauczycieli konkretnych przedmiotów. Gdybym miał dzisiejszą sytuację porównywać z tą sprzed dekady, jest dużo lepiej.

Realizowane zaraz po strajku badania CBOS-u pokazały drgnięcie poważania zawodu nauczyciela na krzywej zaufania społecznego – ponad trzy czwarte z nas czuje respekt przed nauczycielem. Ten zawód cieszy się dziś większym szacunkiem Polaków niż informatycy, księgowi czy adwokaci. Nie towarzyszą temu jednak żadne systemowe działania nastawione na wspieranie tego poczucia wśród samych pedagogów. Nie prowadzi się badań diagnostycznych, weryfikujących warunki pracy i zdrowie nauczycieli, które pozwoliłyby na śledzenie trendów oraz wprowadzanie profilaktyki. Przeciwnie, ostatnie lata skutecznie destabilizowały kruchą kondycję psychofizyczną osób pracujących w oświacie. W jesiennych ankietach przeprowadzonych przez ZNP wśród ponad 200 tys. nauczycieli 46 proc. zadeklarowało, że stan systemu edukacji uważa za zły lub niedopuszczalny, 47 proc. oceniło go „na trójkę".

– Niektórym trudno zrozumieć, że nie można inwestować w uczniów, nie inwestując w ich nauczycieli – podsumowuje prof. Pyżalski. Światowa Organizacja Zdrowia od lat powtarza jak mantrę: nie ma zdrowego psychicznie ucznia bez zdrowego psychicznie nauczyciela.

©℗ MONIKA OCHĘDOWSKA

BORYS MAKARY

Rafał Ziobro w lodowej kąpieli przed jedną z wypraw, Kraków, 2011 r.

Lanolinę wcieraj na ciepło

MAREK RABIJ

W noc przed sztafetą gorączka skoczyła mu do 39 stopni. Woda w Pacyfiku ma trzy stopnie, ale Rafał Ziobro wie, że drugiej okazji do przepłynięcia wpław Cieśniny Beringa nie dostanie.

Nad filiżanką herbaty tańczą obłoczki pary. Wnętrze pachnie świeżo zmieloną kawą i korzennymi przyprawami. Mżawka na zewnątrz skutecznie wypędza kolejnych turystów z krakowskiego Rynku i dzwonek w drzwiach kawiarni raz za razem oznajmia przybycie kolejnych zziębniętych gości.

– Różnica temperatur – rzuca Rafał, spoglądając w stronę kobiety w zaparowanych okularach. – Nie uwierzysz, ale ja marznąć nie lubię.

Na zdjęciach sprzed kilku lat Ziobro, rocznik 1977, wygląda na kilkanaście kilogramów więcej niż teraz, gdy przy filiżance kawy opowiada o swojej drodze od amatora alpinizmu do niemal wyczynowego pływaka. Niemal, bo Rafał upiera się, że w pływaniu tylko raz otarł się o zawodowstwo. I na więcej nie ma ochoty.

– Jako pierwszy Polak i dziewiąty człowiek w historii przepłynąłem Cieśninę Magellana. Uczestniczyłem też w sztafecie, która dokonała pierwszego i jak dotąd jedynego przepłynięcia Cieśniny Beringa – wylicza. – Jestem również pierwszym Polakiem, który wpław dotarł do Afryki przez Cieśninę Gibraltarską, i jedną z kilku osób, którym udało się przepłynąć ponad kilometr w lodowatych wodach wokół przylądka Horn.

Tyle że – jak twierdzi – wszystko to pozostaje w zasięgu każdego zdrowego i w miarę zdeterminowanego człowieka. – Nie mam ani wyjątkowej odporności na niskie temperatury, ani wybitnego talentu pływackiego, o który się zresztą nigdy nie podejrzewałem, bo pływać nauczyłem się dopiero w szkole średniej – tłumaczy wpatrzony w filiżankę swojej kawy. – Zawsze ciągnęło mnie jednak do przygód i podróżowania. Na studiach zafascynowałem się taternictwem, zrobiłem kursy i zaliczyłem kilka sezonów w górach, aż dotarło do mnie, że ani wybitnym, ani nawet dobrym alpinistą nigdy nie będę.

Potem o wszystkim zdecydował przypadek. Na jednej z imprez Rafał założył się, że przepłynie delfinem 3,8 km, czyli dystans, który triathloniści pokonują wpław podczas zawodów Iron Man. Słowo się rzekło. Na basenie krakowskiej Akademii Ekonomicznej zaczął systematyczne treningi.

– I sam nie wiem kiedy mnie to pływanie całkowicie wciągnęło – rozkłada ręce.

Szczęście debiutanta

Latem 2008 r. Ziobrowie ruszają na wakacje na południe Hiszpanii, gdzie Rafał zamierza wejść do wody i wyjść już w Afryce – pokonując Cieśninę Gibraltarską. Godziny spędzone na basenie napawają go nadzieją, że 14 kilometrów przesmyku łączącego Morze Śródziemne z Atlantykiem nie będzie wyzwaniem ponad jego możliwości. – Dziś jestem pewien, że dałem radę tylko dlatego, że nie zdawałem sobie sprawy z tego, na co się porywam. Nie wiedziałem nawet, że tam się czeka latami na zgodę kapitanatu. Złożyłem wniosek, okazało się, że jakiś pływak wypadł z rozkładu i wskoczyłem na jego miejsce. W internecie wyczytałem, że pływacy długodystansowi zabezpieczają się przed utratą ciepła smarując ciało lanoliną, ale nie wiedziałem, że to się nakłada na skórę po podgrzaniu. No i wklepywałem w skórę zimny tłuszcz, który nie chciał się trzymać albo zbijał się w grudy.

Start był, jak twierdzi, wręcz przyjemny. Ciepła woda, słaby wiatr, głowa wolna od wątpliwości i niezła kondycja. Po kilku kilometrach odezwało się jednak zapalenie barku. Potem dopadły go silne prądy. – Jedną ręką nie mogłem ruszać. Do tego prąd ściągał mnie na wschód. W pewnym momencie zobaczyłem ostatni cypel na wybrzeżu marokańskim, za którym linia brzegowa uciekała ostro na południe i zrozumiałem, że jeśli w niego nie trafię, zepchnie mnie na wody otwarte. Jakimś cudem się do niego dowlokłem.

Pierwsze polskie przepłynięcie Gibraltaru, zgodnie z przewidywaniami Rafała, nie zostało w Polsce nawet zauważone. Pływanie długodystansowe, jak twierdzi, nigdy nie zawładnie masową wyobraźnią. – Do tego nie trzeba góry sprzętu, nikomu nie opłaca się więc promować tej dyscypliny – przekonuje Ziobro. – Wiem, co mówię, bo prowadzę firmę, która handluje sprzętem sportowym. No i mile widziana jest tu lekka nadwaga, co kłóci się z kanonem współczesnej urody.

Eskapada okazała się jednak bezcenna w wymiarze prywatnym, bo uświadomiła Rafałowi, że stać go na więcej. Od kilku lat trenował także w wodach otwartych. Kiedy po lecie przychodziła jesień, spędzał ją na zalewie w Kryspinowie. Zimą przenosił się na Wisłę koło kombinatu w Nowej Hucie, gdzie znajduje się zrzut wody używanej podczas produkcji stali i rzeka nie zamarza nawet w silne mrozy. I zaczął rozglądać się za kolejnym celem.

W afrykańskiej pralce

Rok 2010. Próba opłynięcia Przylądka Dobrej Nadziei musi rozpocząć się na jednej z plaż. Od strony lądu, który opada tu do morza stromymi klifami, trudno się do nich dostać, Rafał płynie więc na nią wynajętą łodzią. Ostatnie kilkaset metrów przez strefę przyboju musi jednak pokonać wpław. Kiedy postawi stopę na kamienistym brzegu, będzie mógł ruszyć ponownie w morze, już w celu opłynięcia przylądka.

– Z pokładu widać było, że morze jest wzburzone, ale strach poczułem dopiero, gdy wskoczyłem do wody. Pierwsza fala, która przyszła zza pleców, dosłownie wbiła mnie w skaliste dno. Potem kolejne. Czułem się jak w pralce nastawionej na wirowanie, do której ktoś dosypał kamieni. Dopłynąłem w końcu do plaży, ale poobijany i wystraszony. Mowy nie było, żeby w tym stanie kontynuować próbę, na szczęście moi znajomi z łodzi w porę wezwali wsparcie od strony lądu.

Zamiast wokół Przylądka Dobrej Nadziei, Rafał płynie więc 7,5 kilometra przez cieśninę oddzielającą Kapsztad od Robben Island; znajduje się tam więzienie, w którym 28 lat spędził Nelson Mandela. Ta wyprawa, jak mówi, zaowocuje dwoma cennymi doświadczeniami. – Po pierwsze przestałem się bać fal. Wychowałem się w Krakowie, przez całą młodość synonimem dużej wody był dla mnie zalew w Kryspinowie – mówi. – Dopiero w RPA nauczyłem się od miejscowych, jak manewrować między wysokimi falami i co robić, kiedy nad głową załamuje ci się wysoka na siedem metrów ściana wody.

– I co robisz?

– Po prostu daję nura. Pod wodą siła uderzenia fali jest słabsza. Muszę przyznać, że nawet to polubiłem.

W RPA Rafał po raz pierwszy styka się także z pływaniem w zimnej wodzie. Podczas próby w Cieśninie Gibraltarskiej woda miała ponad 18 stopni. W Afryce – około 12. Różnica pozornie niewielka, ale trzeba się do tego już przygotować.

Niezbyt głęboki wdech

– To było upalne lato kilka miesięcy przed wyjazdem do Kapsztadu – wspomina. – Blokowisko na Ruczaju. Na balkonie rozstawiliśmy dmuchaną wannę, wypełniliśmy ją zimną wodą i dosypaliśmy lodu w kostkach. Zmierzyliśmy temperaturę, wyszło coś koło czterech stopni i wlazłem do tej lodowej kaszy. Pojęcia nie miałem, jak długo mogę tam siedzieć, nie narażając się na niebezpieczeństwo. W internecie nie było wtedy żadnych porad treningowych. W bibliotece znalazłem tylko wyniki badań, które w czasie II wojny światowej prowadzili Rosjanie i Niemcy. Ale tam sprawdzano możliwości przetrwania w zimnej wodzie przy założeniu, że rozbitek musi jedynie utrzymywać się na powierzchni, a nie pływać.

W wannie z lodową kaszą wytrzymał pół godziny. Zaprzyjaźniony lekarz, którego Ziobro zaprosił na próbę, zmierzył mu temperaturę wewnątrz zabezpieczonego przed wodą ucha. Termometr wskazał nieco ponad 30 stopni.

– Mogłem ten wygłup przypłacić zdrowiem, bo wychłodziłem się daleko poza margines bezpieczeństwa – przyznaje Rafał. – Kara przyszła szybko. Powrót do normalnej temperatury był torturą. Myślałem, że z bólu odpadną mi ręce i nogi. Przez kilka godzin miałem zawroty głowy i czułem się jak na strasznym kacu. Teraz początkującym jest łatwiej. Zimowe pływanie pozostaje sportem niszowym, ale już nie na tyle, żeby nie zostawić po sobie śladu w internecie. Na debiutantów czeka tu garść cennych porad, które start czynią mniej bolesnym. Ot, choćby wskazówka, by nad wodę zabrać worek na śmieci, na którym warto ułożyć ubranie w piramidkę ułatwiającą szybkie ubranie się po kąpieli: na dole kurtka, na niej spodnie i ciepła bluza, jeszcze wyżej bielizna, czapka oraz skarpety. Obok buty, koniecznie rozsznurowane, żeby nie mocować się z nimi zgrabiałymi palcami.

Kontakt z wodą o temperaturze poniżej 10 stopni Celsjusza dla niewytrenowanego organizmu zawsze stanowi duże obciążenie. Tymczasem początkujący zwykle przenoszą do tej dyscypliny nawyki ↦

z lata, kiedy kąpiel jest okazją do schłodzenia. Zimą woda zazwyczaj jest cieplejsza od powietrza, warto więc zacisnąć zęby i zanurzyć się od razu mniej więcej do pasa, a przed kolejnym krokiem wziąć głębszy, ale nie za głęboki wdech.

W pierwszym kontakcie z lodowatą wodą mięśnie klatki piersiowej zesztywnieją w chwilowym paraliżu i trudno będzie nabrać powietrza do płuc; łatwiej je za to wypuścić. Szybkie zanurzenie wpływa zbawiennie nie tylko na komfort pływaka. Sprawia też, że w rękach i w nogach gwałtownie kurczą się naczynia krwionośne, bo organizm desperacko walczy o utrzymanie ciepła w pobliżu najważniejszych organów. Na tym etapie ból w kończynach, zwłaszcza w stopach, może być naprawdę trudny do wytrzymania, na szczęście ustępuje dosyć szybko. Potem uspokaja się tętno, a w końcu znika także uczucie zimna. Można zacząć pływać. Byle nie za długo.

W wodzie o temperaturze poniżej 4 stopni organizm wychładza się błyskawicznie, a utraty ciepła nie da się choćby w części zrekompensować ruchem. Po wyjściu z wody zaś trzeba się liczyć z przykrymi objawami wychłodzenia, jak problemy z logicznym myśleniem, bełkotliwa mowa, a nawet zwężenie pola widzenia. Ogrzać się też nie można zbyt szybko. Zimna krew z rąk i nóg po dotarciu do serca może nawet wstrzymać jego akcję. Wiele zależy także od pogody. Gdy wieje, mokre plecy wystające z wody przyspieszają wychłodzenie. W bezwietrzny i słoneczny zimowy dzień w takiej samej temperaturze można pływać o wiele dłużej.

– Przekonałem się o tym w 2011 r., płynąc Magellana – uśmiecha się Rafał.

Nadador polaco

Cieśnina Magellana pomiędzy Ameryką Południową, Wyspami Królowej Adelajdy, wyspą Riesco i wyspami Ziemi Ognistej łączy Pacyfik z Atlantykiem. Jej szerokość waha się od 4,5 do 45 kilometrów. Temperatura wody rzadko osiąga 7-8 stopni, zwykle utrzymuje się na poziomie 3-4.

Do Ameryki Południowej Rafał Ziobro wybiera się z pływakami poznanymi w RPA, ale im komplikują się plany i ostatecznie ląduje w Chile sam. Start jest już opłacony, a on przytył nawet do tej próby 5 kilogramów, żeby zwiększyć odporność na chłód.

Lokalne gazety piszą o *nadador polaco*, polskim pływaku, który spróbuje przepłynąć wpław cieśninę w jej najwęższym miejscu. Wyprawę wspiera chilijska marynarka, Rafała eskortuje nawet jeden z jej okrętów. Wszystko dopięte jest na ostatni guzik z wojskową precyzją i po kilku tygodniach Ziobro wraca z Chile jako pierwszy Polak, który pokonał wpław Cieśninę Magellana.

– Zabrzmi to głupio, bo bałem się tego startu, zwłaszcza zimnej wody, ale dziś wspominam go w zasadzie jako przyjemny – twierdzi. – Słońce dogrzewało mnie lekko od góry, praktycznie nie wiało. Chwilami było mi po prostu ciepło.

Pływanie długodystansowe ma w sobie coś z medytacji. Kontrola oddechu. Powtarzająca się sekwencja ruchów. Po pewnym czasie myśli odpływają gdzieś daleko, a przed sobą ma się tylko wielki błękit, który czasem przetnie jakieś ciekawskie morskie stworzenie. Takie pływanie Rafał lubi najbardziej. Ale nie zawsze tak się da.

– Po Magellanie zrobiło się o mnie głośno i dzięki temu dostałem zaproszenie do sztafety, która w 2013 r. miała dokonać pierwszej próby pokonania wpław Cieśniny Beringa z Rosji na Alaskę. Wielka impreza, symbol odwilży w stosunkach między obu krajami, a zarazem super wyzwanie sportowe. No pewnie, że się zgodziłem.

Rosjanie witają pływaków niemal jak kosmonautów. Śmiałkowie ruszają w morze siedmiopiętrowym statkiem-szpitalem. Sztafeta ma do pokonania 130 kilometrów w wodzie o temperaturze od 3 do 10 stopni. Pływacy będą się zmieniać co piętnaście minut. W nocy przed startem Rafał mierzy sobie jednak temperaturę. Prawie 39 stopni. – Wiedziałem, że nie mogę zrezygnować, bo drugiej takiej okazji nie będzie. Oj, wymłóciło mnie w tej cieśninie strasznie.

Pogoda tym razem nie sprzyja, a dodatkowo pływacy walczą z bardzo silnymi prądami. Niektórzy wchodzą do wody, by po kwadransie młócki w wysokich falach wyjść z niej w miejscu, które na mapie GPS okazuje się położone... 300 metrów bliżej rosyjskiego brzegu niż punkt, w którym wskoczyli za burtę. – Tamten wyjazd, wielka impreza, pokazał mi, jakiego sportu nie chcę – zapewnia Ziobro. – Wolę pływać sam, w ramach wyjazdów, które sam finansuję i przygotowuję. Dzięki temu w każdej chwili mogę odpuścić, przestraszyć się warunków i nie muszę się z takiej decyzji nikomu tłumaczyć – dodaje ze śmiechem.

Bo słowo „amator", jak mówi Rafał, oznacza przede wszystkim kogoś, kto kocha to, co robi. Dlatego gdy pozwalają warunki, Ziobro wskakuje w samolot, leci do Włoch i wprost z lotniska przepływa delfinem Cieśninę Messyńską. Podczas wyjazdu służbowego do Kanady łapie samolot do San Francisco i przepływa prawie 3 kilometry cieśniny, która oddziela miasto od słynnego więzienia Alcatraz.

– Kaszka z mleczkiem – zapewnia. – Polecam tę ucieczkę z Alcatraz każdemu, byle w dobrych warunkach, za dnia i przy słabych prądach.

©℗ MAREK RABIJ

W wodach okalających przylądek Horn, grudzień 2017 r.

BORYS MAKARY

ANNA

Dziewit-Meller:
Spacer po dystans

Piszę ten felieton w pokoju wspaniale zalanym słońcem. Na obudowę komputera spadają drobinki kurzu, pył miejski, który wpada przez otwarte okno, krąży w powietrzu nad głową, błyszcząc od toksyn niczym brzuszki świetlików. Wysokie ciśnienie nad Warszawą przyniosło mi bóle głowy i piękne zimowe słońce, które oszołomiło mnie, jakbym była jedną z tych lichych monster, z trudem hodowanych przeze mnie na parapecie, które odwracają liście w kierunku światła.

Napisać i wyjść z domu przed zmrokiem – kołacze mi się po głowie.

„Lubię włóczęgę właśnie dlatego, że jest powolna, i podejrzewam, że umysł, na podobieństwo naszych nóg, działa w tempie pięciu kilometrów na godzinę" – pisała Rebeca Solnit w książce „Zew włóczęgi. Opowieści wędrowne".

Chcę więc wyjść koniecznie. Nie do tramwaju, nie do metra, nie na zakupy. Mam ochotę zanurzyć się w światło słoneczne, jak w lodowatą wodę morską. Zdążyć ze wszystkimi obowiązkami przed odebraniem dzieci ze szkoły i przedszkola, i mieć choć chwilę na spacer, w zimnym, brudnym, ale pełnym słońca powietrzu. Chodzić. Iść przez plac Politechniki, z którego robotnicy właśnie zdejmują więdnącą choinkę. Jej miękkie gałęzie od tygodnia kładły się już nisko pod ciężarem światełek, jak ramiona starej kobiety niosącej do domu ciężkie siatki. Iść Polną, gdzie w podziemiach delikatesów schną absurdalnie drogie wędliny i egzotyczne owoce, do ronda Jazdy Polskiej, a potem w prawo na Pole Mokotowskie, prosto – kładką nad wijącą się od ściśniętych w korek samochodów aleją Niepodległości i dalej, obok Biblioteki Narodowej na przełaj, aż po granice wytyczone przez grodzone osiedle przy Rostafińskich. Iść przed siebie z rękami w kieszeniach, w stronę lotniska, w stronę południa, w stronę Krakowa, Szczyrku, Zakopanego, gór i Morza Czarnego, albo Adriatyku. Patrzeć na nierówną granitową kostkę na chodniku Marszałkowskiej, omijać miękkie, rozdeptane już czyjąś nieszczęsną podeszwą placki psich kup na Lwowskiej, wdychać zapach taniej zapiekanki na Noakowskiego i przepychać się przez otoczony słupem dymu tłum uczniów liceum dla dorosłych, czule zwanego Sorboną. Przejść pod przychodnię wojskową, miejsce mojego pierwszego samotnego spaceru po urodzeniu syna. Ach, jak biegłam tam uskrzydlona, po dziewięciu miesiącach wreszcie pojedyncza, przez chwilę znów sama, znowu osobna. Szłam zapisać dziecko do poradni, nie mogąc się nadziwić, jak niesamowicie jest być mną, gdy nie mam przytroczonego do ciała wielkiego brzucha. Iść Chałubińskiego, do podziemnego przejścia, na przystanki tramwajowe koło Dworca, te, nad którymi pędzi czteropasmowa estakada. Gdy niemal 20 lat temu przyjeżdżałam z Krakowa do Warszawy, stąd właśnie ruszałam dalej, tramwajem w stronę nieznanego mi prawie w ogóle Mokotowa, który otwierał się na mnie zieloną paszczą Pól i ciągnął aż po Wyględów, oglądany razem z Michałem Kaczyńskim z galerii Raster, z którym chodziliśmy między starymi, niszczejącymi wówczas willami, szukając okrągłych okien i innych objawów modernizmu. Iść na Hożą, by spojrzeć na zmienione nie do poznania ręką dewelopera oblicze starej kamienicy, w której mieściła się redakcja Lampy i galeria Raster – na czwartym piętrze, w wielkim mieszkaniu o pięknych sztukateriach i nieszczelnych oknach, gdzie w pomieszczeniu za toaletą rozkładał się długo martwy gołąb.

106-letni wuj mojego męża, jeszcze niedawno, grubo po swoich setnych urodzinach, każdego dnia, niezależnie od pory roku, wyruszał na spacer. Kiedyś, jako młodzik, w okolicach swej dziewięćdziesiątki, zapuszczał się w dalsze rejony miasta, z każdym kolejnym rokiem promień codziennych okrążeń zawężał mu się coraz bardziej, aż do najbliższej okolicy. Sprzedawcy, kioskarze i restauratorzy z placu Konstytucji widywali go, jak przemierza chodniki spokojnym krokiem, od czasu do czasu przysiadając na ławce, murku albo ogródku kawiarnianym. „Trzeba chodzić!" – mawiał, a oni się już chyba nie dziwili. Trzeba to trzeba. Chodzę więc, może także trochę za niego.

Chodziliśmy przecież dużo, od najwcześniejszego dzieciństwa. Z rozrywek w latach 80. niewiele było rzeczy do wyboru, po rozegraniu wszystkich partii szachów, makao, państw-miast i po grze w chowanego zostawały nam spacery z babcią, dziadkiem i rodzicami, wyprawy na dobrze znane te same szlaki, jabłka bez skórki zapakowane w torebki, jedzone po drodze, herbata z cytryną w butelce po węgierskiej cytronadzie, pita, by pozbyć się zadyszki.

Idę więc zaraz na spacer, w głowie mając ten cytat z Thoreau: „Ludzie wracają bojaźliwie wieczorem do domu z zaledwie sąsiedniego pola czy ulicy, gdzie straszą echa ich domostwa, toteż i życie ich marnieje, oddychają bowiem wciąż od nowa tym samym powietrzem; ich cienie rankiem i wieczorem sięgają dalej aniżeli kroki, które postawili w ciągu dnia. Do domu powinniśmy wracać z dalekich stron, po przeżyciu przygód i pokonaniu niebezpieczeństw, po zrobieniu codziennie nowych odkryć – powinniśmy wracać z nowymi doświadczeniami i właściwościami". ©

OGŁOSZENIE

Pragnę podziękować

Panu **JERZEMU KUCZMIE**
oraz **LUCJUSZOWI PODKOWIŃSKIEMU**
ordynatorom Szpitala Powiatowego w Brzozowie
za okazaną troskę oraz szybką, fachową
i miłą opiekę medyczną.

Wdzięczny pacjent Jan Data

WIARA

INNY POKÓJ

Coraz liczniejsze są w Polsce przejścia między wyznaniami chrześcijańskimi. Katolicy zostają protestantami, nie brak zmian na prawosławie, bywają też konwersje na katolicyzm. Dlaczego tak się dzieje?

MARCIN CHODUŃ

JACEK TARAN

Balbina, Maciej i Marysia Całowie – wspólnie przeszli na protestantyzm

Maciej, Balbina, Marysia i Hania właśnie wrócili całą rodziną z nabożeństwa w ewangelicko-augsburskim kościele św. Marcina. Spotykamy się w jednej z krakowskich kawiarni.

Niegdyś jak większość co niedzielę chodzili na mszę do swojego ulubionego kościoła katolickiego w centrum miasta – to wszystko. Na luterańskie nabożeństwo pierwszy poszedł Maciej. Chciał po prostu zobaczyć, jak ono wygląda. – Żona z córkami dołączyły do mnie po miesiącu – mówi.

Przez pierwszy rok nie załatwiali żadnych formalności – dali sobie czas, żeby mieć pewność, że ich decyzja jest słuszna. Dopiero rok temu formalnie zmienili wyznanie, składając ślubowanie przed członkami zboru.

Nie przeciw komuś

Skąd w ogóle decyzja zmiany? Stało się to po samobójstwie ich 22-letniego wówczas bratanka Alka. – Alek miał kłopoty psychiczne, a ponieważ to myśmy go praktycznie wychowywali, jego śmierć bardzo nas dotknęła – tłumaczy Maciej Cała. – Zacząłem się wtedy zastanawiać nad sprawami ostatecznymi, nad śmiercią, poznawałem też historię Kościoła i moja duchowość coraz bardziej się pogłębiała. Chciałem się skupić na tym, co w życiu najważniejsze – i pewne rzeczy w Kościele katolickim zaczęły mi po prostu przeszkadzać. Ale nie zrobiłem tego przeciwko komuś – podkreśla – tylko dla siebie. Żeby uśmierzyć ból.

U Balbiny poszukiwania duchowe zaczęły się dużo wcześniej. – Studiowałam historię Kościoła. Pewnych rzeczy w Kościele katolickim nie byłam też już w stanie tolerować. I to, co Maciek opowiadał o luteranach, padło w moim przypadku na podatny grunt.

Maciej: – Dla mnie Kościół katolicki obrósł tak bardzo różnymi tradycjami, obrzędowością, bogactwem – takim złotem – że coraz mniej jest w nim światła. Inne rzeczy są w nim ważniejsze od tego, co dla mnie najważniejsze.

– Co to jest? – pytam.

– Miłość do drugiego człowieka, prostota, bezpośredniość i skromność. Odnajduję to bardziej w Kościele protestanckim.

Balbina: – Reagowaliśmy na różne sytuacje w Kościele katolickim, na to całe Bizancjum.

Maciej: – Pedofilia, kwestie uchodźców – bardzo tym wszystkim byliśmy zniesmaczeni. Z jednej strony były sygnały ze strony władz kościelnych, że jako chrześcijanie powinniśmy uchodźców przyjąć, a z drugiej było stanowisko niektórych biskupów, że absolutnie nie – i to w kontrze do papieża.

Balbina: – Papież Franciszek nawołuje do ubóstwa i skromności, a tu któryś z polskich biskupów mówi nagle, że Kościół nie może być „dziadowski".

Maciej: – Po filmie braci Sekielskich reakcja w Kościele luterańskim była natychmiastowa. Już na drugi dzień wydano komunikat, jak należy się zachować w takiej sytuacji – wraz z podaniem numerów na policję i do prokuratury.

Oboje jednak zgodnie podkreślają: konwersji nie dokonali przeciwko Kościołowi katolickiemu. To był rezultat ich poszukiwań własnej drogi. Swojej starszej córce Marysi zostawili wolną rękę.

Marysia (15 lat): – Ucieszyłam się, że rodzice dokonali takiego wyboru. Ja też szukałam swojej duchowej drogi – w Kościele katolickim nie mogłam się już odnaleźć. Gdy poszłam do Kościoła protestanckiego, to urzekła mnie panująca w nim atmosfera i to, że dokładnie mówią, o co w naszej wierze chodzi. Tu jakby bardziej poczułam Boga. Tutaj czuję pełnię.

Dla Marysi jedną z ważnych pobudek były kwestie związane z LGBT. – Mam takich znajomych. I cieszę się, że w Kościele protestanckim oni są akceptowani, że są traktowani jak normalni ludzie, a nie jak jacyś kosmici – mówi.

Drugi pokój

Problematyka społeczności LGBT była też ważna dla psycholożki Natalii de Barbaro – między innymi z tego powodu kilka miesięcy temu odeszła z Kościoła katolickiego.

– Powstało we mnie pytanie, czego jestem częścią – opowiada. – Bo jeżeli ktoś mówi o „tęczowej zarazie", to kieruje te słowa do żywych, konkretnych ludzi i ich rodzin. Czułam wtedy ból moich przyjaciół gejów i przyjaciółek lesbijek, i nie chciałam być postrzegana jako część tego głosu.

Inne powody? Rola kobiet w Kościele, stosunek do osób rozwiedzionych, stanowisko polskiego Episkopatu w wielu sprawach pozbawione chrześcijańskiej miłości.

– Gdyby Bóg był taki, jak wynika to ze słów niektórych polskich hierarchów, to byłby po prostu zimnym Bogiem – tłumaczy. – A ja nie wierzę w zimnego Boga, bo przecież fundamentem tej religii jest miłość.

Mówi wprost: według niej hierarchowie są w ten sposób nielojalni wobec Chrystusa. Bo gdzie w tym wszystkim jest dobry Bóg?

Co odnalazła w Kościele protestanckim?

– Gdy spotkałam się z proboszczem luterańskiej parafii w Krakowie, ↦

↦ ks. Romanem Prackim, usłyszałam zdanie, które mnie ujęło: „Nie zmieniasz domu, zmieniasz tylko pokój”.

Na jaki? – pytam.

– Na taki, w którym czuję się bardziej u siebie. W którym wszystko, co jest wokół, odpowiada bardziej temu, w co wierzę. Tu mam poczucie, że nie muszę na każdej mszy słuchać rzeczy, które stoją w sprzeczności z moim sumieniem, które kłócą się ze sobą na poziomie wartości. Tu od ponad roku nie usłyszałam ani jednego zdania wykluczenia, natomiast bardzo wiele zdań inkluzywnych i o miłości Boga. Bardzo czuję tutaj wspólnotowość. I nie oznacza to, że nie ma wspólnotowości w Kościele katolickim – bo ją w nim też znajdowałam. W kościele protestanckim mam poczucie jakiegoś powrotu – już nawet przez sam fakt, że za ołtarzem widzę mężczyznę i kobietę, którzy razem się modlą, co jest dla mnie odzwierciedleniem prostego faktu, że wiernymi są i mężczyźni, i kobiety.

Maciej: – Gdyby ktoś wszedł z ulicy na nabożeństwo do krakowskiego kościoła św. Marcina, mógłby się nie zorientować, że to świątynia protestancka. Liturgia jest bardzo podobna do katolickiej, a sam kościół był kiedyś świątynią katolicką, są więc w nim figury świętych. Widoczna różnica polega na tym, że za ołtarzem stoi pastor i pani diakon.

Strach o zbawienie

W ołtarzu kościoła św. Marcina przy ulicy Grodzkiej w Krakowie wisi obraz Henryka Siemiradzkiego „Chrystus uciszający burzę morską”, po bokach ołtarza cztery złocone figury Ewangelistów, powyżej olbrzymi, gotycki krucyfiks, a w jego tle duży witraż.

– Wystrój kościołów ewangelickich nie różni się zasadniczo od rzymskokatolickich. Można nawet powiedzieć, że jest przedsoborowy. W zdecydowanej większości zachowano pierwotny układ prezbiterium, gdzie Eucharystia sprawowana jest przodem do ołtarza, czyli tyłem do ludzi, komunię przyjmuje się zazwyczaj klęcząc przy balaskach. Natomiast homilie głosi się z wysokiej ambony – tłumaczy ks. Pracki.

Jak wielu katolików przechodzi do Kościoła ewangelicko-augsburskiego?

– Liczba konwersji nie jest większa niż średnia na przestrzeni ostatnich dwudziestu lat. W skali całego kraju w ciągu roku około 200 osób dokonuje zmiany wyznania. Najwięcej odnotowuje się w parafiach wielkomiejskich, gdzie jest ich średnio około 20. Formalna zmiana wyznania nie jest jednak konieczna do pełnego uczestnictwa w praktykach religijnych. W Polsce mamy trzy Kościoły ewangelickie: ewangelicko-augsburski (luterański), ewangelicko-reformowany (kalwiński) i ewangelicko-metodystyczny. Panuje między nimi pełna komunia wspólnoty sakramentów i posługi duchownych, który to konsensus został zawarty przez polskich protestantów w Sandomierzu w roku 1570. Kościoły ewangelickie praktykują też gościnność eucharystyczną dla wszystkich ochrzczonych bez konieczności uzyskania dyspensy biskupa. Nie ma zatem formalnego wymogu wstąpienia do Kościoła, aby *de facto* móc w pełni uczestniczyć w liturgii słowa i liturgii sakramentów. Do naszego kościoła przychodzi sporo osób, którymi kieruje zazwyczaj zaciekawienie, a czasem potrzeba skorzystania z opieki duszpasterskiej duchownego, który ma bardziej holistyczne podejście.

Stosunek Kościoła katolickiego do kobiet, homoseksualizmu, klerykalizmu, hierarchiczności, pedofilia **– z tych powodów ludzie dokonują konwersji.**

A konwersje? Ks. Roman Pracki wyjaśnia:

– Gdy pojawia się temat konwersji, zazwyczaj staram się wskazać, że taki krok wiąże się nie tylko z potencjalnymi zyskami, ale niesie ze sobą także różne koszty. Religijność w Polsce jest zazwyczaj częścią naszego dziedzictwa, a nie wyborem. Jeśli jakaś osoba, nawet niekoniecznie młoda, myśli o zmianie wyznania, u jej bliskich często rodzi się przekonanie, że jest nieszczęśliwa. Rodzice mogą nie rozumieć, dlaczego ich syn bądź córka nie odnajduje się w tym, co dla nich jest częścią tożsamości rodziny. Czasem przez wiele lat rodziny nie umieją tego zaakceptować. Uważają, że inna religijność jest pozbawiona ważnych lub nawet niezbędnych do zbawienia elementów, które gwarantuje tylko rzymski katolicyzm.

Marcin Cała: – Rodzina dowiedziała się o naszej konwersji dopiero wtedy, gdy zaprosiliśmy ją na chrzest naszej młodszej córki Hani. Dla niektórych był to szok. Moja mama zapytała: „Ojej, ale co się stało?!”. Gdy jednak wytłumaczyliśmy powody naszej decyzji, zaakceptowała ją. Ale wielu znajomych do dzisiaj zachowuje się tak, jakbyśmy nie wiadomo co zrobili.

Krytyka od środka

Wedle ks. Prackiego konwersje odwrotne – z Kościoła protestanckiego do katolickiego – dokonywane są bardzo rzadko, choć część może po prostu nie być zgłaszana.

Wyznanie protestanckie na katolickie zmieniła dwadzieścia lat temu socjolożka i działaczka społeczna Katarzyna Sztop-Rutkowska. Wychowała się w rodzinie katolickiej, ale po bierzmowaniu odeszła od Kościoła. Nie był to krok formalny – po prostu przestała chodzić na msze. Gdy rodzice przyjmowali kolędę, oświadczyła księdzu, że ona już jest poza Kościołem. W wieku szesnastu lat wstąpiła do Kościoła zielonoświątkowego w Łodzi i została w nim po raz drugi ochrzczona. Po czym mniej więcej po ośmiu latach wróciła do Kościoła katolickiego z powodów teologicznych.

– Wróciłam ze względu na Eucharystię. W Kościele zielonoświątkowym jest ona traktowana symbolicznie, jako przypomnienie Ostatniej Wieczerzy. To przestało mi wystarczać. Zdarzało się, że wchodziłam do kościoła katolickiego tylko po to, by przyjąć komunię, po czym wychodziłam. To było po prostu ogromne pragnienie. Przez kilka lat wahałam się, co dalej robić. Wyjechałam do Taizé, gdzie dużo rozmawiałam na temat moich rozterek. Potem po rekolekcjach ignacjańskich u karmelitanek w Gdyni-Orłowie podjęłam decyzję o powrocie do Kościoła rzymskokatolickiego. Z jedną z sióstr poszłam do księdza i tam przy świadku musiałam powiedzieć „Skład Apostolski”. Gdy to zrobiłam, ksiądz uznał, że jestem z powrotem katoliczką.

Przyznaje jednak: wcześniejsze rozterki znów wracają. Stosunek Kościoła katolickiego do kobiet, homoseksualizmu, klerykalizmu, hierarchiczności, pedofilia – z tych wszystkich powodów przeżywa od jakiegoś czasu duży kryzys. Postano-

wiła jednak zostać w Kościele – żeby móc go krytykować i próbować zmieniać od środka.

Ostatnio uczestniczyła w białostockim Marszu Równości. Napisała po nim list do papieża. – Wyjaśniłam w nim, dlaczego jako katoliczka, matka niepełnosprawnego dziecka i wykładowczyni wyższej uczelni wzięłam w nim udział i dlaczego poczułam się zgorszona listem arcybiskupa białostockiego Tadeusza Wojdy, który ukazał się dwa tygodnie przed tym marszem. List ten mówił o problematyce LGBT jako o grzechu i zawierał wezwanie do obrony wiary. W rezultacie największa agresja wobec uczestników marszu była pod białostocką katedrą. Czułam się wtedy, jakby rodzina splunęła mi w twarz.

Potrzebny długi namysł

Najwięcej konwersji z prawosławia na katolicyzm dokonuje się u nas na Podlasiu.

– Wiąże się to z sytuacjami rodzinnymi – tłumaczy pochodzący z Drohiczyna ks. dr hab. Artur Aleksiejuk, wykładowca warszawskiej Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej, pełniący posługę kapłańską w prawosławnej kaplicy św. Grzegorza Peradze w Warszawie. – W religijnie mieszanych rodzinach większość katolicka wywiera presję na wyznawców prawosławia.

Sytuacja jest inna w dużych miastach i innych częściach Polski. – W Warszawie konwersje dokonywane są w zdecydowanej większości w odwrotnym kierunku, czyli na prawosławie. Decydują się na nie głównie osoby z wyższym wykształceniem, które już poznały teologię prawosławną i do których ta teologia przemówiła. Są to osoby, które chcą w ten sposób pogłębiać swoją duchowość.

Nie wiadomo, ile ich jest. – Polski Autokefaliczny Kościół Prawosławny nie prowadzi statystyk konwersji – mówi duchowny. – Mogę jedynie powiedzieć, że w naszej kaplicy św. Grzegorza Peradze na warszawskiej Pradze takich konwersji jest około piętnastu w ciągu roku. Taki akt nie jest jednak łatwą sprawą. Właściwie jedyną przesłanką do przyjęcia prawosławia jest długotrwały namysł teologiczny – nie może się to odbywać pod wpływem emocji czy zachwytu nad prawosławną obrzędowością. My, jako duchowni prawosławni, raczej od takiego kroku staramy się odwieść, zalecając pogłębienie wiary w swojej wspólnocie – bo przychodzą do nas często osoby zniechęcone do swojego Kościoła, które tak naprawdę w ogóle go nie znają.

Przyjęcie prawosławia następuje po około dwuletnim okresie przygotowawczym, polegającym na spotkaniach z kapłanem i uczestnictwie w nabożeństwie.

Długi okres przygotowujący do konwersji istnieje także u polskich kalwinistów. Według ks. Michała Jabłońskiego, zastępcy radcy duchownego Konsystorza Kościoła ewangelicko-reformowanego i proboszcza warszawskiej parafii, trwa on cyklicznie od października do czerwca. – Okres taki obejmuje uczestnictwo w zajęciach dotyczących nauki Kościoła – tłumaczy duchowny. – Ludzie, którzy do nas przychodzą, są najczęściej już zdecydowani. Wiedzą, czego szukają. Chcą z nami, duchownymi, jedynie przejść ten okres przygotowawczy, potwierdzając swój wybór.

Według ks. Jabłońskiego liczba konwersji do Kościoła ewangelicko-reformowanego zdecydowanie rośnie. Kiedyś to były 2-3 osoby na rok, a od jakichś czterech lat w ciągu roku konwertuje kilkanaście osób.

Zarzuty o prozelityzm? Ksiądz Jabłoński nigdy z czymś takim się nie spotkał. – Jestem tu w parafii od 2006 r. i zawsze żyłem w dobrych relacjach ekumenicznych z duchownymi katolickimi. W prywatnych rozmowach zawsze mi mówią, że się bardzo cieszą, iż osoby odchodzące z Kościoła katolickiego nie trafiają w próżnię, tylko w dobre ręce.

Pojednana różnorodność

– Ja też powiedziałbym podobnie – mówi ks. prof. dr hab. Łukasz Kamykowski, dyrektor Instytutu Teologii Fundamentalnej, Ekumenii i Dialogu Uniwersytetu Jana Pawła II, przewodniczący Rady Dialogu Archidiecezji Krakowskiej.

Według katolickiego teologa drogę do właśnie takiego spojrzenia na inne Kościoły chrześcijańskie otworzył Dekret o ekumenizmie Soboru Watykańskiego II: ważniejsze jest to, co nas łączy, bo wszyscy jesteśmy braćmi w Chrystusie.

Jednym z najważniejszych elementów, od których należy zacząć dialog ekumeniczny, jest wspólna modlitwa. – Stąd obchody Tygodnia Modlitw o Jedność Chrześcijan – tłumaczy. – To modlitwa, która mówi, iż wiemy, że Jezus modlił się o jedność swoich wyznawców, że jego modlitwa jest skuteczna i że on tylko wie, jak ten Kościół pojednany w przyszłości ma wyglądać. A my tego na razie wiedzieć nie musimy.

Tegoroczny Tydzień, organizowany przez Radę Konferencji Episkopatu Polski ds. Ekumenizmu i Polską Radę Ekumeniczną, był obchodzony od 18 do 25 stycznia pod hasłem „Życzliwymi bądźmy".

Ks. Roman Pracki: – W Tygodniu Modlitw mamy od niedawna taką praktykę, aby podczas nabożeństwa ekumenicznego duchowni i świeccy przedstawiciele różnych wyznań chrześcijańskich wygłosili trzyminutowe homilie oparte na tym samym tekście biblijnym. To bardzo ciekawe doświadczenie: wysłuchać pięciu czy siedmiu takich syntetycznych kazań i zobaczyć, jak one się wzajemnie przenikają i uzupełniają. Parafrazując ojca Wacława Hryniewicza powiedziałbym, że Ewangelia i Kościół jako taki są z gruntu polifoniczne, że Duch Święty działa wielogłosowo, jako pojednana różnorodność.

© MARCIN CHODUŃ

TP

Kluby „TP" zapraszają na spotkania

RZESZÓW

- **poniedziałek, 3 lutego, godz. 19.00**

„Czy inny Kościół jest możliwy?". Gościem będzie Ignacy Dudkiewicz. Miejsce: klasztor oo. Dominikanów (ul. Dominikańska 15).

ZIELONA GÓRA

- **czwartek, 30 stycznia, godz. 18.00**

„Decentralizacja Polski: przeszłość i przyszłość". Gościem będzie prof. Antoni Dudek. Miejsce: Piekarnia Cichej Kobiety (ul. Fabryczna 13).

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

BEATA ZAWRZEL / REPORTER

Plac św. Piotra, Watykan, 16 października 2013 r.

Omijając źródło

KS. ANDRZEJ DRAGUŁA

Coraz więcej moich przyjaciół i znajomych rezygnuje z uczestnictwa w mszy. To mój największy ból duchowy jako księdza. Czy rzeczywiście wiedzą, komu wyrządzają krzywdę?

Zwykle zaczyna się od rezygnacji z mszy w tzw. święta nakazane, takie jak niedawne Objawienie Pańskie. Księża, przypominając o obowiązku uczestniczenia w mszy w te dni, uciekają się do różnych argumentów. Padają słowa o zadośćuczynieniu trzeciemu przykazaniu Dekalogu, o obowiązku wynikającym z przykazania kościelnego, o konieczności spowiadania się z zawinionej nieobecności na mszy. Padają słowa o grzechu ciężkim czy śmiertelnym, a są i tacy księża, którzy odwołują się do sankcji ostatecznej, czyli piekielnej kary wiecznego potępienia, na którą zasługuje każdy, kto w grzechu ciężkim umiera.

Dominują więc dwie metodologie: albo przypomnienie normy, albo sankcji, tak jakby wyjaśnienie samego sensu nakazu nie było już potrzebne, bo przecież to takie niby oczywiste, po co się idzie na mszę. Oni wiedzą, dlaczego mają iść do kościoła, tylko im się nie chce – tak by można zrekonstruować myślenie niejednego duszpasterza o swoich wiernych. Ale czy oni rzeczywiście wiedzą, dlaczego właśnie w te dni winni uczestniczyć w Eucharystii? I czy rzeczywiście wiedzą, komu i jaką krzywdę wyrządzają swoją nieobecnością?

Niedziele i święta nakazane

Zacznijmy jednak od przypomnienia obowiązującej normy. Jej sformułowanie prawne przynosi kan. 1247 Kodeksu Prawa Kanonicznego: „W niedzielę oraz w inne dni świąteczne nakazane wierni są zobowiązani uczestniczyć we Mszy świętej". To sformułowanie zostało powtórzone w punkcie 2180 Katechizmu Kościoła Katolickiego przy omawianiu – co ważne! – przykazań Dekalogu. Ostatecznie bowiem moralny obowiązek świętowania niedzieli, w tym uczestnictwo w Eucharystii, wywodzi się z przykazania Bożego. Wiemy jednak, że nakaz uczestnictwa w mszy niedzielnej sformułowany został także w przykazaniach kościelnych. W wersji ogólnokościelnej pierwsze przykazanie pierwotnie brzmiało w Katechizmie następująco: „W niedziele i święta we Mszy świętej nabożnie uczestniczyć", natomiast czwarte stanowiło jego uzupełnienie: „Ustanowione przez Kościół dni święte święci".

Corrigenda z roku 1998 przyniosły nowe sformułowanie przykazań kościelnych. Nowa wersja brzmiała: „W niedziele i w inne nakazane dni świąteczne wierni są zobowiązani uczestniczyć we Mszy świętej i powstrzymać się od prac służebnych" (2042). W roku 2002 Kongregacja Nauki Wiary zatwierdziła polską wersję przykazania pierwszego: „W niedzielę i święta nakazane uczestniczyć we

Mszy świętej i powstrzymać się od prac niekoniecznych".

Z przeglądu stanu prawnego wynikają dwie konkluzje. Po pierwsze, podstawową i obowiązującą formą świętowania Dnia Pańskiego jest uczestnictwo tego dnia w mszy świętej. Po drugie, obowiązek dotyczy także „najważniejszych świąt liturgicznych, w których czcimy tajemnice Chrystusa, Najświętszej Maryi Panny i Świętych" (2042), a więc tak zwanych świąt nakazanych (*de praecepto*).

Zmienne minimum

Zależność między przykazaniami Bożymi a przykazaniami kościelnymi Katechizm wyjaśnia następująco: „Przykazanie kościelne określa i precyzuje prawo Pańskie" (2180). A w innym miejscu dodaje: „Przykazania kościelne odnoszą się do życia moralnego, które jest związane z życiem liturgicznym i czerpie z niego moc. Obowiązujący charakter tych praw pozytywnych ogłoszonych przez władzę pasterską ma na celu zagwarantowanie wiernym niezbędnego minimum ducha modlitwy i wysiłku moralnego we wzrastaniu miłości Boga i bliźniego" (2041). Można by powiedzieć, że przykazanie kościelne służy uszczegółowieniu ogólnej normy i dostosowaniu jej do współczesnych okoliczności. Jak zauważa Dominik Ciołek SJ w książce pt. „Pięć słów Kościoła" (Warszawa 2005), „chodzi o minimum praktyk religijnych, poniżej którego rozpoczyna się erozja życia duchowego".

Jak się jednak okazuje, to minimum nie jest stałe. Cechą charakterystyczną przykazań kościelnych jest ich zmienność, a także zróżnicowanie terytorialne. Jeszcze do niedawna obowiązywało przykazanie mówiące o zakazie urządzania zabaw hucznych w czasach zakazanych, do których zaliczano zarówno Wielki Post, jak i Adwent. Dzisiaj Adwent określa się mianem okresu radosnego oczekiwania, a „czasy zakazane" zastąpiono kodeksowymi „okresami pokuty" (o tym, co z tego wynikało, pisałem na tych łamach w tekście pt. „Ona tańczy dla mnie w piątek"; „TP" 26/2013).

Przykładem zmienności terytorialnej niech będzie przykazanie dotyczące obowiązkowej komunii. Otóż w Niemczech Eucharystię należy przyjmować nie tylko w okresie wielkanocnym, ale także w niebezpieczeństwie śmierci (*Todesgefahr*). Podobnie jest ze świętami nakazanymi. Ich obowiązkowy charakter wiąże się *de facto* z kwestią, czy w danym kraju dzień świąteczny łączy się z dniem wolnym od pracy, czy też nie. Kodeksowa lista świąt nakazanych dla Kościoła powszechnego obejmuje aż dziesięć dni, w tym uroczystość św. Józefa, Niepokalanego Poczęcia NMP czy też świętych Piotra i Pawła. W Polsce – prócz tych, które zawsze przypadają w niedzielę – jest ich sześć, a we Francji na mocy konkordatu z roku 1801 tylko cztery – Boże Narodzenie, Wniebowstąpienie Pańskie, Wniebowzięcie NMP i Wszystkich Świętych.

Uzupełnienie Dekalogu?

Istotnym problemem pozostaje kwalifikacja moralna i związana z nią sankcja przypisana przykazaniom kościelnym. Chyba wszyscy uczyliśmy się z katechizmów do bierzmowania, że grzech ciężki to „świadome i dobrowolne przekroczenie przykazania Bożego lub kościelnego w rzeczy ważnej". Ale – jak słusznie zauważa o. Ciołek – „odmienność natur przykazań Bożych i kościelnych implikuje różną kwalifikację moralną". Obowiązywalność przykazań kościelnych nie może być identyczna z obowiązywalnością Dekalogu. To oczywiste. Pozytywne prawo stanowione Kościoła nie jest tożsame z prawem objawionym, nawet jeśli przyjąć za ks. Adamem Kokoszką, że przykazania kościelne są „rozszerzeniem, uzupełnieniem i konkretyzacją nakazów Dekalogu – zwłaszcza trzeciego przykazania" („Pięć słów Kościoła. Przykazania kościelne", Tarnów 2001). Co do konkretyzacji – zgoda, ale z pozostałymi dwoma sformułowaniami chciałoby się jednak dyskutować. Czy normę objawioną można rozszerzać bądź uzupełniać?

Fakt, że zmieniano liczbę przykazań kościelnych i ich treść, a w różnych krajach przyjmowano i przyjmuje się różne ich katalogi, czyni te nakazy daleko względnymi i wcale nie sprzyja ich przestrzeganiu. Zmienność przykazań skutkuje tym, że – jak zauważa o. Ciołek – „czasami Kościół określał jako grzech coś, co nigdy nim nie było". To, co jeszcze niedawno grzechem było, dziś nim wcale nie musi być, a dzięki dyspensie biskupa obowiązek piątkowego postu może sięgać tylko „do rzeki". Nawiasem mówiąc, norma, od której dyspensuje się coraz powszechniej, choćby z powodu piątkowych wesel, zabaw, studniówek itp., traci sens. Przyznać trzeba, że dla naszych wiernych jest to sytuacja często niezrozumiała. O. Ciołek pisze: „to, co kiedyś było zagrożone sankcją grzechu śmiertelnego, może być dziś jedynie lekkim lub nie być nim wcale". Kanoniści i teologowie sobie z tym poradzą, ale dla całej reszty jest to trudne do zaakceptowania.

Pod sankcją grzechu

Wróćmy jednak do kwestii sankcji za nieprzestrzeganie przykazań. Przed laty pytał o to Józef Majewski na łamach „Więzi" w artykule o znamiennym tytule „Arytmetyka grzechu": „Oczywiste jest, że przykazania kościelne domagają się od katolika posłuszeństwa sumienia pod sankcją grzechu, ale czy należy domagać się respektowania przykazań, które nie są *ius divinum*, pod sankcją grzechu śmiertelnego, czyli sankcją piekła?" (12/1999). Katechizm mówi jedynie o ich „obowiązującym charakterze", nie precyzując moralnej kwalifikacji ich nieprzestrzegania. Ks. Kokoszka pisze o sytuacji dyspensy, która dotyczy tych świąt nakazanych, które nie są dniami wolnymi od pracy: „Na mocy dyspensy wierni nie są zobowiązani pod sankcją grzechu do uczestnictwa we Mszy świętej i powstrzymania się od prac niekoniecznych". Jaki to grzech, autor nie pisze. Z kolei w odniesieniu do kwestii świętowania niedzieli, Katechizm precyzuje: „Ci, którzy dobrowolnie zaniedbują ten obowiązek, popełniają grzech ciężki" (2181).

Trudno jednak nie zauważyć, że tenże sam Katechizm w rozdziale dotyczącym grzechów rozróżnia jedynie grzech śmiertelny i grzech powszedni. Czy wzmianka o grzechu ciężkim, a nie śmiertelnym w odniesieniu do mszy niedzielnej to celowe zróżnicowanie, czy też przeoczenie? Przyjmijmy jednak, że – choć trwa na ten temat dyskusja – grzech ciężki jest tożsamy ze śmiertelnym, a ten dokonuje się przez „poważne wykroczenie przeciw prawu Bożemu" (1855), poza tym musi dotyczyć poważnej materii oraz zostać popełniony z pełną świadomością i całkowitą zgodą (1857). Jedno jest pewne: jeśli nieobecność na mszy – świadoma i dobrowolna – kwalifikuje się jako grzech śmiertelny, to wyłącznie z powodu przekroczenia prawa Bożego, a nie kościelnego (konsekwentnie śmiertelnym grzechem musiałoby być także złamanie postu, jak to zresztą uważali dawni moraliści). I jeśli nawet duszpasterze powołują się na prawo kościelne, to w nieobecności ↦

na Eucharystii chodzi o coś więcej niż przekroczenie kościelnej normy.

Nauka o grzechu śmiertelnym podkreśla pełną świadomość popełniającego ten grzech jako okoliczność konieczną. Nie wystarczy jednak świadomość normy. Ta jest przecież powszechnie znana. Chodzi raczej o świadomość sensu normy, wiedzę co do zła, które się dzieje w przypadku jej przekroczenia, o dobro chronione. W internetowym opracowaniu ks. Michała Kaszowskiego, który w pytaniach i odpowiedziach przedstawia katechizm, znalazłem takie oto wyjaśnienie: „Nie popełnia grzechu ciężkiego ten, kto przed czynem nie zdawał sobie w pełni sprawy z powagi zła, którego wielkość pojął dopiero po dopuszczeniu się go". Ano właśnie, jakie zło kryje się za moją nieobecnością na Eucharystii? I czy zdaję sobie sprawę z powagi zła? Innymi słowy: komu ja wyrządzam krzywdę?

Niekorzystanie z łaski

Utarło się przekonanie, że pierwsze trzy przykazania Dekalogu obejmują obowiązki wobec Boga, a pozostałych siedem – wobec drugiego człowieka. Nieobecność na mszy byłaby wykroczeniem przeciwko cnocie religijności. Czy rzeczywiście? Ciekawe, że Katechizm Kościoła Katolickiego nic nie mówi o obowiązku uwielbienia Boga, którego spełnieniem mogłaby być niedzielna msza. Przeciwnie, Katechizm podkreśla, że „Eucharystia niedzielna potwierdza i uzasadnia całe działanie chrześcijańskie" (2181) i dlatego wierni są zobowiązani do uczestnictwa w Eucharystii. Jest w tym sformułowaniu echo słynnej deklaracji św. Emeryta (zm. 304 r.), który oskarżony o udostępnianie swego domu na niedzielną Eucharystię powiedział: „Nie możemy żyć bez świętowania niedzieli".

W kolejnym punkcie Katechizm wylicza następne „argumenty" za mszą niedzielną: świadectwo przynależności do Chrystusa i Kościoła, wspólnotowe świadectwo o świętości Boga i nadziei zbawienia, umocnienie pod przewodnictwem Ducha Świętego. Mówiąc inaczej: msza, choć jest modlitwą uwielbienia Boga, bardziej potrzebna jest nam niż Jemu. Wszak, jak śpiewamy w prefacji, „nasze modlitwy niczego Tobie nie dodają". A co daje nam uczestnictwo w niedzielnej Eucharystii? Św. Jan Paweł II w Liście apostolskim „Dies Domini" o świętowaniu niedzieli pisał, że „jest (...) konieczne, aby [człowiek wierzący] sobie uświadomił, jak kluczowe znaczenie dla jego życia wiary ma zgromadzenie niedzielne, podczas którego razem z braćmi świętuje Paschę Chrystusa w sakramencie Nowego Przymierza".

> Powszechnym wyjaśnieniem nieobecności na niedzielnej mszy jest lenistwo. Zawsze miałem trudności z określeniem, czym ono jest. Sądzę, że **lenistwo nie istnieje. Istnieje jedynie brak motywacji.**

Trudno nie zapytać: czy polski wierny katolik ma taką świadomość? Z mojego duszpasterskiego doświadczenia wynika, że nie. Znakomita większość pytanych przeze mnie – także w kontekście sakramentu pokuty – powołuje się na przykazanie, na normę, na obowiązek wobec Boga, ale prawie nikt nie mówi o obowiązku wobec własnego życia duchowego, o zbawczej konieczności korzystania z łaski Eucharystii. O tym, że Eucharystia to „źródło i szczyt", bez których *de facto* nie ma życia wiary.

Rachunek kosztów i zysków

Powszechnym wyjaśnieniem nieobecności na niedzielnej mszy jest lenistwo. Muszę przyznać, że zawsze miałem trudności z określeniem, czym ono jest. Sądzę, że lenistwo nie istnieje. Istnieje jedynie brak motywacji do podjęcia określonego działania, także w sferze religijnej. I tutaj dochodzimy do zastosowania mechanizmów ekonomicznych w wierze. Zgodnie z tą koncepcją wyznawcy podchodzą do całej sfery religijnej tak, jak do innych sfer życia.

Według Rodneya Starka „wiarygodne dowody wskazują, że zachowania religijne są tak samo racjonalne jak inne formy ludzkich zachowań". Stark twierdzi, że w obszarze religii ujawniają się wszystkie zachowania, które znamy z obszaru ekonomii. „W interesach z bogami" – jak to formułuje Stark – ludzie targują się, robią zakupy, ociągają się z płatnością, ważą koszty i zyski, pomijają raty, a nawet oszukują. Mówiąc krótko, w dziedzinie religii ludzie zachowują się na sposób ekonomiczny. Inaczej mówiąc, „jednostki – pisze Ewa Stachowska w „Leksykonie socjologii religii" – podchodzą do dokonywanych przez siebie wyborów w sposób w pełni przemyślany, gdyż racjonalnie analizują ewentualne korzyści, które mogą uzyskać w efekcie podjęcia określonego rodzaju zachowania religijnego, (...) m.in. przez wyznaczanie wartości czasu poświęconego na modlitwę, precyzowanie wielkości kwoty, jaką mogą one przeznaczyć na wsparcie działalności określonej instytucji religijnej lub na zakup przedmiotów (dóbr) religijnych, np. Biblii, a jednocześnie starają się określić przewidywaną wartość zysków – zarówno w wymiarze materialnym, jak i duchowym – które mogą z owej partycypacji uzyskać".

Istotą przeniesionej na grunt religii teorii racjonalnego wyboru jest przyjęcie założenia, że również w działaniach religijnych funkcjonuje maksymalizacja zysków i minimalizacja strat. I tutaj dochodzimy do sedna. Czy niedzielna i świąteczna msza postrzegana jest jako taki zysk (duchowy), dla którego wierny gotów jest ponieść adekwatnie wysokie koszty? Moim zdaniem – nie. To tutaj należy szukać przyczyn tak szybkiego i coraz bardziej powszechnego zwalniania się z Eucharystii. Sankcji ostatecznej, czyli ewentualnego wiecznego potępienia z powodu nieobecności, boi się coraz mniej wiernych (czy słusznie, to już inna kwestia).

W konsekwencji norma traci na znaczeniu. Co pozostaje? Świadomość, wiedza, przekonanie co do wartości obecności na Eucharystii. A tego jest bardzo mało. Grzech nieobecności to przede wszystkim poważne zaniedbanie wobec własnego rozwoju duchowego, karmienia swej wiary Eucharystią, wzmacniania miłością wspólnoty Kościoła. Odpowiedź na pytanie, czy każda nasza niedzielna Eucharystia daje takie wzmocnienie i jest zdrowym pokarmem, to materiał na zupełnie osobny esej.

Badania *dominicantes* pokazują, że ewangelizację należy rozpocząć od tych, którzy jeszcze w niedzielę pojawiają się w kościele. Nie będą przychodzić, jeśli nie będą wiedzieć po co. Strachem się ich nie weźmie.

© KS. ANDRZEJ DRAGUŁA

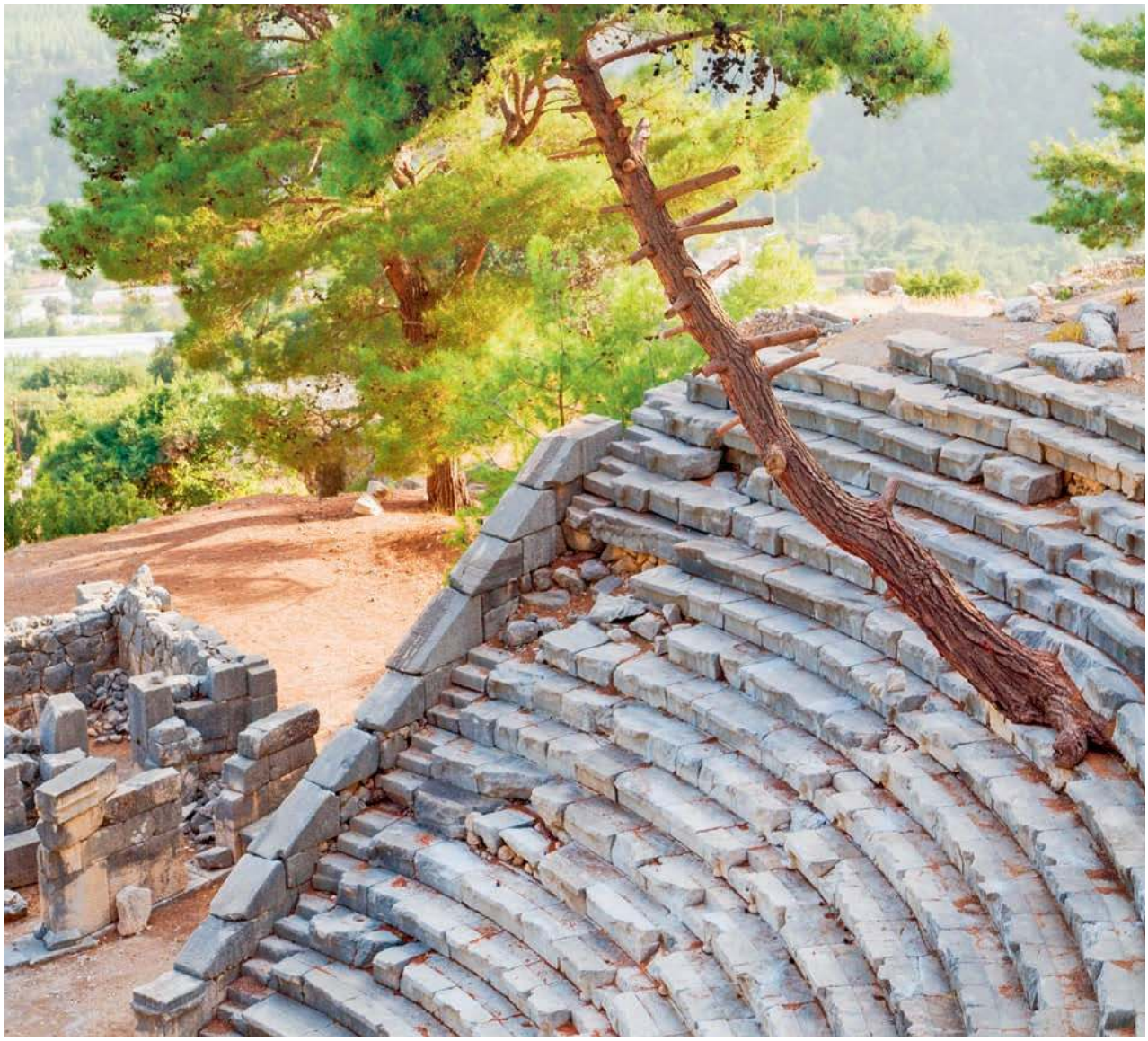

LKPRO / ALAMY / BEW

Ruiny świątyni i amfiteatru w Arykandzie, Turcja

Plaża zamiast pielgrzymki

MARCELINA SZUMER-BRYSZ Z ANTALYI (TURCJA)

Jeszcze dwie dekady temu Polacy pielgrzymowali do tureckich miejsc związanych z pierwszymi wspólnotami chrześcijańskimi. Dziś biura rezygnują z takich ofert z braku chętnych.

Antalya, zima. Na plażach ruch mniejszy już niż latem, ale na hotelowych balkonach i tak powiewają kolorowe ręczniki. Busów z turystami wiezionymi na wycieczki przez lokalne biura podróży też jakby mniej. Większość jedzie prosto. Miną skręt na Finike i nadmorska droga D-400 doprowadzi je do Demre, gdzie mieszczą się ruiny antycznej Myry, tej samej, w której biskup Mikołaj, późniejszy święty, ratował panny bez posagu. To jeden z ważniejszych „wycieczkowych" punktów na mapie Turcji (upodobali je sobie szczególnie turyści ze Wschodu, odbudowę bazyliki imiennika wsparł sam car Mikołaj I, później zresztą Rosjanie ufundowali też figurę świętego), ale przecież nie jedyny. Wystarczyłoby zamiast mijać Finike, skręcić tam w prawo, by trafić do miejsca jeszcze ciekawszego.

By się do niego dostać, trzeba zboczyć z asfaltówki, minąć lichy domek, przed którym drobią kury, i wjechać (albo wejść) na wąską ziemną drogę, która pnie się w górę pod ostrym kątem. Za chwilę wyłaniają się szare, kamienne ruiny położone na różnych wysokościach górskiego zbocza. ↦

↦ To Arykanda, jedno z najstarszych miast licyjskich, w którego imponujących pozostałościach odnajdziemy ślady burzliwej historii Greków, Rzymian, chrześcijan i późniejszych mieszkańców Anatolii.

Ci bezbożni chrześcijanie!

Najstarsze budowle i przedmioty odkryte na miejscu przez archeologów datowane są na IV wiek przed Chrystusem. Czczono tu Apolla, Artemidę, Atenę czy Heliosa, w centrum zaś dawnej agory zachowały się ruiny świątyni Tyche – bogini losu, przez Rzymian zwanej Fortuną. Ale to raczej nie jej, a doskonałemu położeniu miasto zawdzięcza fakt, że zachowało się w tak dobrym stanie. Teren jest wystarczająco trudny, więc nie powstała tu żadna inna duża osada, która mogłaby ją zniszczyć lub zmienić. Jednocześnie dzięki temu trudnemu położeniu miasto uniknęło konsekwencji trzęsień ziemi, osuwisk i kaprysów pogody, a także – co ważne – złodziei, którym niewygodnie byłoby transportować materiały i artefakty z tak daleka.

Gdy już nacieszymy oczy ruinami łaźni, sklepów, teatru i stadionu, warto skoncentrować się na czym innym. Skoro, jak mówią przewodniki, Arykanda straciła status ważnego miasta dopiero w VI w. naszej ery, znaczy, że po tych, którzy modlili się do greckich i rzymskich bóstw, musieli nastąpić wyznawcy Jezusa.

– Tak było – mówi profesor Macit Tekinalp z ankarskiego uniwersytetu Hacettepe, obecny kierownik wykopalisk prowadzonych tu nieprzerwanie od lat 70. Dodaje, że Arykanda awansowała nawet w pewnym momencie na siedzibę biskupstwa (do dziś zresztą pozostaje biskupstwem tytularnym z nieobsadzonym „wakatem"). Zanim to jednak nastąpiło, chrześcijanie zdążyli zaleźć za skórę innym mieszkańcom miasta.

– Odnaleźliśmy inskrypcję będącą na to dowodem. W liście wysłanym do jednego z władców, Maksymina, w 312 r. napisali, że chrześcijanie sieją zgorszenie swoimi bezbożnymi praktykami – śmieje się profesor i przytacza tekst: „Pomyśleliśmy, że powinniśmy odwołać się do waszej nieśmiertelnej suwerenności i prosić, by chrześcijanie, którzy od dawna byli nielojalni i trwają w tej samej złośliwej intencji, zostali stłumieni, abyśmy nie musieli cierpieć za obrazę bogów z powodu jakiejkolwiek absurdalnej nowości. Ten cel najlepiej zostanie osiągnięty, jeśli na mocy waszego boskiego i wiecznego dekretu zostaną zakazane nikczemne i obrzydliwe praktyki tych ateistów, a wszyscy oni zmuszeni do oddawania kultu bogów, co przyniesie korzyść wszystkim waszym poddanym".

Profesor zaznacza, że adresat listu nie był przypadkowy. Maksymin słynął z gorliwości i okrucieństwa w prześladowaniach chrześcijan. Nie tylko z radością ich przesiedlał, ale i wtrącał do więzień oraz mordował. Jeśli dodać do tego rozbudowaną propagandę antychrześcijańską przy jednoczesnych próbach zorganizowania kultu wielu bóstw na hierarchicznych zasadach chrześcijańskich, rysuje się nam obraz fanatyka.

– Rzecz w tym, że rok później Maksymin zmarł, a cesarz Konstantyn wprowadził równouprawnienie chrześcijan na terenie Imperium – opowiada profesor i prowadzi do ruin kościoła, w którym zachowały się kolorowe mozaiki podłogowe i baptysterium. – W drugim pomieszczeniu mozaiki zaczęto układać, ale nie skończono z powodu pożaru. Znaleźliśmy nie tylko gotowe materiały, ale też plany tego, jak miały one wyglądać – mówi. Ten kościół pochodzi z V w., ale chrześcijanie już wcześniej zaadaptowali na swoje potrzeby również inne budowle w mieście. Na cmentarzu w Arykandzie z rzymskimi inskrypcjami na cześć bogów sąsiadują krzyże wyryte na dawnych rzymskich sarkofagach.

Parafie jadą gdzie indziej

Pod krzyżami Arykandy nikt się jednak nie modli. Choć Turcja ma spore szanse wyprzedzić Grecję, która od lat dzierżyła palmę pierwszeństwa jako ulubiony kierunek wakacyjny Polaków, dotyczy to raczej plaż niż miejsc kultu. – Trzy lata temu Turcję odwiedziło 300 tys. turystów z Polski, a do listopada minionego roku prawie trzy razy tyle – mówi Kaan Ergun, dyrektor generalny polskiego oddziału biura Coral Travel, czwartego tour-operatora w Polsce. I choć spodziewa się, że ta liczba wkrótce osiągnie 1 mln, zaznacza, że zainteresowanie wyjazdami religijnymi jest znikome. O ile kilka-kilkanaście lat temu Coral organizował (najczęściej na zamówienie parafii) pielgrzymki, dziś zostały już tylko wycieczki fakultatywne tego typu. Ale i one nie mają specjalnego wzięcia. – Polacy uwielbiają zwiedzać, nie zauważyłem jednak, by szczególnie dotyczyło to miejsc związanych z chrześcijaństwem, choć i takie wycieczki są w naszej ofercie. Nie stawiamy więc na rozwój turystyki religijnej – mówi Ergun.

Słusznie. – Nie mamy żadnego zainteresowania Turcją, to nie jest kraj *stricte* pielgrzymkowy – mówi Sylwia Rusin prowadząca Tarnowskie Biuro Pielgrzymkowe Beskid Vision i Franciszkańskie Biuro Pielgrzymkowe z Dąbrowy Górniczej. Choć wysyła pielgrzymów do Izraela, Libanu, Egiptu, Jordanii, nie wróży Turcji pielgrzymkowej przyszłości.

Nieco inaczej widzi to Renata Kolanicka z Pallotyńskiego Biura Pielgrzymkowo-Turystycznego Peregrinus. Tu zainteresowanie było, ale minęło.

– Pielgrzymki do Turcji organizujemy od ćwierć wieku. W latach 1997–2009 było tylu chętnych, że sezon trwał od kwietnia do października, w jednym miesiącu wyjeżdżały nawet cztery grupy po około 45 osób – opowiada. Teraz w ofercie jej biura jest tylko jeden termin w roku. Za 14-dniową „objazdówkę" śladami pierwszych chrześcijan trzeba zapłacić około 8 tys. zł. I okazuje

OGŁOSZENIE

Przed Sądem Rejonowym w Mińsku Mazowieckim, Wydział I Cywilny, toczy się na wniosek Janiny Orzechowskiej i Kazimierza Orzechowskiego, pod sygnaturą INs 377/17, postępowanie o stwierdzenie zasiedzenia własności nieruchomości położonej w miejscowości Kobylanka, oznaczonej w ewidencji gruntów numerem 401, o powierzchni 0,2317 ha, dla której prowadzona jest księga wieczysta SI1M/00013350/7, a także nieruchomości położonej w miejscowości Czarnocin, oznaczonej w ewidencji gruntów numerem 150.

Sąd wzywa zainteresowanych, w szczególności spadkobierców Weroniki Orzechowskiej, aby w terminie trzech miesięcy zgłosili się do tutejszego Sądu, gdyż w przeciwnym razie Sąd stwierdzi zasiedzenie, jeżeli zostanie ono udowodnione.

się, że za taki wyjazd to nie jest kwota wygórowana.

– Przelot samolotem rejsowym jest kosztowny, a do Stambułu na razie nie latają czartery. Zresztą nawet gdyby latały, to organizując wakacje typu *all inclusive* miejsca w samolotach czy hotelach rezerwuje się z dużym wyprzedzeniem i w dużych ilościach. Z pielgrzymkami tak to nie działa. Zgłasza się zwykle niewielka grupa i nie sposób w krótkim czasie uzyskać dla niej atrakcyjnych cen – twierdzi Paweł Wrotecki, właściciel gorzowskiego biura Sun Klub. – Do tego bogaty program zwiedzania, a co za tym idzie: długa trasa przejazdu – uzupełnia Michał Gradoń ze specjalizującego się w organizowaniu pielgrzymek poznańskiego biura Misja Travel. – Dodajmy do tego opłaty typu lokalny przewodnik na miejscu, a okaże się, że pielgrzymka do Turcji jest droższa nie tylko od wyjazdu do Włoch, Francji czy Izraela, ale nawet od wczasów *all inclusive* na Riwierze Tureckiej.

Gradoń czarno widzi przyszłość turystyki religijnej do Azji Mniejszej. – Ostatnie posunięcia władz tureckich, jak podniesienie cen za wizy czy planowane wprowadzenie opłaty turystycznej dla obcokrajowców za nocleg w hotelu, prawdopodobnie przyczynią się do dalszego spadku zainteresowania tym kierunkiem. Nie pomaga też złożona sytuacja polityczna w regionie, zaangażowanie militarne w Syrii czy konflikt z Kurdami. Niektórzy ludzie po prostu boją się tam jeździć. Ubolewam, bo to tak ważny dla chrześcijaństwa kraj!

Muzułmanin też pielgrzym

– Kryzys w 2016 r. spowodowany atakami terrorystycznymi spowodował wręcz zerowe zainteresowanie pielgrzymkami w tamtym i następnym roku.

Na cmentarzu w Arykandzie z rzymskimi inskrypcjami na cześć bogów sąsiadują chrześcijańskie **krzyże wyryte na dawnych rzymskich sarkofagach.**

Tym bardziej że trasa pielgrzymkowa w Turcji zahacza o tereny wschodnie, które były oznaczone przez Ministerstwo Spraw Zagranicznych jako niebezpieczne – mówi Dorota Surekci, która prowadzi w Alanyi polskie biuro turystyczne Metin Tour. Dostrzega kilka powodów pielgrzymkowych kłopotów. – Wysoka cena związana z koniecznością kupienia drogiego biletu i duże wahania kursu liry tureckiej. W ciągu trzech lat kurs wzrósł z 4 do 6,5 lir za 1 euro. A przecież odbiorcami pielgrzymek są głównie parafie i ludzie średniozamożni – wyjaśnia i dodaje, że jedną z przyczyn może być też ogólny spadek religijności Polaków i zaufania do Kościoła.

– To nie ma nic wspólnego z religią – uważa przedstawiciel innego nastawionego na przyjazdy Polaków biura w Turcji. – Tak zwane objazdówki wszędzie wychodzą z mody. Jeździ się na nie już właściwie tylko do krajów egzotycznych jak Indie, Chiny czy Sri Lanka. Na bliskich kierunkach się nie opłacają. Taniej jest jednego roku wykupić tygodniowe wczasy w Kusadasi i odwiedzić kościół św. Jana czy sanktuarium Matki Boskiej w Meryem Ana, a za rok pojechać do Antalyi i stamtąd w rodzinne strony św. Mikołaja czy na dwudniową wycieczkę do Kapadocji, by obejrzeć skalne kościoły.

O ile w ogóle ma się ochotę. Jego zdaniem zwykły, czyli „niepielgrzymkowy" polski klient na wakacjach chce się raczej moczyć w basenie niż modlić.

Potwierdzają to analizy tureckiego Ministerstwa Kultury i Turystyki, z których wynika, że dla Polaków oprócz słońca i ciepłego morza najbardziej liczy się oferta *all inclusive*. Chcą zapłacić, przyjechać i nie wydać już ani grosza ekstra. Rosjanom zależy na zakupach, a Włosi wyżej niż *all inclusive* cenią samodzielne przemierzanie kraju.

Ale Turcy się nie zrażają i wciąż myślą o rozwijaniu turystyki religijnej. Tyle że nie stawiają już tylko na chrześcijan. W rządowym planie rozwoju turystyki na lata 2020-23 wpisano m. in. mieszczące się w Şanlıurfie jezioro Abrahama (które według muzułmańskich legend Bóg utworzył z ognia, rozpalonego przez biblijnego Nimroda – uosobienie pogaństwa – gdy ten chciał spalić Abrahama) oraz Mauzoleum Rumiego, zwanego Mevlaną (lub Maulaną), myśliciela, duchownego, założyciela zakonu wirujących derwiszy. Mają one ściągnąć do Turcji pielgrzymów-muzułmanów. W końcu początek znalezionej w Arykandzie inskrypcji brzmi: „bogowie zawsze okazują życzliwość tym, którzy szczerze wyznają swą religię".

© MARCELINA SZUMER-BRYSZ

RDC POLSKIE RADIO

MARCELINA SZUMER-BRYSZ będzie gościem Grzegorza Chlasty w środę 29 stycznia o godzinie 7.30 w Polskim Radiu RDC. Audycję można odsłuchać także w podcastach na stronie internetowej radia.

| Warszawa 101 FM |Ostrów Maz. 87,6 FM | Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM | Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM oraz na Mazowszu i w Warszawie – **www.rdc.pl**

OGŁOSZENIA

W Sądzie Rejonowym w Kamiennej Górze toczy się postępowanie w sprawie pod sygnaturą INs 525/16 z wniosku NPL FIN Sp z o.o. Sp. kom. w Warszawie o stwierdzenie nabycia spadku po Janie Mynarskim zm. 14.09.2013 r. w Jaworze, ostatnio stale zamieszkałym w Lipie.

Wzywa się spadkobierców zmarłego, aby w terminie 3 miesięcy od ukazania się tego ogłoszenia zgłosili się do Sądu Rejonowego w Kamiennej Górze i udowodnili swoje prawo do spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu spadkowym.

Przed Sądem Rejonowym w Mińsku Mazowieckim, Wydział I Cywilny, pod sygnaturą INs 535/19, toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Jolancie Jadwidze Włodarek zm. 9 lutego 2015 r. w miejscowości Osiny, ostatnio stale zamieszkałej w miejscowości Osiny.

Sąd wzywa, aby spadkobiercy w terminie trzech miesięcy od dnia opublikowania ogłoszenia zgłosili się do tutejszego Sądu i udowodnili nabycie spadku, ponieważ w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

ALBO ŻYCIE, ALBO SPRAWIEDLIWOŚĆ

„Choćby cały świat spłonął, najważniejsze, że mój wrócił” – mówi żona zwolnionego jeńca. „Oddając Rosji zabójców mojego męża, Ukraina gra pod jej dyktando” – twierdzi żona poległego na Majdanie.

MONIKA ANDRUSZEWSKA Z KIJOWA

Wynegocjowana przez prezydenta Wołodymyra Zełenskiego wymiana jeńców wywołała na Ukrainie burzę. Część społeczeństwa uznała, że władze ugięły się wobec warunków narzuconych przez Rosję i jej siły hybrydowe w Donbasie. Choć na dwa dni przed sylwestrem do domów wróciło 76 Ukraińców, nie wszyscy podzielali radość ich rodzin. W zamian oddano bowiem m.in. pięciu funkcjonariuszy jednostki Berkut, która w 2014 r. pacyfikowała Majdan. Pojawiły się głosy, że cena jest zbyt wysoka i tworzy groźny precedens: uwalniania przestępców.

Berkutowcy mieli odpowiadać przed sądem za zbrodnie przeciw własnemu narodowi. Rodziny ofiar Majdanu i jego uczestnicy nie chcą się pogodzić z tym, że berkutowcy są teraz bezkarni. Uważają, że czas, by Ukraina stała się wreszcie państwem prawa, gdzie winnych spotyka kara. I że zabitym na Majdanie należą się nie tylko uroczystości i pomniki, lecz także sprawiedliwość.

Inaczej zwolennicy wymiany. Oni podnoszą, że bohaterom Niebiańskiej Sotni należy się pamięć i szacunek, ale trzeba ratować bohaterów żyjących – żołnierzy więzionych w Donbasie w nieludzkich warunkach i więźniów politycznych, skazywanych w Rosji. „Co jest ważniejsze: sprawiedliwość czy życie naszych bliskich”? – pytali. Dla nich odpowiedź była oczywista.

Prezydent Wołodymyr Zełenski swoją opinię przedstawił jasno: „To był warunek przeprowadzenia tej wymiany. Jeśli miałbym jeszcze stu berkutowców, oddałbym ich za jednego ukraińskiego zwiadowcę”.

Życie

Kijów, 29 grudnia 2019 r.

Niecierpliwie krążą po hali lotniska w oczekiwaniu na maszynę z jeńcami. Wymiana odbyła się na linii frontu, teraz uwolnieni są transportowani do Kijowa. W rozmowach dominują dwa tematy: co komu powiedział zwolniony mąż, gdy dali mu wreszcie zadzwonić, i że nie wierzą, że ich koszmar się skończył.

– Odetchnęłam dopiero, gdy zobaczyłam na zdjęciach, że jest już na naszym terytorium – mówi drobna szatynka. To Wiktoria, żona Bohdana Pantiuszenki, który był w niewoli najdłużej: trafił do niej podczas walk o donieckie lotnisko. Za nią ciężkie pięć lat – i ciężka ostatnia noc.

Przez całą tę noc, aż do świtu, rodziny jeńców oglądały w sieci zamieszki pod kijowskim aresztem, z którego mieli zostać wywiezieni berkutowcy. Blokowało go kilkuset aktywistów: uważali, że oddanie Rosji winnych (i zarazem ważnych świadków) zbrodni na Majdanie to zdrada interesów narodowych. „Jest zagrożenie, że znowu naszych nie wypuszczą!” – dzwoniły do siebie w panice, przerażone, że mężowie zostaną w rosyjskich więzieniach.

Wiktoria Pantiuszenko jest roztrzęsiona. Mówi, że cała jej rodzina była na Majdanie, że mąż był w Kozackiej Sotni, teść został pobity przez Berkut. Nie rozumie, czemu teraz dawni koledzy z Majdanu są przeciwko niej.

Choć część ukraińskiego społeczeństwa zareagowała oburzeniem na informacje o warunkach wymiany, dla żon nie były one zaskoczeniem. Pamiętały, że dwa lata temu ich mężów skreślono z list na dobę przed wymianą, bo ówczesny prezydent Petro Poroszenko nie zgodził się, by wydać Rosji berkutowców.

Wiktoria Pantiuszenko wylicza: – Cena za Berkut to mój mąż, do tego dwóch żołnierzy naszego specnazu. Ołeksandr Korinkow na akcję, podczas której trafił do niewoli, pojechał prosto z miesiąca miodowego. Serhij Hlondar jeszcze nawet nie poznał swojej młodszej córki, bo urodziła się, gdy był już uwięziony. I major specnazu Serhij Iwańczuk, od trzech lat trzymany w izolatce.

Żona Iwańczuka, także Wiktoria, wzrusza ramionami: – I co zmieniły te dwa lata? Śledztwo w sprawie zbrodni na Majdanie i tak stoi, tylko nasi siedzieli dwa lata dłużej. Oni walczyli za kraj, więc państwo jest zobowiązane ich uwolnić. Wymieniamy najlepszych ludzi Ukrainy, oddajemy najgorszych. To uczciwe.

Obie nie mają wątpliwości, że prezydent Zełenski podjął dobrą decyzję.

MONIKA ANDRUSZEWSKA

Ołena Duwanowa czeka na uwolnionego męża na lotnisku w Kijowie, 29 grudnia 2019 r.

Wiktoria Iwańczuk trzy lata żyła ze świadomością, że będzie wychowywać dwie córki sama, bo mąż będzie gnić w ługańskiej piwnicy. W jej błękitnych oczach nie ma zrozumienia dla protestujących. – Oni żyją. Tamci nie. Życie jest zawsze najważniejsze – ucina.

– Widziałyście, co mi napisali? – kobiety pokazują sobie komentarze w mediach społecznościowych. Niektórzy ich autorzy uznali, że zdjęcia radosnych żon z podpisami „Czekamy na naszych" to dobre miejsce, by zacząć internetowe kłótnie o koszt wymiany.

– To nie ma znaczenia – mówi jedna z kobiet. – Choćby cały świat miał spłonąć, najważniejsze, że mój wróci.

Oczekiwanie

Kilka kroków dalej stoi starsza blondynka z załzawionymi oczami. To Hałyna, matka żołnierza spod Lwowa, którego nie uwzględniono w tej wymianie. Stara się trzymać z boku, nie chce swoim bólem psuć szczęścia innych.

– Nie wiem, naprawdę nie wiem, czemu go nie wypuszczają – mówi.

Nie wie, że rodziny tych, których dziś wypuszczono, umówiły się między sobą, żeby ktoś do niej podchodził co kilka-kilkanaście minut.

– Po co ona przyszła? Chce się upewnić, czy syn na pewno nie wrócił? Przecież wiadomo, że nie ma go na liście... – martwią się.

Kilka godzin później, gdy znajdą się już w ramionach bliskich, zapomną o samotnej matce.

– Podobno go nie oddają, bo widać na nim ślady tortur. Słyszałam, że odcięli mu rękę. Jeśli oddaliśmy teraz wszystkich zbrodniarzy, to za kogo wymienią mojego synka? Aj, Boże mój, Bożeńku, co ja mogę jeszcze zrobić? – Hałyna pyta bezradnie.

Zaciska usta. Na jej osobistym froncie bez zmian.

Sprawiedliwość

– Chcę, żeby mordercy z Berkutu zgnili w więzieniu. Żeby spędzili tam resztę swoich dni, a ich matki, żony i dzieci nigdy już nie mogły ich objąć, tak jak my nie możemy objąć naszych – oświadcza matka jednego z tych, którzy zginęli w tamte lutowe dni roku 2014, podczas ostatniej ukraińskiej rewolucji.

Siedzące obok kobiety potakują w milczeniu. To żona i siostra kolejnych dwóch zabitych wtedy na Majdanie. Nalegają, by nie podawać ich nazwisk. – Jesteśmy głosem wszystkich naszych zamordowanych – zapewniają. Cała społeczność rodzin Niebieskiej Sotni wystąpiła przeciwko oddawaniu berkutowców.

Siostra wyciąga telefon, pokazuje. „Ten kraj nie ma przyszłości" – ogłasza ojciec poległego na Majdanie. „Za co zrujnowali moje życie? Ten ból rozrywa serce! Wypuszczają morderców! Nieukarane zbrodnie to zbrodnie, na które jest pozwolenie" – pisze wdowa.

Siostra zwraca uwagę, że niemal wszyscy pozmieniali dostępność tych wpisów w mediach społecznościowych: teraz mogą je widzieć tylko ich znajomi.

– Gdybym wprost powiedziała, że żądam ukarania morderców mojego brata nawet kosztem życia jeńców, to byłoby... bardzo źle przyjęte – mówi. – Nas, rodzin bohaterów Majdanu, nie traktuje się już jak zwykłych ludzi. Mamy być jak pomniki ze spiżu. A my jesteśmy ludźmi. Naszej krzywdy nie da się już naprawić. Nie da się też zmienić tego, że większość funkcjonariuszy Berkutu od razu uciekła do Rosji, a do aresztu trafiło tylko pięciu. Ale czy wolno odmawiać nam prawa do ukarania choćby tych pięciu? Prawa do sprawiedliwości? Czemu mamy znów poświęcać się w imię jakichś wyższych celów? Nie dość już poświęciliśmy?!

– Czy odczuwam współczucie dla rodzin jeńców, których można wciąż uratować? – żona zabitego z Majdanu rwie w dłoniach serwetkę. – Tak, jest go we mnie wiele. Przykro mi, że musimy podejmować takie wybory. Wyobrażam sobie, co czuje kobieta czekająca latami na powrót ukochanego. Wiem, co to miłość. Mąż to było moje powietrze i słońce.

– Ich apele o uwolnienie jeńców i wytrwałość są heroiczne, ich historie są ↦

MONIKA ANDRUSZEWSKA

Bohdan Pantiuszenko spędził w rosyjskiej niewoli pięć lat. Na zdjęciu z żoną i bliskimi na kijowskim lotnisku, 29 grudnia 2019 r.

wzruszające – kontynuuje. – Ale na wzruszeniu nie można budować przyszłości kraju. Mój mąż zginął za tę przyszłość, za Ukrainę niezależną od Rosji i wolną. A wolny kraj to kraj praworządny, z sądami nieuginającymi się pod naciskiem polityków, gdzie winni morderstw odbywają sprawiedliwe kary. To kraj, który nie gra pod dyktando Rosji. Czy te żony jeńców rozumiały w ogóle, o jaką Ukrainę walczą ich mężczyźni? Rosja nie ma prawa żądać berkutowców, przecież oni nie mają nic wspólnego z konfliktem na wschodzie i jeńcami. Chyba że Rosja powie wprost, że Berkut wykonywał jej rozkazy? Przed wrogiem nie można się ugiąć, bo on zawsze sięgnie po więcej.

Matka mówi wprost: syn był jej całym światem, przy życiu trzymała ją świadomość, że trzeba doprowadzić proces berkutowców do końca. – Wszyscy mi mówicie, że na jeńców ktoś czeka. Wyjaśniacie mi, że mój syn nie wróci, a w zamian za jego morderców mogą wrócić do domu czyjeś dzieci. Dziękuję za takie rady, przez te sześć lat zauważyłam, że mojego dziecka już nie ma – zaczyna krzyczeć, wzbudzając popłoch wśród podsłuchujących kelnerek kijowskiej kawiarni.

Jedna z nich szybko zaparza nową herbatę i bez słowa stawia przed matką bohatera.

– Mówicie, że mnie rozumiecie, bo też byliście na Majdanie – ciągnie matka. – Dobrze, byliście na Majdanie. Ale czy to wasi synowie leżeli potem martwi na ulicy? Nieważne, gdzie byli wtedy wasi synowie! Pytam, czy leżeli na Chreszczatyku przykryci kocami?! Czy oglądaliście potem zdjęcia ich ciał w internecie, w zachodnich agencjach? Pisałam potem do dziennikarzy: „Przepraszam, czy mógłby mi pan wysłać swoje nagrania i zdjęcia z Majdanu? Mam nadzieję znaleźć ostatnie momenty życia mojego dziecka". Kiedy widziałam, że dziennikarz jest obcokrajowcem, wklejałam tekst, który przygotowały mi koleżanki syna. Nie znam angielskiego. Pisałam do nich: „*Good afternoon! Excuse me for disturbing you*, ale szukam zdjęć, bo tylko tyle mi zostało".

Znów podnosi głos: – I tak samo mówię teraz ukraińskiej władzy: przepraszam, że przeszkadzam w waszych ustaleniach z Rosją, ale przypominam, że mojego syna zamordowali! Wszystko, co mogę zrobić, to żądać kary dla winnych. Majdan nazywa się Rewolucją Godności. To gdzie ta godność? Wypuszczając morderców, odebrali godność nam i naszym dzieciom!

Cisza

Na polowym łóżku w sanatorium pod Kijowem siedzi łysy wychudzony mężczyzna. Żona wpatruje się w niego z czujną troską.

– Cisza i to wszystko. Przez te trzy lata w moim życiu nie było żadnych rozmów poza przesłuchaniami. Wiesz tyle, co podsłuchasz przez ścianę, kroki, czasem ktoś krzyczy, kogoś ciągną – Serhij, major specnazu, milknie. Do niewoli trafił w lutym 2017 r. Przez cały czas był trzymany w jednoosobowej celi.

– Dawali mi książki. Różne, o Napoleonie, o Sherlocku Holmesie, wszystkie po rosyjsku. Nigdy nie sądziłem, że można tak wchodzić w książkę, budować na niej swój wewnętrzny świat. Jedyny świat, jaki masz w izolatce – dodaje.

Żona chce mu przypomnieć o innych światach. Podsuwa pod nos telefon. – Zobacz, tego wideo ci jeszcze nie pokazywałam, to konkurs taneczny z naszą Nastią.

Telefon wybucha dźwiękami muzyki nowoczesnej. Mężczyzna odsuwa go szybko od twarzy. – Wyłącz dźwięk. Która to nasza? – stara się rozpoznać córkę wśród wirujących dziewczynek. Nie potrafi. Żona zaczyna opowiadać o koleżankach ze szkoły, z którymi tańczy Nastia. On ich nie pamięta. – Dzieci urosły. Jeszcze wszystko nadrobisz. Opowiem ci o wszystkim – zapewnia żona.

– Na początku chcesz ciągle spać, byle czas minął – Serhij odwraca wzrok od telefonu, wpatruje się w ścianę. – Tylko w snach jesteś wolny. Wracasz do domu, wychodzisz z żoną na spacer. Ale czasem też śni się, że cię katują.

Przerywa. Wyciąga paczkę z cukierkami. Częstuje żonę. Sam też bierze. Lekarze zalecili mu jedzenie słodyczy, by nadrobić ponad 35 kilogramów wagi, stracone w niewoli. Wpatruje się chwilę w papierek. Nagle zaczyna opowiadać o jednym ze starć. O rannym, którego nie zdołali wywieźć spod ognia. „On żywy nie dojedzie" – powiedział im sanitariusz oddziału. Ranny usłyszał, podniósł głowę. „Naprawdę umrę? Nie będę żył?" – pytał i ściskał w panice dłoń dowódcy.

Żona słucha, marszczy brwi.

– On ma jakby potrzebę ponownego opowiedzenia wszystkiego, co przeżył – powie później. – Myślę, że za jakiś czas jego głowę wypełnią codzienne sprawy: córki, nasze małe życiowe problemy. Ale na razie nie ma jeszcze nowego materiału do zapełnienia myśli. On opowiada mi o ciszy, a ja jemu o naszym życiu bez niego.

– Światło w celi jest wciąż włączone. Nigdy nie wiesz, jaki jest dzień, jaka pora dnia. Czas wyznaczają ci tylko tortury – mówi Serhij. Nie, o torturach nie będzie opowiadał, a już na pewno nie przy żonie.

– Służyłem dla kraju. Nie chcę, żeby ktoś pomyślał, że się żalę. Przecież i tak wszystko już o tych torturach wiadomo, nie wymyślili dla mnie żadnej nowej.

Choć był jeńcem, sąd tzw. republik ludowych skazał go na 20 lat więzienia w izolatce.

Pytam, jak mając świadomość takiego wyroku, zdołał przetrwać. – Byłem pewien, że w domu na mnie czeają. I że zrobią wszystko, żeby mnie wydostać.

© MONIKA ANDRUSZEWSKA

ALEXEI NIKOLSKY / TASS / FORUM

Władimir Putin z przywódcami Izraela – prezydentem Reuvenem Rivlinem i premierem Beniaminem Netanjahu – podczas ceremonii odsłonięcia pomnika ofiar blokady Leningradu. Jerozolima, 23 stycznia 2020 r.

Polityczne deale w cieniu Zagłady

KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET Z TEL AWIWU

Nawołując w czasie izraelskich obchodów 75. rocznicy wyzwolenia Auschwitz do szacunku wobec ofiar Zagłady, premier Netanjahu sam potraktował je instrumentalnie. Nie pierwszy raz zresztą.

„Nauczyliśmy się, że Izrael ma zawsze pozostawać panem swojego losu" – mówił premier Beniamin Netanjahu w czwartek 23 stycznia w Jerozolimie, odnosząc się do lekcji płynącej dla narodu żydowskiego z Holokaustu.

I tak się faktycznie stało: w czasie piątego Światowego Forum Holokaustu Izrael doskonale obronił swoje polityczne interesy. Na stole wylądowały dwa główne tematy. Po pierwsze, powrót do Izraela 25-letniej Naamy Issachar, Izraelki uwięzionej w Rosji za posiadanie niewielkiej ilości marihuany (sprawa ta wzbudza duże emocje izraelskiej opinii publicznej, a zatrzymanie dziewczyny postrzegane jest jako „wzięcie zakładnika" i element targów rosyjsko-izraelskich). A po drugie – bezpośrednie zagrożenie dla Izraela płynące z Iranu. W tym także informacja, która pojawiła się pod koniec dnia: o tym, że w najbliższych dniach prezydent Trump ogłosi swój bliskowschodni „deal", czyli plan na pokój w regionie.

Od początku nie ulegało wątpliwości, że Izrael wykorzysta obchody do omawiania bieżących spraw – oraz kto będzie ich honorowym gościem. Mimo, że Władimir Putin okazywał iście monarsze maniery – np. spóźnił się ponad godzinę w stosunku do planowanego rozpoczęcia ceremonii w Yad Vashem, tak że w efekcie nie wysłuchał inauguracyjnego przemówienia prezydenta Izraela i skoncentrował na sobie uwagę wszystkich zgromadzonych – to gospodarze nie ustawali w okazywaniu mu przyjaźni. A jego słowom – pobłażania, które wielu historyków mogłoby zadziwić.

I tak, witając Putina na lotnisku Israel Katz, minister spraw zagranicznych wyraził wdzięczność Armii Czerwonej za uwolnienie jego matki, dodając, że wie, jaka jest historyczna prawda, i że byli więźniowie obozów „wiedzą dokładnie, kto ich uwolnił". W podobną retorykę wszedł premier Beniamin Netanjahu. Wraz z Putinem i prezydentem Izraela, Ruvenem Rivlinem, odsłonił przed południem pomnik ofiar blokady Leningradu przez Wehrmacht podczas II wojny światowej. W przemówieniu mówił później, że bez poświęcenia Armii Czerwonej „nie byłoby dziś żadnych ocalałych". Putin wykorzystał też uroczystość odsłonięcia pomnika, aby krytyków Rosji (w jego narracji: „rusofobów") zrównać z antysemitami.

Natomiast później, podczas uroczystości w Yad Vashem, prezydent Rosji – wbrew oczekiwaniom – nie kontynuował bezpośrednio swojej kampanii historycznego rewizjonizmu, jaką od wielu miesięcy prowadzi Rosja, zwłaszcza przeciwko Polsce. A przynajmniej – nie uczynił tego w taki sposób, by wprawić w zakłopotanie obecnych na sali zachodnich przywódców. Ci zapewne nie zwrócili uwagi na to, że mówiąc o Żydach – ofiarach Holokaustu – Putin zechciał zaliczyć Żydów-obywateli II RP oraz Żydów-obywateli Litwy do obywateli Związku ↦

Sowieckiego (według ówczesnej stalinowskiej interpretacji stali się nimi po aneksji ziem wschodnich II RP w 1939 r. i Litwy w 1940 r.). Putin nie omieszkał wspomnieć natomiast wieloznacznie o „pomocnikach nazistów, którzy często byli bardziej brutalni niż sami naziści". Mówił też o tym, że ku jego ubolewaniu „pamięć o Holokauście staje się polityczna" i że „wszyscy ci, którzy się tutaj dziś zjawili, chcą chronić prawdę i sprawiedliwość". Jak podkreślał: „to naród sowiecki położył kres planom nazistów", płacąc przy tym wysoką cenę. „Bronił swojej ojczyzny, ale też wyzwolił Europę".

W przemowach przedstawicieli Izraela dominowała prorosyjska narracja. Nie było w niej miejsca na rosyjskie winy, choćby te najbardziej oczywiste, jak pakt Hitler–Stalin, współudział w rozbiorze Polski we wrześniu 1939 r. czy choćby to, co stało się z Europą Środkowo-Wschodnią po II wojnie światowej – gdy znalazła się ona po sowieckiej stronie żelaznej kurtyny.

Wśród kilku skromnych polskich akcentów podczas ceremonii – jak pojawiające się (w wyświetlanym gościom filmie rozpoczynającym uroczystość, o antysemityzmie i walce z nim) fragmenty przemowy Aleksandra Kwaśniewskiego i palenie kukły Żyda przez Piotra Rybaka oraz obecność polskich członków orkiestry, która towarzyszyła wydarzeniu – zabrakło najważniejszego: polskiego prezydenta i jego głosu, który przełamałby prorosyjską narrację. W dniu, w którym wspominano pamięć ofiar Zagłady i oświęcimskiego obozu, w miejscu symbolicznym – na placu Getta Warszawskiego w Yad Vashem – polska perspektywa w ogóle nie zaistniała.

Najbardziej bolesne dla każdego chyba polskiego komentatora tego wydarzenia było nie to, że naszą perspektywę opluto, czy choćby jej zaprzeczono. Smutkiem napawa fakt, że po kilku latach zapewnień ze strony polskiego rządu o skutecznym promowaniu naszej historycznej narracji oraz o „wstawaniu z kolan" głos Polski na takim forum jak to – gromadzącym kilkudziesięciu przedstawicieli państw z całego świata – został pominięty. Albo nawet gorzej: braku naszego głosu nikt nie zauważył.

© KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET

Pierwszy test w Pasie Rdzy

JAN SMOLEŃSKI

Proces wyłaniania kontrkandydata dla Donalda Trumpa w jesiennych wyborach prezydenckich w USA wchodzi w kluczową fazę. Stawką jest również to, jaką formacją będzie Partia Demokratyczna.

W poniedziałek, 3 lutego, odbędą się pierwsze w tym cyklu prawybory w Partii Demokratycznej. Jej członkowie stoją przed poważnym wyzwaniem: wytypowania osoby, która będzie w stanie pokonać urzędującego prezydenta.

Zgodnie z tradycją, jako pierwsi swoich faworytów wybiorą członkowie Partii Demokratycznej w stanie Iowa. Choć ani demograficznie, ani gospodarczo nie jest to region reprezentatywny dla społeczeństwa amerykańskiego – jest w przeważającej mierze biały, postprzemysłowy i rolniczy – to zwyczajowo tamtejsze prawybory uznawane są za istotny test możliwości mobilizacyjnych i organizacyjnych kandydatów oraz ich sztabów. Z kolei dla mediów i wyborców jest to okazja, by skonfrontować oczekiwania względem swoich faworytów z rzeczywistymi, choć wciąż niepełnymi wynikami wyborczymi, które politycy są w stanie wypracować.

Doświadczenie pokazuje, że wyniki w Iowa wpływają w dużej mierze na późniejsze etapy kampanii. Od niemal pół wieku prawidłowością jest, że przy-

ROBYN BECK / AFP / EAST NEWS

Tom Steyer, Elizabeth Warren, Joe Biden, Bernie Sanders, Pete Buttigieg i Amy Klobuchar podczas telewizyjnej debaty w Des Moines, Iowa, 14 stycznia 2020 r.

szły zwycięzca partyjnej nominacji plasuje się w Iowa na miejscu nie niższym niż czwarte. Pokazały to zwycięstwa Baracka Obamy w 2008 r. i Hillary Clinton z 2016 r.

Podobnie wygląda to zresztą w Partii Republikańskiej: George W. Bush wygrał w Iowa w 2000 r., Mitt Romney (kontrkandydat Obamy z 2012 r.) był w prawyborach w Iowa drugi, podobnie jak w 2016 r. Donald Trump – wtedy jeszcze uważany za kandydata bez szans na nominację.

Ci, co odpadli, i ci, co zostali

Początkowo o nominację Demokratów ubiegało się aż 25 kandydatów. Choć na pierwszą debatę nie zaproszono wszystkich – kryteriami uczestnictwa było ogólnokrajowe poparcie oraz suma darowizn na kampanię – i odbyła się ona w dwóch turach, to i tak na scenie był tłok: wyszło na nią 10 osób.

Teraz, po ponad pół roku zmagań, w wyścigu zostało 12 pretendentów. Odpadli najbardziej faworyzowani kandydaci reprezentujący mniejszości etniczne. Afroamerykańska senatorka z Kalifornii Kamala Harris wycofała się jeszcze w grudniu. Afroamerykanin Corey Booker (reprezentujący w Senacie stan New Jersey) i Julian Castro (pierwszy latynoski pretendent do fotela prezydenta USA i były członek administracji Obamy) wycofali się w pierwszej połowie stycznia.

Kampanii nie przerwał Andrew Yang, przedsiębiorca chińskiego pochodzenia, którego sztandarowym pomysłem jest wprowadzenie „dywidendy wolności": bezwarunkowego dochodu podstawowego o wysokości tysiąca dolarów miesięcznie. Niektórzy uważali, że Yang był ignorowany przez media, a moderatorzy debat rzadziej zadawali mu pytania. Nie zakwalifikował się on jednak do ostatniej debaty z 14 stycznia i wszystko wskazuje, że nie wystąpi już w kolejnej, przewidzianej na 7 lutego.

Z walki o nominację nie wycofała się też Tusli Gabbard, członkini Izby Reprezentantów z Hawajów, której przodkowie pochodzili m.in. z Azji i Polinezji – jednak poparcie dla niej waha się w okolicy jednego procenta. Uchodzi za kontrowersyjną, gdyż jako jedyna Demokratka nie głosowała za impeachmentem Trumpa i jako jedyna osoba z klasy politycznej w USA spotkała się z syryjskim dyktatorem Baszarem al-Asadem.

Wiele jednak wskazuje, że spośród tuzina pozostałych na placu boju w realnej walce o nominację liczyć będzie się jedynie piątka. W większości rankingów prowadzi Joe Biden: ten wieloletni (były już) senator i wiceprezydent za rządów Obamy wciąż uznawany jest za faworyta. Za nim plasuje się senator z Vermontu Bernie Sanders, otwarcie nazywający się socjalistą. Wiele sondaży – choć nie wszystkie – pokazuje, że spośród demokratycznych pretendentów w bezpośrednim starciu z Trumpem to on miałby największe szanse. Miejsce *ex aequo* z Sandersem zajmuje senatorka z Massachusetts Elizabeth Warren, której głównym hasłem jest wyrugowanie korupcji z Waszyngtonu.

Ostatnim z pretendentów, którzy w sondażach uzyskują wyniki dwucyfrowe lub prawie dwucyfrowe, jest Pete Buttigieg. Ten były burmistrz South Bend w Indianie, ze względu na trudne nazwisko zwany „burmistrzem Petem", jest poliglotą (włada sześcioma językami; norweskiego nauczył się, by czytać książki w oryginale). Buttigieg jest pierwszą otwarcie homoseksualną osobą ubiegającą się o fotel prezydenta USA i najmłodszym z obecnych kandydatów – ma 38 lat.

Do tego grona w ostatniej chwili wepchnięta została Amy Klobuchar, senatorka z Minnesoty. Wprawdzie poparcie dla niej nie przekracza 5 proc., ale w zaskakującej decyzji redakcja „New York Timesa" – jednego z najważniejszych centrowo-liberalnych dzienników opinii w USA – udzieliła poparcia dwóm osobom: jej oraz Warren.

Co łączy, a co dzieli

Jednym z najistotniejszych tematów kampanii jest kryzys klimatyczny – Sanders i Warren uważają nawet, że jest on zagrożeniem dla bezpieczeństwa narodowego USA – jednak nie budzi on wewnątrzpartyjnych kontrowersji.

Piątka najważniejszych kandydatów jest zgodna co do konieczności ograniczenia emisji gazów cieplarnianych i przygotowania kraju do efektów zmian klimatycznych, takich jak huragany, pożary, powodzie i susze. Różnice dotyczą nie celów, lecz środków, jakie trzeba zaangażować. Najambitniejszym planem jest „Green New Deal" Sandersa, ale w gruncie rzeczy wszyscy zgadzają się, że do 2050 r. gospodarka USA powinna być neutralna węglowo.

Głębsze różnice programowe między kandydatami dotyczą głównie systemu ochrony zdrowia [patrz o tym „TP" 46/2019 – red.] i edukacji wyższej, których koszta rosną i stają się coraz trudniejsze do udźwignięcia dla amerykańskiej klasy średniej. W tych kwestiach Biden, „burmistrz Pete" i Klobuchar należą do umiarkowanego skrzydła partii, które jest za utrzymaniem obecnego modelu opartego na prywatnych ubezpieczeniach zdrowotnych. Po drugiej stronie są progresywni Warren i Sanders. Oboje opowiadają się za publicznym ubezpieczeniem zdrowotnym dla wszystkich Amerykanów, a różnice między nimi głównie dotyczą tego, jak wyglądałby okres przejściowy.

Ponadto Warren i Sanders proponują wprowadzenie darmowych studiów licencjackich na uczelniach publicznych oraz anulowanie długów wynikających z zaciągniętych kredytów na opłacenie czesnego [o tym problemie społecznym patrz „TP" 28/2019 – red.]. Buttigieg, który ↦

sam proponuje zwolnienie z czesnego dla studentów z rodzin poniżej pewnego progu dochodowego, niemal wprost porównał te pomysły do subsydiowania dzieci milionerów z podatków płaconych przez klasę średnią. Zwolennicy Warren i Sandersa ripostują, że takimi słowami „burmistrz Pete" powiela republikańskie klisze.

Różnice widać też w podejściu do polityki zagranicznej, która ze względu na napięcia między USA a Iranem może odgrywać w kampanii coraz większą rolę. Tu podział przebiega według podobnych linii. Warren i Sanders mówią o konieczności zmniejszenia wydatków wojskowych i – co za tym idzie – wycofania wojsk USA zaangażowanych w konflikty za granicą; opowiadają się też za rozwiązaniem kryzysu klimatycznego i konfliktu z Iranem we współpracy z innymi krajami. W podobnym tonie mówił podczas ostatniej debaty „burmistrz Pete", który podkreśla też, że Kongres powinien odgrywać większą rolę w polityce zagranicznej.

Według badań, w kwestiach polityki zagranicznej wyborcy Demokratów najbardziej ufają Bidenowi, którego plan to powrót do czasów sprzed Trumpa – czyli odbudowanie międzynarodowych sojuszy, choć z wyraźną rolą USA jako lidera. Część wyborców nie jest mu jednak w stanie wybaczyć poparcia dla wojny w Iraku.

Walka o kluczowe stany

Nie jest to koniec problemów Bidena. Ma on skłonność do popełniania gaf. W trakcie kampanii z dumą opowiadał, że w ramach ponadpartyjnych działań był gotów współpracować z republikańskimi kongresmenami znanymi z rasistowskich poglądów. Wypowiedziane w dobrej wierze słowa o tym, że „biedne dzieci" są tak samo bystre jak „białe dzieci" to tylko jedna z wielu wpadek. Kilka kobiet oskarżyło go też o zachowanie, które sprawiło, że poczuły się nieswojo. Biden zdecydowanie zaprzeczał, że robił to celowo, jednak w erze ruchu #MeToo takie tłumaczenia są niedopuszczalne zwłaszcza dla młodszych wyborców z dużych miast – podobnie jak powielanie rasistowskich stereotypów.

Prawybory w stanie Iowa bedą dla kandydatów pierwszą okazją do sprawdzenia, na ile ich programy rezonują poza tradycyjnymi bastionami Demokratów, jakimi są wielkie miasta.

Prawybory w Iowa są ważne również z innego powodu. Stan ten leży w tzw. Pasie Rdzy – regionie borykającym się z trudnościami gospodarczymi, spowodowanymi deindustrializacją. To właśnie w czterech stanach tego regionu – Iowa, Ohio, Wisconsin i Pensylwanii – ku zaskoczeniu wielu Trump pokonał Demokratów (niewielką liczbą głosów) i w efekcie – choć w skali całego kraju jego wynik był słabszy niż Clinton – zdecydowanie wygrał wybory prezydenckie dzięki rozkładowi głosów w Kolegium Elektorów.

Prawybory w Iowa będą pierwszą okazją dla kandydatów na sprawdzenie, na ile ich programy rezonują poza tradycyjnymi bastionami Partii Demokratycznej, jakimi są wielkie miasta. I choć sama Iowa nie jest wymieniana wśród stanów kluczowych – głównie ze względu na małą liczbę głosów elektorskich – to podobieństwo do Ohio, Wisconsin czy nawet Pensylwanii sprawia, że może być jednym z najważniejszych sprawdzianów, który z pretendentów do nominacji z ramienia Demokratów przekona do siebie wahających się wyborców.

Wszystkie stawki prawyborów

W całym cyklu prawyborczym członkowie partii, wybierając kandydata, zdecydują, jaką strategię budowania koalicji przeciw Trumpowi wybiorą. Na jednym końcu spektrum znajduje się kojarzony z establishmentem Biden, który prezentuje siebie jako osobę zdolną pojednać podzielone społeczeństwo: swoim umiarkowanym programem i zapowiedzią, że nie wyklucza wyboru Republikanina na stanowisko wiceprezydenta, robi ewidentny ukłon w stronę zamożnych konserwatystów zniechęconych Trumpem. Z drugiej strony są Sanders i Warren, których – mimo podkreślanych czasem różnic ideowych – na tle reszty kandydatów więcej łączy niż dzieli: ich program, przynajmniej w zamierzeniach, jest skierowany do niższej klasy średniej i mniej zamożnych.

Jednak gra toczy się o jeszcze jedną stawkę: jaką formacją w przyszłości będzie Partia Demokratyczna. Wybór któregoś z umiarkowanych kandydatów – a zwłaszcza Bidena, faworyta partyjnego establishmentu – będzie oznaczał, że Demokraci dalej będą kroczyć drogą wyznaczoną przez Billa Clintona, która zmieniła Demokratów w partię wielkomiejskich elit, pogodzoną z wielkim biznesem i Wall Street. Wybór kandydata progresywnego, zwłaszcza Sandersa, oznaczałby częściowy powrót Partii Demokratycznej z czasów programów Nowego Ładu i Wielkiego Społeczeństwa, które zbudowały amerykańskie państwo dobrobytu, a do którego rozmontowania przyczynił nie tylko Ronald Reagan, ale też Clinton.

Popularność takich polityków jak Alexandria Ocasio Cortez (członkini Izby Reprezentantów), jej koleżanka z ław Ilhan Omar, a także Sanders czy Warren sugeruje, że część wyborców szuka zmiany. Paradoksalnie symptomem tego było zwycięstwo Trumpa w miejscach, w których wcześniej dwukrotnie wygrał Obama: obu dzieliła przepaść ideowa i polityczna, ale w umysłach wyborców obaj symbolizowali odejście od tradycyjnej waszyngtońskiej polityki.

Pewne jest, że establishment Partii Demokratycznej będzie się bronił przed taką zmianą, bo wraz z nią jego miejsce zajmą nowe partyjne elity. Trwa więc bój o duszę Demokratów. © JAN SMOLEŃSKI

OGŁOSZENIE

Sąd Rejonowy w Tychach, Wydział I Cywilny pod sygn. akt INs 313/19 toczy się postępowanie sądowe o stwierdzenie nabycia spadku po Pawle Stanisławie Wąsala, synu Zbigniewa i Anny, zmarłym w dniu 24 października 2017 r. w Tychach, którego ostatnim miejscem stałego pobytu był Bieruń.

Sąd wzywa, aby spadkobiercy w ciągu trzech miesięcy od dnia publikacji ogłoszenia zgłosili i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

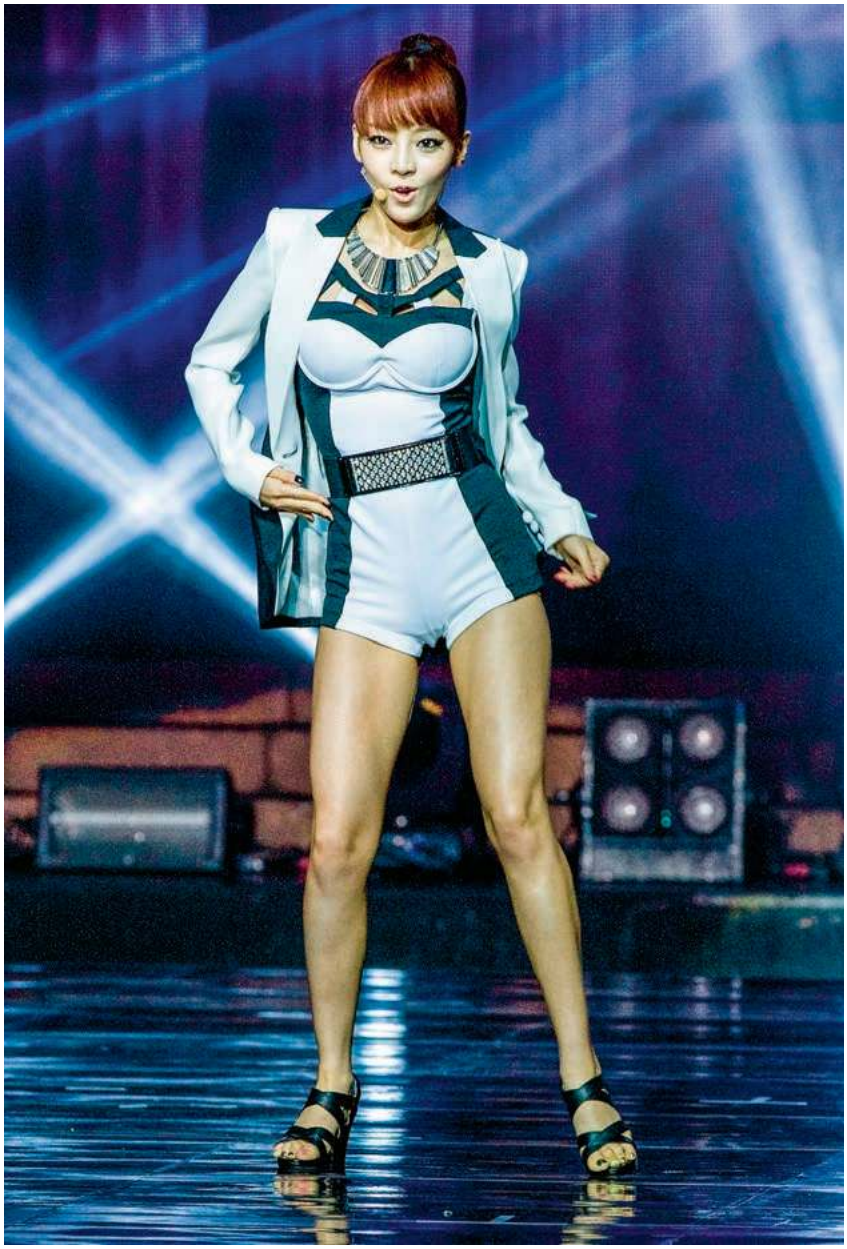

HAN MYUNG-GU / GETTY IMAGES

Goo Hara na scenie podczas promocji albumu „Pandora", Seul, 2012 r.

Przerwany występ

ROMAN HUSARSKI Z SEULU

Trzy samobójstwa w tutejszym show-biznesie w niecałe dwa miesiące – to dużo nawet jak na Koreę Południową.

Kraj Spokojnego Poranka – jak nazywana jest Korea Południowa – od lat sytuuje się na pierwszym miejscu w rankingu samobójstw (czasem nieznacznie ustępując Litwie), prowadzonym przez Organizację Współpracy Gospodarczej i Rozwoju (OECD). Wedle badań za rok 2018 statystycznie samobójstwo popełniało tu codziennie 37 osób.

Eksperci podkreślają, że statystyka nie oddaje całej skali zjawiska i dane mogą być zaniżone. Samobójstwo jest silnie zakorzenione w tutejszej kulturze, czego dowodem znaczna liczba osób publicznych odbierających sobie życie. Od polityków, z byłym prezydentem Roh Moo-hyunem na czele, aż po gwiazdy popkultury.

Efekt Wertera

„*Everybody, watch out*" (Uważajcie, wszyscy) – to ostatni wpis Cha In-ha z Instagrama. 27-latek związany z grupą aktorską Surprise U został znaleziony martwy w swoim domu w grudniu 2019 r. Także 28-letnia Goo Hara tuż przed śmiercią zostawiła wpis na Instagramie, który jest teraz interpretowany jako pożegnalny. Piosenkarka napisała po prostu: „Dobranoc". Zabiła się w listopadzie, miesiąc po samobójstwie swojej koleżanki Sulli (25 lat) z zespołu f(x).

W dwóch ostatnich przypadkach policja potwierdziła, że przyczyną zgonu było samobójstwo. W przypadku Cha wstrzymano się z oficjalnym stanowiskiem. Rodzice poprosili, aby nie przeprowadzać autopsji. Jego śmierć jest o tyle tajemnicza, że kariera aktora wydawała się nabierać rozpędu.

Południowokoreańskie media rozpisywały się o „efekcie Wertera". Po tym, jak w 1774 r. Goethe opublikował „Cierpienia młodego Wertera", wielu młodych Niemców zabiło się, naśladując tragiczny koniec bohatera powieści. Także dziś samobójstwo kogoś znanego może pociągnąć za sobą śmierć innych. Szczególnie jeśli mówimy o osobach, które są wzorem dla młodych ludzi.

Nie można wykluczyć, że takie zjawisko występuje, ale w debacie publicznej wskazywano także na bezwzględny charakter pracy w przemyśle rozrywkowym w Korei. Z relacji osób w nim zatrudnionych wyłania się obraz totalnej kontroli, ignorującej emocje. Firmy kuszą młodych sławą, pieniędzmi i koncertami na całym świecie, ale w zamian biorą całe ich życie.

Ciemna strona k-popu

Harmonogram rozpisany jest co do godziny. „Twoje prywatne życie się kończy" – opowiadała Afroamerykanka Kiya kanałowi Asian Boss. Podpisała kontrakt z agencją w nadziei na karierę w świecie k-popu (jak określana jest jego koreańska odmiana), nie jest zresztą jedyną artystką z Ameryki, która chciała zaistnieć w Korei. Jednak nie wytrzymała. „Wszystko jest monitorowane. Z kim rozmawiasz, ↦

z kim się spotykasz (...). Nie możesz wyjść do pubu czy klubu. Nie mogłam się nawet z nikim spotkać na randkę" – wspomina.

Dojmująca samotność jest częstą przyczyną depresji koreańskich gwiazd. Kolejnym elementem jest nacisk na spełnianie wyidealizowanych wzorców piękności. Kiya usłyszała nie tylko, że ma zmienić kształt płaskiego nosa, ale również że jej czaszka ma dziwny kształt. Sugerowano jej operację plastyczną (branża ta jest w Korei jedną z najlepszych na świecie).

Jakby tego było mało, do krytyki wyglądu ze strony menadżerów dochodzi nieustający hejt w mediach społecznościowych. Już po śmierci Sulli okazało się, że dziewczyna wielokrotnie prosiła swoją agencję o pomoc w bronieniu się przed okrutnymi komentarzami na jej profilach. Próbowała sobie radzić, cytując je w telewizyjnym *show*.

Warto dodać, że gwiazdami zostają osoby w coraz młodszym wieku. Sulli debiutowała mając zaledwie 11 lat. Psychologowie ostrzegają, że nasilenie myśli samobójczych wśród młodych ludzi w ostatnich latach może być związane z bezlitosnym charakterem internetu. Tym bardziej dotyczy to osób publicznych, wystawionych na ciągłą krytykę. Z badań prowadzonych na potrzeby pracy magisterskiej przez aktorkę Park Jin-hee (znaną z serialu „Cienie w pałacu") wynika, że aż 40 proc. spośród 260 badanych aktorów rozważało w jakimś momencie swojego życia samobójstwo.

Ustawa Sulli

W grudniu 2019 r. grupa polityków rozpoczęła pracę nad „Ustawą Sulli", która ma ograniczyć przemoc w sieci. To nie pierwsza taka inicjatywa. Już w 2007 r. parlament przyjął ustawę, która nakazywała rejestrować się *online* za pomocą swojej prawdziwej tożsamości. Okazało się jednak, że jest to też sposób na kradzież danych dla różnej maści firm reklamowych. Prawo okazało się sprzeczne z konstytucją.

Jak poradzić sobie z tym coraz większym problemem? Koreańczycy obawiają się, że nowa inicjatywa skończy się cenzurą internetu – zresztą już kolejną w kadencji prezydenta Moon Jae-ina. W sieci pojawiła się też petycja, by agencje artystyczne objęły swoich podopiecznych obowiązkową opieką psychologiczną.

Obecna fala samobójstw nie jest pierwszą w historii koreańskiej popkultury.

Nasilenie myśli samobójczych wśród młodych ludzi w ostatnich latach może być związane z bezlitosnym charakterem internetu.

Jang Ja-yeon, znana z serialu „Boys Over Flowers", która powiesiła się w 2009 r., zostawiła list, w którym oskarżyła swego menadżera Kima Sung-hoo o regularne bicie i zmuszanie do prostytuowania się z szeregiem osób ze świata rozrywki. Wymieniła 31 osób, które miały ją wykorzystać. Jak dotąd jedynym skazanym w jej sprawie był jej menadżer: otrzymał karę... roku więzienia.

Wątek seksualny pojawia się też w przypadku Goo Hary, która w 2018 r. pozwała byłego chłopaka, gdy zagroził jej ujawnieniem nagrań z ich zbliżeń. Choć to ona była ofiarą, spotkała się z serią złośliwych komentarzy w sieci i upokorzeń; mogły przyczynić się do jej depresji. Dla koreańskich gwiazd, których każdy krok jest kontrolowany, życie seksualne pozostaje często ostatnią prywatną sferą. Trudno sobie wyobrazić, co czuje osoba szantażowana w taki sposób.

W koreańskiej perspektywie

Choć badania OECD pokazują, że Korea Południowa jest krajem, w którym w ostatnich latach odnotowano najwyższy wzrost samobójstw kobiet, to wciąż dwukrotnie częściej samobójstwo dotyczy mężczyzn. Najczęściej na tak radykalny krok decydują się osoby starsze. Do głównych powodów należą ucieczka od odpowiedzialności ekonomicznej, utrata biznesu lub chęć odciążenia bliskich. Największa fala samobójstw w historii Korei Południowej wystąpiła w obliczu kryzysu finansowego w 1997 r.

Samobójstwo nie zawsze postrzegane jest tutaj jako moralnie niewłaściwe. Może wzbudzać również podziw i współczucie. Może być też bronią. W takiej perspektywie jest wyrazem ostatecznego poświęcenia się dla sprawy lub grupy i przekleństwem dla wrogów. W tradycyjnych wierzeniach duch osoby, która popełnia samobójstwo, mści się na gnębicielach. Do dziś w pogrzebie samobójcy często uczestniczy koreański szaman: odprawia rytuał mający dać spokój duszy zmarłego.

Przez lata wojskowego reżimu (trwał do 1987 r.) samobójstwo było też postrzegane jako rodzaj obrony przed policyjną opresją – i często jedyna szansa dla związkowców i pracowników czeboli (koreańskich konglomeratów), by nagłośnić swoją sprawę i cierpienie. Samospalenie Jeon Tae-ila w 1970 r., w proteście przeciw fatalnym warunkom pracy, do dziś jest powszechnie pamiętane. Stojąc w płomieniach w centrum Seulu, 22-latek krzyczał: „My, robotnicy, też jesteśmy ludźmi!" oraz „Zagwarantujcie podstawowe prawa pracy!".

Samobójstwo jako polityczny protest pojawia się także dziś. Mężczyzna, który w czerwcu 2019 r. dokonał samospalenia przed ambasadą Japonii, traktowany jest jak bohater przez tych, którzy w Korei protestują przeciw polityce japońskiego premiera Abe.

Jednak policja przez lata wypracowała strategie zapobiegawcze. Pod okupowane budynki podkładane są materace, a na wyposażeniu służb zawsze są gaśnice. Gdy w 1997 r. starły się dwie szkoły buddyjskie, walczące o świątynny majątek, i gdy policja rozpoczęła szturm świątyni będącej siedzibą szkoły Jogyesa, dzięki odpowiedniemu przygotowaniu udało się zapobiec samobójstwu niejednego zdesperowanego mnicha.

Natomiast władze komunistycznej Korei Północnej, zdając sobie sprawę z politycznej siły takich gestów, rozwiązały problem w sposób totalitarny: samobójstwo jest tam traktowane jako zdrada ojczyzny, a do odpowiedzialności pociąga się całą rodzinę zmarłego. Uciekinierka z Północy Lee Hyeon-seo we wspomnieniach (wydanych w Polsce pt. „Dziewczyna o siedmiu imionach") opowiada, jak jej matka musiała wydać oszczędności na łapówkę dla władz szpitala, by zmieniły oficjalną przyczynę zgonu jej ojca z „samobójstwa" na „atak serca".

Śmiercią pokonaj śmierć

W ostatnich latach w Korei Południowej popularna stała się niecodzienna praktyka terapeutyczna, która ma zwalczać depresję i myśli samobójcze. Polega na... przeżyciu własnej śmierci. Na *hil-daing* (to połączenie parafraz angielskich słów „leczyć" i „umierać") składa się zrobienie

„pożegnalnego zdjęcia", napisanie testamentu, wysłuchanie wykładu (nierzadko z zabarwieniem buddyjskim) i zamknięcie się w trumnie.

Miejscem oferującym takie doświadczenie jest Hyowon Healing Center, ośrodek założony w 2012 r. przez firmę pogrzebową Hyowon Sangjo. Jego szef przekonuje, że dotknięcie śmierci przywraca radość życia. Zapisać może się każdy, serwis jest darmowy. Nad swoją śmiercią medytuje się w zamknięciu ok. 10 minut. W innym centrum, o nazwie Happy Dying (Szczęśliwe Umieranie), w trumnie spędza się pół godziny.

„Zmierzenie się ze śmiercią daje szansę na poprawę jakości życia i może być szansą na rozwiązanie takich problemów jak samobójstwo" – przekonywał na łamach dziennika „JoongAng Ilbo" profesor Oh Jin-tak z Hallym Institute of Life and Death Studies. Badania instytutu wskazały na znaczący wpływ metody dla łagodzenia lęków. Niektórzy uczestnicy uważali, że rytuał pomógł im przezwyciężyć myśli samobójcze.

Japońską drogą

Zwyczaj ten dotarł do Korei z Japonii, gdzie *seizenso* (żywy pogrzeb) stał się popularny w latach 90. zeszłego wieku. Japonia może być wzorem dla Korei, gdy idzie o zapobieganie problemowi samobójstw: w ciągu ostatnich 15 lat udało się zmniejszyć ich liczbę o 40 proc. Od stycznia do listopada 2019 r. zabiło się tam nieco ponad 19 tys. osób – wciąż niemało, ale dla Japonii to najniższa liczba od 1978 r. Bardziej jednak niż „żywe pogrzeby" na sukces wpłynęły skoordynowane działania rządu, uczelni i grup wsparcia. W Korei też są potrzebne zmiany na poziomie instytucjonalnym.

Coraz więcej mówi się o reformie w k-popowym przemyśle: bardziej ludzkich warunkach pracy i obecności psychologów. Na fali ruchu #MeToo rząd obiecuje też większą skrupulatność w monitorowaniu przestępstw seksualnych. Nie będzie to jednak łatwy proces, biorąc pod uwagę zawrotną konkurencyjność i ogromne pieniądze, jakie można tu zarobić.

Jednak przykład Japonii pokazuje, że zmiana jest możliwa. I że gdy w grę wchodzi ludzkie życie, warto podjąć takie wysiłki. © ROMAN HUSARSKI

JAKUB MEJER

Działacze organizacji Forum Civil: m.in. politolog Michel Diallo (w koszuli w kratę) i Abel Kaber Fall (w czarnej koszuli), Saint Louis, Senegal, 2019 r.

Barca albo śmierć

JAKUB MEJER Z LOUGI, DAKARU I SAINT LOUIS (SENEGAL)

Senegal to jedno z najstabilniejszych państw Afryki Zachodniej. Jednak nie zatrzymuje to jego młodych mieszkańców, którzy decydują się na ryzykowną podróż do Europy.

Dwa lata temu świat 27-letniej Danieli zmienił się całkowicie. Daniela poślubiła Karima, starszego o 15 lat. Mężczyznę poznała poprzez wspólnych znajomych, wcześniej widziała go zaledwie raz. Zresztą pan młody nie był nawet obecny na ich ślubie – islam dopuszcza taką możliwość – gdyż od 2003 r. jest w Hiszpanii, i w Senegalu bywa rzadko.

Rodzina na odległość

Po ceremonii ślubnej Daniela zrezygnowała z pracy kasjerki w barze w Dakarze, stolicy Senegalu; wyprowadziła się też z domu rodzinnego. Zamieszkała w domu starszego brata swego męża w stutysięcznym mieście Louga na skraju Sahary, 170 km na północ od Dakaru. W tym mieście nie ma restauracji, w których mogłaby pracować.

Od ślubu nowożeńcy nie widzieli się ani razu. – To nie jest normalne, czuję się samotna. Chciałabym to zmienić – mówi Daniela. Już dwa lata temu zaczęła starania o wizę, aby dołączyć do męża, który pracuje w sklepie w Barcelonie i w odróżnieniu od wielu rodaków w Unii jest legalnie. Na razie bezskutecznie.

Dom, w którym mieszka, nie jest wykończony, ale widać nowobogacki przepych. Na podłogach marmur, ściany ozdabiają styropianowe gzymsy z antycznymi ornamentami. W pokoju gościnnym są solidne drewniane meble (w mieście, w którym prawie nie ma drzew), skórzane fotele i kanapa, a na podłodze sztuczne futro. W Loudze są całe dzielnice domów takich jak ten. Duże wille, z fasadami w mniejszym lub większym stopniu wyglądającymi jak kiczowate pałacyki. W większości są niezamieszkałe albo urzęduje w nich rodzina właściciela, który mieszka w Europie. Obok budują się kolejne, podobne.

Wzorowa demokracja Afryki

Jak wynika z analizy Parlamentu Europejskiego, aż 2,5 proc. mieszkańców niespełna 16-milionowego Senegalu mieszka w Unii Europejskiej, a pieniądze, które przysyłają do domów (wraz z migrantami mieszkającymi w innych regionach świata) stanowią 10 proc. PKB tego kraju. ↦

W 2016 r. Senegal był na dziesiątym miejscu na liście państw, z których najczęściej pochodziły osoby nielegalnie pokonujące Morze Śródziemne w drodze na Stary Kontynent. W pierwszych trzech kwartałach 2019 r. Senegalczycy, według danych ONZ, stanowili 7,5 proc. migrantów docierających do Europy tzw. zachodnią drogą (z Maroka i Algierii do Hiszpanii). Do tego Senegal był jednym z niewielu państw wykazujących tendencję wzrostową w liczbie migrantów.

A to wszystko w państwie, które ma wizerunek jednej z wzorowych demokracji Afryki – jako jedno z niewielu w regionie nigdy nie doznało puczu, a w jego stolicy siedziby ma wiele międzynarodowych koncernów i organizacji.

Kwestia (także) tradycji

– W Senegalu próba wyemigrowania do Europy jest uznawana za swego rodzaju „rytuał przejścia" młodych mężczyzn w dorosłość – mówi Jessamy Garver-Affeldt, specjalistka ds. migracji w Mixed Migration Centre.

Pierwsi migranci ruszyli stąd do Europy niedługo po uzyskaniu niepodległości w 1960 r. Starszyzna wsi w dolinie rzeki Senegal wybierała mężczyzn, którzy bez rodzin jechali do Francji, aby tam pracować w fabrykach samochodów. Gdy wracali, zastępowali ich młodsi z tej samej społeczności. Kryzys ekonomiczny połowy lat 70. XX w. wymusił na dawnej metropolii kolonialnej zaostrzenie prawa migracyjnego i ukrócił ten proces.

Zresztą w tym czasie to Senegal przyciągał imigrantów zarobkowych z innych miejsc Afryki, kuszonych przez rozwijający się stołeczny Dakar. Jednak spowolnienie w latach 80. zastopowało ten proces. – Dziś migrantów przyciągają w tym regionie raczej duże miasta na Wybrzeżu Kości Słoniowej i w Nigerii, jak Lagos i Abidżan. Także Ghana jest popularna – mówi Johannes Claes z Mixed Migration Centre.

W latach 90. nowym kierunkiem migracji stały się Włochy, głównie jednak Hiszpania, której rozwijająca się gospodarka potrzebowała rąk do pracy w szarej strefie. To do dziś najpopularniejszy kierunek migracji Senegalczyków. Znajdują tam zatrudnienie np. w tzw. morzu plastiku, czyli ogromnych szklarniach na południu kraju.

– Oceany stają się cmentarzami imigrantów, ale ludzie i tak wyruszają. Są zdesperowani. Młodzi mają tu swoje powiedzenie: „*Barsa wala Barsakh*", co w języku wolof znaczy „Barcelona albo śmierć" – mówi Aïssatou Diallo, koordynatorka w organizacji pozarządowej Concept.

Powiedzenie „Barcelona albo śmierć" rozsławił we Francji Stephen Smith w książce „La ruée vers l'Europe" („Pęd do Europy"). Esej Smitha – byłego korespondenta francuskich mediów w Afryce, obecnie wykładowcy akademickiego – ostrzega przed inwazją młodych mężczyzn z Afryki Zachodniej. Był cytowany zarówno przez Emmanuela Macrona, jak i Marine Le Pen.

W Senegalu ma się jednak wrażenie, że jest ono bardziej rozdmuchane przez media, niż że funkcjonuje naprawdę w przestrzeni publicznej – choć trudno odmówić mu prawdziwości. W badaniu prowadzonym przez niemiecki Instytut Ekonomiki Pracy 77 proc. potencjalnych emigrantów z Senegalu deklarowało, że jest gotowych ryzykować śmiercią, byle dotrzeć do Europy (40 proc. z nich uważało, że prawdopodobieństwo, iż zginą, jest wyższe niż 50 proc.).

Dramatyczny rok 2006

O tym, jak niebezpieczna może być podróż do Europy, Senegalczycy przekonali się już kilkanaście lat temu.

– W 2005 r. ludzie stracili nadzieję, jaką wiązali z nowym prezydentem. Nie było też ryb, a ceny podstawowych produktów bardzo wzrosły – mówi Michel Diallo, politolog z Uniwersytetu Gaston Berger w Saint Louis. W 2006 r. tylko do wybrzeży Wysp Kanaryjskich dotarło 30 tys. migrantów z Afryki Zachodniej. Połowa z nich pochodziła z Senegalu. W wodach Atlantyku życie straciło wtedy 7 tys. ludzi; co siódmy z nich był z Senegalu.

Niewiele brakowało, a dołączyłby do nich Tafar i 88 ludzi, którzy płynęli wraz z nim na pirodze. Tafar twierdzi, że po siedmiu dniach podróży, gdy byli już prawie u brzegów Hiszpanii, złapał ich sztorm. Postanowili zawrócić.

Dotrzeć do Europy nie udało się też Abou, przyjacielowi Tafara, który wypłynął niedługo później na innej łodzi. – Zdecydowaliśmy się na migrację z powodów ekonomicznych. Tu nie dało się żyć. Nie było pracy, a ludzie, którzy wrócili z Europy, zachwalali ją – mówi Abou, który próbował wyjechać w wieku 40 lat, zostawiając w Saint Louis żonę i dwoje dzieci.

Potem już nie próbowali, bo jeden z kolegów, który wyruszył w tym samym czasie, do dziś się nie odzywa – mężczyźni są przekonani, że się utopił.

Dużo lepiej na tym procederze wychodzili szmuglerzy. – Kupowałeś pirogę za 10 mln franków. Dwa silniki, każdy po dwa miliony. Pięć worków ryżu, olej, cukier, wodę, węgiel. W sumie wychodziło maksymalnie 30 mln. Ludzie za podróż płacili milion, niektórzy pół miliona. Jak płynęło 100 osób, trudno było nie zarobić – mówi Moussa Dieng, działacz społeczny z Saint Louis [walutą Senegalu i innych krajów Zachodnioafrykańskiej Unii Ekonomicznej i Monetarnej, UEMOA, jest frank CFA; jeden złoty to dziś ok. 150 franków CFA – red.].

Szacunki te potwierdza Moussa Diaye, który w 2006 r. wysłał trzy, może cztery łodzie z migrantami (na każdej 100 ludzi) do Hiszpanii. – Jedna z tych osób dwa dni temu dała mi to w nagrodę – mówi, pokazując na ręce duży nowy zegarek. U niego płaciło się 500 tys. franków CFA. Twierdzi, że na jego łodziach byli mechanik i ratownik medyczny.

Biznes skończył się, gdy w 2007 r. Hiszpania zwiększyła częstotliwość patroli na oceanie i zintensyfikowała współpracę z senegalskimi służbami. Diaye został złapany i przesiedział pół roku w więzieniu. – Od siedmiu lat raczej nikt tak nie pływa – mówi.

Co może zrobić Europa

– Po morzu pływa „Guardiola". Łapie ludzi, którzy chcą dostać się do Europy i przekazuje żandarmerii – mówi Tafar.

Mężczyźnie chodzi o hiszpański okręt patrolowy, która pływa w okolicy wybrzeży Senegalu. W istocie nazywa się inaczej. Ale ponieważ na burcie ma nazwę jednostki „Guardia Civil", Tafarowi myli się to z nazwiskiem byłego trenera FC Barcelony. W kraju, który mocno żyje futbolem (wygrana Senegalu z Francją w 2002 r. podobno była jednym z największych świąt w historii kraju), można to wybaczyć.

Obecnie większość emigrantów z Senegalu wybiera tzw. zachodnią drogę śródziemnomorską. – Z naszych danych wynika, że Senegalczycy są bardziej skłonni migrować do Europy niż do innych afrykańskich państw – mówi Johannes Claes, wyjaśniając, że większość migracji w Afryce Zachodniej odbywa się wewnątrz regionu.

JAKUB MEJER

Na senegalskim wybrzeżu Atlantyku, Saint Louis, 2019 r.

– Mogą na to wpływać czynniki historyczne, duża diaspora senegalska w Europie. Ale pewnie o powodach tego stanu rzeczy można napisać kilka doktoratów i będą się one różnić. Stawianie konkretnych tez to chodzenie po kruchym lodzie – dodaje Claes.

Według Międzynarodowej Organizacji ds. Migracji do Europy wyrusza nieco ponad połowa spośród tych Senegalczyków, którzy opuszczają ojczyznę. Wywodzą się zwykle z rolników i rybaków. To głównie mężczyźni (średnio w wieku 31 lat); 36 proc. z nich ukończyło szkołę podstawową, a 31 proc. szkołę koraniczną. Ponad połowa jest żonata. W Senegalu zarabiali średnio 50–150 tys. franków CFA miesięcznie (równowartość 330–1000 zł).

– Na farmach w dolinie rzeki Senegal brakuje już rąk do pracy. Ale tam są bardzo niskie pensje. Migracja dotyczy głównie młodych, wśród nich jest duże bezrobocie, brakuje perspektyw, nie mają dostępu do edukacji zawodowej i wyższej – mówi Abel Kaber Fall, aktywista organizacji pozarządowej Forum Civil (lokalnego oddziału Transparency International).

– Jak nie ma ryb, to rybacy wyruszają do Europy. Senegal słynie z łowisk, ale korzystają z nich statki z Rosji, Chin, Portugalii, Hiszpanii i w efekcie nic nie zostaje dla lokalnych rybaków – uważa politolog Michel Diallo.

Unia Europejska stara się wspomagać władze Senegalu – tylko w latach 2014-17 Senegal otrzymał od Wspólnoty 1,3 mld euro. Część tych pieniędzy przeznaczana jest na walkę z migracją – np. na program EU Emergency Trust Fund for Africa, w ramach którego dziewięć projektów otrzymało łącznie 162 mln euro.

Efekty, zdaniem lokalnych aktywistów, są mizerne. – Projekty finansowane przez Bank Światowy i Unię Europejską są bardzo spolityzowane – uważa Michel Diallo. – Pieniądze nie idą bezpośrednio do młodych. Te fundusze są przekazywane np. na finansowanie akcji politycznych. Rząd Senegalu stworzył dwie-trzy agencje, które mają rozdzielać środki, ale one nie działają dobrze.

– Jeśli Europa nie chce emigracji, powinna zbudować w Senegalu fabryki. Transfer technologii byłby dobrym rozwiązaniem – dodaje Diallo.

Sukcesy zachęcają

Do emigracji mobilizują też historie sukcesów, którymi w mediach społecznościowych albo po powrocie do domu z Europy chwalą się ci, którym się powiodło.

– Słyszy się tylko o tych, którym się udało. Ci, którym się nie powiodło, siedzą cicho – mówi Diallo.

Louga to typowe miasto w Senegalu, z którego się wyjeżdża. Tradycyjnie ta okolica utrzymuje się z rolnictwa. Ale pustynnienie regionu utrudnia uprawę orzeszków ziemnych, narodowego warzywa tego kraju [mimo nazwy, jest to roślina motylkowa, a „orzechy" to strąki nasion rosnących w ziemi – red.].

Cheikh Mbacke Diop opuścił Lougę w 1993 r., w wieku 22 lat. – Zapłaciłem pośrednikowi 500 tys franków za wizę turystyczną – wspomina. – Kiedyś było łatwiej, można było polecieć na czyimś paszporcie, w Europie pogranicznicy nie odróżniają czarnych twarzy. Teraz tak się nie da, bo wszystko jest cyfrowe.

Diop opowiada, że w Europie zarabiał, wciskając turystom bransoletki z Chin. Najpierw przez kilka miesięcy mieszkał we włoskiej Rawennie, następnie przez ponad trzy lata w Paryżu. Żyjąc, jak mówi, „w dobrych warunkach" (czyli nawet w 10 osób w pokoju), był w stanie zaoszczędzić równowartość od 300 do 500 tys. franków CFA miesięcznie. Wrócił, gdy narobił sobie problemów z dokumentami. – Jakbym miał papiery, tobym został – mówi.

W Loudze otworzył wraz ze wspólnikiem warsztat stolarski; produkują drzwi i meble. Zatrudnia od 30 do 40 osób, ożenił się, zbudował dom. Twierdzi, że zarabia na warsztacie mniej więcej tyle samo, co z naciągania turystów w Europie.

– Bardzo trudno byłoby mi mówić komuś: „Nie jedź, to nie jest dobry pomysł, żeby jechać". Bo oni odpowiedzą: „Ty pojechałeś, udało ci się" – mówi.

Niedawno w kierunku Europy udało się trzech jego pracowników.

© JAKUB MEJER

Autor jest dziennikarzem Polsat News.

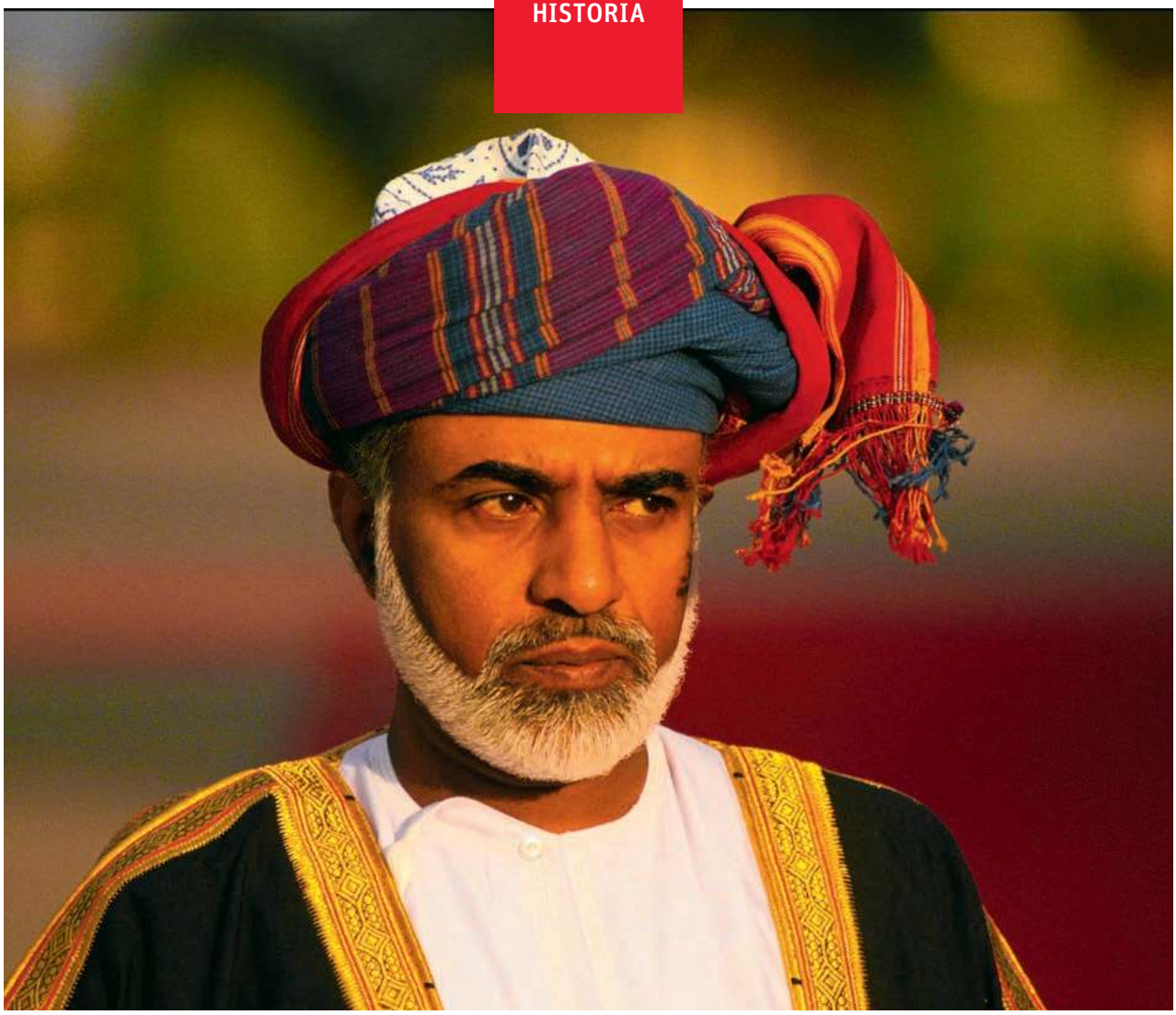

PETER KURZ / GETTY IMAGES

Sułtan Kabus ibn Sa'id (1940–2020)

DOBRY SUŁTAN Z MUSKATU

Na Bliskim Wschodzie, gdzie wojny nie cichną, Oman jest od lat oazą spokoju. Jego przywódca, zmarły niedawno sułtan Kabus, cierpliwie godził zwaśnionych i służył mądrą radą.

WOJCIECH JAGIELSKI

Pytany o polityczną dewizę, Kabus mawiał: „Być dla wszystkich przyjacielem i nikomu wrogiem". Także jego ojciec, sułtan Sa'id ibn Tajmur (1932-70), nie toczył pochopnych wojen. Ale i nie zabiegał o niczyją przyjaźń, a ocalenie Omanu przed silniejszymi sąsiadami i zaborczymi mocarstwami widział w całkowitej izolacji. Uważał, że skoro nie jest się dość silnym, by stawić czoło światu, najlepiej się przed światem zamknąć.

Przypominał pod tym względem dawnych afgańskich emirów, którzy też sądzili, że jedynie dzięki izolacji uratują swoje państwo przed imperialnymi zakusami Rosji i Wielkiej Brytanii (podejrzliwy emir Abdurrahman nie pozwolił nawet Brytyjczykom ciągnąć do Kabulu kolei żelaznej – do dziś Afganistan jest jednym z niewielu krajów świata pozbawionych kolei).

Zacofana bajkowa kraina

Za panowania Sa'ida Oman przypominał krainę z baśni o Sindbadzie Żeglarzu. Ulepione z gliny wioski, zielone pióropusze palm nad piaszczystymi brzegami, obmywanymi przez granatowe wody mórz i oceanu, kołyszące się na falach drewniane żaglowce *dhow*...

Jedno z najstarszych państw arabskich – położone na skrzyżowaniu morskich szlaków handlowych z Azji na Bliski Wschód i do Afryki – wyrosło na handlu. Już przed wiekami kupcy przybywali tu po kadzidło, cenniejsze od złota. W czasach rozkwitu omańscy sułtani władali południem Półwyspu Arabskiego, wybrzeżem dzisiejszego Pakistanu, a nawet wschodnią Afryką aż po Zanzibar.

Ale za rządów Sa'ida czasy te należały do przeszłości. Żeglarze z Muskatu, stolicy Omanu, nie mieli szans z parowcami Brytyjczyków, a Oman stoczył się do pozycji państwa rozpaczliwie zacofanego. W kraju wielkości Polski i niemal bezludnym, bo ledwie półmilionowym, wciąż uprawiano zakazany gdzie indziej proceder niewolnictwa, działały trzy szkoły (wyłącznie dla chłopców) i jeden szpital, a asfalt pokrywał tylko 10 km dróg. Większość mieszkańców nie potrafiła składać liter, klepała biedę i nie dożywała czterdziestki.

Chorobliwie zazdrosny o swą władzę, sułtan Sa'id uważał, że ma prawo wtrącać się we wszystkie sprawy poddanych: rozstrzygać, kto kogo poślubi, jakie zdobędzie wykształcenie, pojedzie za granicę. Sam nie wyjeżdżał nigdzie i widział zagrożenie oraz grzech we wszystkim, co obce i nowe. Nie pozwalał poddanym słuchać muzyki ani radia, ani też nosić (jak cudzoziemcy) przeciwsłonecznych okularów czy parasoli. Nie ufał nawet elektryczności: ulice Muskatu oświetlane były nocą przez latarnie i pochodnie, rozwieszane na słupach.

Skąpił na modernizację kraju nawet wtedy, gdy Brytyjczycy znaleźli na omańskiej pustyni ropę – „czarne złoto", które z Półwyspu Arabskiego uczynić miało Eldorado. Jednak sułtan nie kwapił się z jego wydobyciem, z czym Brytyjczycy nie mogli się pogodzić.

Kabus, syn Sa'ida

Swojego jedynego syna sułtan posłał jednak na naukę: najpierw do Indii, a potem do sławnej brytyjskiej akademii wojennej w Sandhurst. Chciał porządnie przygotować Kabusa do roli następcy, dziedzica dynastii Busa'idich, od połowy XVIII w. władających Omanem, Muskatem i Zanzibarem.

Kabus (rocznik 1940) ukończył naukę, odsłużył pół roku w brytyjskiej armii w Niemczech (w stopniu podporucznika) i odbył trzymiesięczną podróż dookoła świata (pod opieką brytyjskiego majora). Jednak gdy wrócił do domu, na polecenie ojca, ten nie powierzył mu żadnego stanowiska na dworze, lecz osadził w domowym areszcie w Salalah, w rodzinnej prowincji Zufar. Kabus znów został zamknięty w pałacu, w którym się wychował i dorastał – wtedy samotnie, bez przyjaciół (nie mógł ich mieć) i bez nieobecnego ojca. Teraz, już dorosły, spędził tak pod kluczem kolejnych pięć lat. O tym, co się dzieje w świecie – i w jego własnym kraju – dowiadywał się z listów, przemycanych w książkach i nagranych na kasetach z muzyką, które przysyłali mu przyjaciele z Wielkiej Brytanii.

Tymczasem w Omanie działo się źle. Sułtan popadał w paranoję, a jego poddanym, których liczba wzrosła do prawie miliona, żyło się coraz biedniej. Aż w końcu w Zufarze miejscowi plemieńcy podnieśli zbrojną rebelię. Buntowników wspierał sąsiedni Jemen Południowy – jedyny kraj na Półwyspie Arabskim, w którym rządzili komuniści (popierani przez Moskwę). Nad Omanem zawisła groźba wojny domowej, rozpadu oraz tego, że komuniści sięgną po Muskat. Brytyjczycy nie zamierzali dopuścić, by po Iranie – gdzie w 1951 r. tamtejszy premier Mohammed Mossadegh znacjonalizował należące do nich pola naftowe (został za to dwa lata później obalony, ale Brytyjczyków wyręczyli już w tym Amerykanie z CIA) – podobna przykrość miała ich spotkać w Omanie.

To Brytyjczycy namówili Kabusa, by dla dobra kraju odebrał władzę ojcu. Dzięki ich poparciu w lipcu 1970 r. w Muskacie doszło do pałacowego przewrotu: stary sułtan został zmuszony do złożenia władzy i udania się na wygnanie do Wielkiej Brytanii, a na tronie zasiadł niespełna 30-letni Kabus. Obiecał rodakom, że wreszcie nastaną lepsze czasy.

Reformy nowego sułtana

Nowy sułtan pozwolił zachodnim nafciarzom pompować ropę, a petrodolarowych zysków nie chował w skarbcu – budował za nie drogi, stacje odsalania wody morskiej, szpitale i szkoły. Po latach obliczono, że gospodarka Omanu, jako jedyna na całym Bliskim Wschodzie, przez ćwierć wieku co roku notowała blisko 10-procentowy wzrost; ONZ orzekła, że w ostatnim półwieczu mało było państw, które rozwinęły się tak jak Oman.

Kabus zakazał niewolnictwa, a w szkołach nakazał uczyć angielskiego i informatyki, zezwolił też na satelitarną telewizję i internet. Dziś niemal wszyscy mieszkańcy Omanu umieją czytać i pisać – i żyją dwukrotnie dłużej. Sam miłośnik muzyki klasycznej (grał na lutni i organach, komponował), Kabus kazał też zbudować w Muskacie operę i filharmonię, a także stworzyć rodzimą orkiestrę symfoniczną, która w niej występowała. Podczas gdy szejkowie znad Zatoki Perskiej licytowali się w budowaniu drapaczy chmur, on zabronił wznosić wieżowce – uznał, że nie pasują do miejscowej architektury i paskudnie ją psują.

Na Bliskim Wschodzie, wstrząsanym konfliktami i religijnym fanatyzmem, Oman pod rządami Kabusa stał się oazą spokoju. Rebelię w Zufarze stłumił z pomocą Brytyjczyków, a także wojsk przysłanych mu przez szacha Iranu i króla Jordanii. Inne kraje arabskie odmówiły pomocy, a potem jeszcze krzywiły się, że młody sułtan wciągnął Persów w sprawy Arabów. Kabus dobrze to sobie zapamiętał.

Do kolejnych buntów już nie doszło. Utrzymać pokój było tym łatwiej, że – w przeciwieństwie do wielu innych arabskich krajów – Oman wolny jest od wyznaniowych sporów między muzułmanami. Jest bowiem jedną z ostatnich twierdz charydżytów – egalitarystów i fundamentalistów, odrzucających zarówno sunnicką, jak też szyicką odmianę islamu. Sułtanowi, wiernemu plemiennej tradycji narad i uzgadniania wszystkiego ze wszystkimi, udało się też pogodzić poddanych z pobożnego pustynnego interioru oraz kosmopolitycznego portowego wybrzeża.

Cała władza w ręce Kabusa

Najpierw rządził do spółki ze stryjem Tarikiem (ściągnął go z wygnania, na które ten udał się ze strachu przed bratem, tj. ojcem Kabusa). Jednak wspólne władanie skończyło się po roku: sułtan zwolnił stryja i sam objął stanowisko premiera. A także ministra wojny, dyplomacji ↦

↦ i skarbu, dowódcy armii i prezesa banku centralnego.

Sułtan, tak postępowy w sprawach gospodarki, okazał się wstrzemięźliwszy, gdy szło o władzę. Nie zezwolił na zakładanie partii, zwoływanie ulicznych demonstracji ani w ogóle krytykę swoich rządów. Poddanym podarował konstytucję i dwuizbowy parlament. Posłów wybierają wszyscy, a więc także kobiety. Senatorów sułtan wyznaczał osobiście. Jednak parlament nie mógł decydować – miał tylko prawo formułowania głosu doradczego.

W 2011 r., gdy przez Bliski Wschód i Afrykę Północną zaczęła przetaczać się rewolucyjna Arabska Wiosna, także w Omanie doszło do antyrządowych wystąpień – jedynych za rządów Kabusa od czasu buntu w Zufarze. Ludzie wyszli na ulice, żądając ukarania skorumpowanych urzędników, podwyżek i przede wszystkim pracy. Nikt jednak nie domagał się odejścia władcy – jak w Tunezji, Libii, Egipcie, Jemenie, Bahrajnie czy Syrii.

Kabus zareagował: wyrzucił najbardziej nielubianych ministrów, a pozostałym na stanowiskach kazał stworzyć niezwłocznie 50 tys. nowych miejsc pracy w sektorze publicznym, podwyższyć wszystkim poddanym płace, a tym, którzy pracy nie mają, wypłacać zapomogi. Musiał sięgnąć do pieniędzy trzymanych na czarną godzinę. Ale zadowoleni demonstranci się rozeszli – i rewolucja na tym się skończyła.

Bliskowschodnia Szwajcaria

Elastyczny w zarządzaniu kryzysowym, Kabus okazał się też wybitnym dyplomatą. Skończył z izolacją: Oman przystąpił do ONZ, Ligi Państw Arabskich, Rady Współpracy Zatoki Perskiej. Nie przystąpił za to do OPEC, organizacji naftowych potęg, które skrzyknęły się, by kontrolować ceny ropy – sułtan nie chciał, by inni cokolwiek mu narzucali.

Nie szukając wojny z nikim, za to zabiegając o przyjaźń z wszystkimi sprawił, że Oman stał się bliskowschodnią Szwajcarią: krajem neutralnym, chętnie udzielającym dyskretnej gościny tym, którzy woleli unikać jawnych spotkań, i podejmującym się roli pośrednika w kontaktach między tymi, którzy oficjalnie nie chcieli ze sobą rozmawiać.

Nie zapomniał o Brytyjczykach, swych dobrodziejach. Ale gdy zostali wyparci z Bliskiego Wschodu przez ich zaborczych sojuszników, Amerykanów, Kabus zaczął zabiegać o przyjaźń USA. Jednocześnie utrzymywał stosunki ze Związkiem Sowieckim i Chinami. Dalej: choć irański szach był głównym sojusznikiem Kabusa, to gdy został obalony przez islamską rewolucję, sułtan zaprzyjaźnił się z nowymi władcami Iranu – chociaż bracia Arabowie mieli mu to za złe. A ajatollahowie nie zerwali z nim nawet wtedy, gdy w 1980 r. pozwolił amerykańskim śmigłowcom wystartować z Omanu do – fatalnie nieudanej – operacji odbicia zakładników, więzionych w ambasadzie USA w Teheranie. Z kolei w latach 80. XX w., gdy Iran toczył wojnę z Irakiem Saddama Husajna (wspieranym wtedy przez Zachód), Oman utrzymywał kontakty i z Teheranem, i z Bagdadem. Udzielił też gościny Amerykanom, gdy dwukrotnie dokonywali zbrojnych inwazji na Irak.

> Nowy sułtan będzie musiał zgiąć kark przed arabskimi sąsiadami **albo przekonać poddanych, by zacisnęli pasa.**

Jako jeden z nielicznych arabskich krajów, Oman nie zerwał stosunków z Egiptem, gdy ten w 1979 r. podpisał układ pokojowy z Izraelem. Co więcej, Kabus gościł w Muskacie premierów Icchaka Rabina i Szymona Peresa, a dwa lata temu Benjamina Netanjahu. Na kilka dni przed jego wizytą stolicę Omanu odwiedził palestyński prezydent Mahmud Abbas.

Oman nie zerwał też z Syrią, gdy w kraju wybuchła wojna, a większość przywódców arabskich uznała prezydenta Assada za zbrodniarza wojennego. Sąsiadów z półwyspu – zwłaszcza Arabię Saudyjską, uzurpującą sobie rolę regionalnego żandarma – Kabus rozsierdził jednak najbardziej, odmawiając udziału w organizowanych przez nią wyprawach wojennych do Bahrajnu (2011) i Jemenu (od 2015 r. do dziś), a także w blokadzie lądowej i morskiej Kataru (2016).

Żeby zabezpieczyć się przed gniewem Saudów, Kabus dbał o wojskowe przymierze z Wielką Brytanią, a zwłaszcza ze Stanami, którym wydzierżawił na bazy porty w Dukm i Salalah. Wyświadczał też Amerykanom przysługi, gdy chcieli się w jakiejś sprawie dogadać z irańskimi ajatollahami – czy to wykupienia obywateli USA trzymanych pod zarzutem szpiegostwa, czy sekretnych negocjacji, które w 2015 r. zaowocowały słynną umową,

Port w Muskacie, stolicy Omanu, 1957 r.

GETTY IMAGES

zgodnie z którą Iran miał zrezygnować z prac nad bombą atomową.

Świat bez Kabusa

Panował prawie pół wieku. Umarł 10 stycznia, nie zostawiwszy dziedzica – gdy jego bezdzietne małżeństwo z przyrodnią siostrą Nawwal po trzech latach skończyło się rozwodem, ponownie już się nie ożenił. Kabus ibn Sa'id żył w samotności, wśród ukochanych książek i muzyki.

Zgodnie z ustanowionym przez niego prawem nowego sułtana miała wybrać jego rodzina – w ciągu trzech dni po jego śmierci. Gdyby zaś to się jej nie udało, wówczas wyznaczona przez Kabusa rada miała otworzyć zapieczętowaną kopertę z listem, w którym jeszcze za życia wskazał następcę. Rodzina zrezygnowała z prawa wyboru i nazajutrz po pogrzebie poprosiła o otwarcie koperty. W ten sposób, z woli zmarłego, nowym sułtanem został jego 65-letni stryjeczny brat Hajsam ibn Tarik.

Nie będzie miał lekkiego życia. Poddani, których liczba wzrosła do ponad 4 milionów, będą porównywać go z poprzednikiem – jedynym władcą, jakiego większość z nich znała (połowa mieszkańców to ludzie poniżej 25. roku życia). Tymczasem Hajsam nie będzie mógł sobie pozwolić na szczodrobliwość, z jakiej słynął Kabus: z powodu spadku cen zmniejszyły się zyski z ropy, wciąż niemal jedynego źródła dochodów Omanu. Gospodarka już zwolniła. Okazuje się też, że Kabus spustoszył skarbiec wydatkami na podwyżki i zapomogi (nie chciał pożyczać od sąsiadów, słusznie bojąc się, że Saudowie i szejkowie z Dubaju czy Abu Zabi będą chcieli w zamian dyktować mu, jak ma rządzić). Hajsam będzie więc musiał zgiąć kark przed sąsiadami – albo przekonać poddanych, by zacisnęli pasa.

Mieszkańcy Omanu podobno mają nadzieję, że dobry sułtan wiedział, co robi, i wybrał na następcę odpowiedniego kandydata. Zachodni ambasadorowie z Muskatu twierdzą, że Hajsam to człowiek rozważny i skryty – uważnie słucha, a niewiele mówi. Omańczykom pozostaje wiara, że sprawdzi się saudyjskie przysłowie, iż ci, którym gęba się nie zamyka, nie mają pojęcia, o czym mówią. I że ci, którzy znają się na rzeczy, nie gadają po próżnicy.

© WOJCIECH JAGIELSKI

Misja Jana Sehna

Zapomniany sędzia śledczy, przez prawie całe zawodowe życie związany ze ściganiem nazistowskich zbrodniarzy, doczekał się wreszcie biografii. Znakomitej.

Jej autorem jest były dziennikarz, a obecnie pracownik IPN Filip Gańczak, wcześniej autor m.in. obszernej monografii „Filmowcy w matni bezpieki". To zacięcie reporterskie i doświadczenie dziennikarskie widoczne jest zresztą od pierwszych stron biografii Sehna. Opowieść zaczyna się w jego gabinecie, w krakowskim Instytucie Ekspertyz Sądowych, któremu przez wiele lat szefował. Jesteśmy świadkami rozmowy Sehna z dziennikarzem. Jak się wkrótce okaże, ostatniej przed śmiercią sędziego śledczego. Jej tematem jest w dużej mierze Auschwitz-Birkenau i pierwsze polskie dochodzenie w sprawie popełnionych tam masowych zbrodni.

Sehn tłumaczy dziennikarzowi, Leopoldowi Marschakowi, jak ważne było to śledztwo. Podkreśla wagę zebranych przed laty dowodów. Nie wspomina, przynajmniej oficjalnie, że na przeszkodzie w zebraniu wszystkich materialnych świadectw przestępstw, popełnionych na terenie tego obozu, stali Sowieci, którzy od stycznia 1945 r. administrowali rozległym terenem Auschwitz-Birkenau i wywozili stamtąd dokumenty. To, co jednak udało się Sehnowi zebrać – szkice, zdjęcia i (mimo wszystko właśnie!) dokumenty – uzupełniali w swoich obszernych wyjaśnieniach niemieccy „pracownicy" fabryki śmierci, a w zeznaniach – więźniowie, którzy przeżyli.

To wystarczyło, by przed sądem odpowiedzieli za swoje zbrodnie m.in. Rudolf Höss – komendant KL Auschwitz-Birkeanu (skazany na śmierć 2 kwietnia 1947 r. i powieszony na terenie byłego obozu dwa tygodnie później) oraz część załogi w tzw. pierwszym procesie oświęcimskim, odbywającym się przed krakowskim Najwyższym Trybunałem Narodowym na przełomie listopada i grudnia 1947 r. Zapadły w nim 23 wyroki śmierci. Wykonano 21 z nich, w styczniu 1948 r., na dziedzińcu krakowskiego więzienia przy ulicy Montelupich.

W kolejnych rozdziałach Gańczak opisuje z pasją dokumentalisty i reportera koleje losów profesora Sehna – w tym obronę jego klasycznego już doktoratu (1949 r.) na Uniwersytecie Jagiellońskim, poświęconego oględzinom w kryminalistyce; trudne (zwłaszcza w czasach stalinowskich) dyrektorowanie krakowskiemu Instytutowi Ekspertyz Sądowych; pomoc, jakiej Sehn udzielił w ukryciu przed komunistycznymi władzami tzw. Archiwum Robla (zawierającego wyniki badań dowodów zbrodni wydobytych z masowych grobów polskich oficerów w Katyniu na zlecenie Międzynarodowego Czerwonego Krzyża) czy wreszcie tajemnicę nagłej śmierci Sehna w Niemczech zachodnich, w trakcie trwania – przed sądem we Frankfurcie nad Menem – tzw. drugiego procesu załogi KL Auschwitz-Birkenau w grudniu 1965 r.

Ważna książka. Nie tylko dla badaczy zajmujących się funkcjonowaniem KL Auschwitz-Birkenau. Także dla świadectwa o historii, którą przywódca Rosji usiłuje dziś pisać na nowo.

© PIOTR LITKA

Filip Gańczak, **JAN SEHN. TROPICIEL NAZISTÓW**

Czarne, Wołowiec 2020

TĘ WOJNĘ JUŻ PRZEGRALIŚMY

MICHAŁ KOSIŃSKI, PSYCHOLOG:

Wykorzystanie informacji o ludziach, utrata prywatności, manipulowanie zachowaniami – to wszystko było z nami przed Facebookiem. Zagrożenia ze strony nowych technologii nie powinny nam przysłaniać ich zalet.

GORM K. GAARE

DARIUSZ ROSIAK: Nie jestem na Facebooku ani Twitterze, zamykam automatycznie każdą reklamę, która do mnie trafia. Nadawałbym się na uczestnika Pańskich badań?

MICHAŁ KOSIŃSKI: Korzysta pan z komórki? Używa pan karty płatniczej? Ma pan samochód? W nim jest zapewne komputer, który rejestruje zachowanie kierowcy. Ma pan nowoczesny telewizor? On rejestruje i zachowuje wszystkie pana wybory. Ma pan domofon? Zapewne operuje pan kartą elektroniczną, żeby otworzyć bramę domu czy parkingu. Nie da się uniknąć zostawienia po sobie śladów w świecie cyfrowym.

Kilka lat temu pytano mnie bez przerwy, ile lajków wystarczy, by określić osobowość człowieka. I bardzo się ekscytowaliśmy, bo nasze badania wskazywały, że wystarczy kilkanaście. 100-150 lajków wystarczy, żeby poznać pana tak jak rodzina i najbliżsi przyjaciele. Ale lajki nie są jedynymi ani najlepszymi śladami do badań. Historia stron, które pan odwiedza w sieci, pańskich połączeń w telefonie komórkowym, transakcji dokonanych kartą, książka adresów mailowych i treść maili pisanych przez pana – to jest znacznie bardziej precyzyjna dokumentacja pańskiej osobowości niż lajki. Chyba że jest pan milionerem i ma pan asystenta, który wszystko robi za pana...

Wtedy wie Pan wszystko o moim asystencie...

Dokładnie. Ale większość zapracowanych, zabieganych ludzi musi korzystać z technologii ułatwiających życie. Bo są one dla nas pożyteczne. Dzięki nim możemy połączyć się z ludźmi na całym świecie, korzystać z wiedzy czy rozrywki w stopniu wcześniej nieosiągalnym, bo nie stać nas było na codzienny telefon do rodziny w Australii czy obejrzenie koncertu ulubionego zespołu, którego wcześniej telewizja i radio nie transmitowały. I to wszystko mamy praktycznie za darmo. Dlaczego nie mielibyśmy z tej skarbnicy wiedzy i rozrywki korzystać?

Czuje się Pan winny?

Muszę sprecyzować, że nie jestem autorem żadnego algorytmu. Jestem psychologiem i zajmuję się wykorzystaniem istniejących algorytmów w celu poprawy jakości naszego życia. Badam również sposoby, w jakie owe algorytmy mogą być wykorzystane przeciwko nam. Tak, czuję się odpowiedzialny, ale nie za to, jak wykorzystano moje badania, lecz za to, że ostrzegałem świat przed potencjalnym ryzykiem na wiele lat przed pojawieniem się firmy Cambridge Analytica. Niestety nikt mnie nie słuchał.

Niech Pan przypomni, jak nas ostrzegał.

W 2012 r. Facebook opatentował technologię zbierania danych, którą kilka lat później wykorzystała Cambridge Analytica. Kilka miesięcy po uzyskaniu przez Facebooka patentu opublikowałem artykuł naukowy w znanym międzynarodowym czasopiśmie [„Proceedings of the National Academy of Sciences" – red.], w którym ostrzegałem, że lajki notowane na Facebooku mogą być wykorzystywane do tego, by określić z wielką dokładnością poglądy polityczne ludzi, ich osobowość, inteligencję, orientację seksualną, wyznanie religijne i wiele innych intymnych cech. To z kolei może być podstawą różnych nadużyć stosowanych przez polityków czy firmy. Proszę pamiętać, że w tamtym okresie dostępność lajków była niczym nieograniczona, każdy mógł zobaczyć, co lajkuje każdy inny użytkownik Facebooka. Nasze badania okazały się bardzo popularne, media je rozpowszechniały, ale zwykle w tonie rozrywkowym. Nikt poważnie nie traktował zagrożenia płynącego z ewentualnego wykorzystania tych wyników. ↦

MICHAŁ KOSIŃSKI jest psychologiem społecznym, pracuje na Uniwersytecie Stanforda. Doktoryzował się na Uniwersytecie Cambridge, studiował w SWPS w Warszawie. Specjalista w dziedzinie psychometrii, w latach 2007-12 prowadził w Cambridge badania na temat określania osobowości na podstawie śladów cyfrowych. W 2013 r. opublikował wyniki tych badań, wskazując na zagrożenia płynące z wykorzystania algorytmów używanych przez Facebooka do zbierania danych użytkowników. W 2017 r. okazało się, że takie algorytmy zostały zastosowane przez firmę Cambridge Analytica, zaangażowaną w kampanię wyborczą Donalda Trumpa i zwolenników brexitu do profilowania przekazu w sieci dla indywidualnych użytkowników.

Jak precyzyjne są Pańskie badania? Po ilu konkretnych czyichś zachowaniach w sieci jest Pan w stanie określić jego cechy osobowości, takie jak preferencje seksualne, albo stwierdzić, czy badana osoba ma rozwiedzionych rodziców?

Okazuje się, że wystarczy kilka śladów cyfrowych, a trzeba pamiętać, że zostawiamy tysiące, jeśli nie dziesiątki tysięcy śladów każdego dnia.

Na czym polegało nowatorstwo Pańskich badań? Co było w nich nowego, lepszego od tych wcześniejszych?

Nie wiem, czy moje badania były lepsze, były na pewno inne. Po pierwsze, były przeprowadzone na dużo większej próbie badawczej niż badania tradycyjne, ankietowe. Po drugie, skupiałem się na cechach psychologicznych badanych. Większość poprzednich badań skupiała się na określeniu płci albo wieku danej osoby, w moich badaniach pokazałem, że możliwe jest wykorzystanie algorytmów do określania bardzo intymnych, indywidualnych cech charakterystycznych dla konkretnego użytkownika sieci. Po trzecie, badałem realne zachowania, a nie deklaracje ludzi.

To powiedziawszy, myślę, że nie należy przesadzać. Ludzie przypisują mi czasem cechy niemalże demiurga, a ja po prostu przyjrzałem się temu, co robią w sieci, a potem to opisałem.

Niech Pan nie umniejsza swoich zasług. Wcześniej badania były jednak oparte na deklaracjach. Ludzie mogli kłamać, opowiadać, co chcieli... Jakie zadanie postawił Pan sobie na początku?

Jestem klasycznie wykształconym psychologiem i przez wiele lat prowadziłem badania przy użyciu kwestionariuszy. Na przykład pytałem ludzi, czy lubią poezję albo przebywanie w towarzystwie innych.

Na co wszyscy odpowiadali, że lubią poezję, uwielbiają innych ludzi, ich ulubionym programem jest „Pegaz" i bardzo chcieliby więcej kultury w telewizji...

Skąd pan wiedział? Co więcej, takie dane zbiera się trudno, bo ludzie nie lubią, jak im się zawraca głowę, nie mają czasu, mówią coś na odczepnego. Takie badania są też drogie. I po wielu miesiącach pracy mamy dane od stu czy dwustu osób. Pomyślałem więc: poproszę ludzi, by podzielili się ze mną danymi ze swojego konta facebookowego. Zamiast pytać kogoś, czy lubi poezję i muzykę, zobaczę, co czyta i czego słucha. Zamiast pytać, jaki sport lubi, mogę znaleźć informacje, które dokładnie mi to powiedzą. Okazało się, że ludzie są bardzo chętni, by dzielić się takimi danymi z naukowcem. Udało nam się zebrać dane od ponad 6 milionów ludzi.

To był 2013 rok. Pojawiło się duże zainteresowanie Pana pracą. Kilka lat później usłyszeliśmy, że Cambridge Analytica wykorzystuje dane użytkowników Facebooka do manipulowania ludźmi głosującymi w wyborach amerykańskich i referendum brexitowym. I Pańskie badania łączono z działaniem firmy CA.

Jedna ważna rzecz. Cambridge Analytica nigdy nie wykorzystywała naszych danych, a ja nie mam nic wspólnego z tą firmą. My je zbieraliśmy od naszych woluntariuszy na cele naukowe. One były bezpieczne w naszej bazie i do dziś nikt niepowołany nie ma do nich dostępu.

To skąd CA i inne tego typu firmy wzięły dane?

Bezpośrednio od użytkowników, którym zapłacili. Nieetyczne w tej transakcji było moim zdaniem to, że CA wzięła nie tylko dane ludzi, którym zapłacili

Krótka historia afery

W MARCU 2018 R. były pracownik firmy Cambridge Analytica ujawnił brytyjskiemu „Guardianowi" działalność swojego pracodawcy. Korzystając z aplikacji stworzonej przez naukowca z Cambridge University Aleksandra Kogana, firma nakłoniła 320 tys. użytkowników Facebooka do wypełnienia testu psychologicznego. Aplikacja stworzyła psychologiczne profile tych osób, dodatkowo zebrała dane osób, które z uczestnikiem testu były „zaprzyjaźnione" na Facebooku. Łącznie zebrano dane 87 mln użytkowników Facebooka. Wówczas było to jeszcze zgodne z zasadami portalu, choć użytkownicy aplikacji sądzili, że ich dane wykorzystane zostaną do celów naukowych.

Już w 2015 r. Facebook wiedział, że CA działała niezgodnie z zasadami, ale zawiesił firmę w swojej platformie dopiero dwa lata później (cztery dni po tym, jak „Guardian" wysłał Facebookowi pytania związane z publikacją o aferze). Brytyjski odpowiednik GIODO nałożył na Facebooka najwyższą możliwą wtedy karę pół miliona funtów grzywny za niedostateczną ochronę danych użytkowników. Od tamtego czasu wysokość kary związanej z takim przewinieniem wzrosła kilkunastokrotnie.

W wewnętrznej notatce do pracowników z 30 grudnia 2019 r., którą 7 stycznia 2020 r. opublikował „The New York Times", Andrew Bosworth, jeden z dyrektorów wykonawczych Facebooka i bliski współpracownik Marka Zuckerberga, twierdzi, że reklamy CA nie miały lepszych wyników niż reklamy innych reklamodawców, a czasem nawet gorsze. Według badania Veroniki Marotty, Vibhanshu Abhisheka i Alessandra Acquistiego z maja 2019 r. reklamy targetowane dają jedynie o 4 proc. wyższy przychód od reklam nietargetowanych. Kiedy Cambridge Analytica przypisała sobie zwycięstwo Donalda Trumpa w wyborach, zaprotestował Brad Parscale, szef kampanii Trumpa w internecie. Twierdzi on, że o zwycięstwie w wyborach zadecydowały nie usługi oferowane przez CA, tylko skala środków przeznaczonych przez sztab Trumpa na reklamy w mediach społecznościowych w ogóle. Co więcej, zanim CA wsparło Trumpa w wyborach prezydenckich, w prawyborczym wyścigu o nominację Partii Republikańskiej jej analitycy pracowali dla głównego rywala Trumpa. Trump wygrał, zdobywając blisko dwa razy więcej głosów od wspieranego przez Cambridge Analytica Teda Cruza.

Andrew Bosworth w swojej notatce zgodził się z Parscale'em w ocenie faktycznego wpływu CA na wybory prezydenckie, przy okazji jednak twierdząc, że Trump wygrał dzięki Facebookowi, bo najlepiej wykorzystał narzędzia reklamowe tej platformy. Jaki był faktyczny wpływ kampanii Trumpa na użytkowników Facebooka czy Google'a? Ponieważ nikt nie ma możliwości skontrolowania danych tak dużych sieci, nie można znaleźć ostatecznej odpowiedzi na to pytanie. ©℗ PATRYK STANIK

i którzy się na to godzili, ale także dane ich znajomych. Być może i pan, i ja jesteśmy w bazie danych CA, nawet jeśli nigdy z tą firmą nie mieliśmy nic do czynienia. Wystarczy, że któryś z naszych facebookowych znajomych pobrał od nich dolara czy dwa, czyli tyle, ile płacili za dostęp do danych – i wszystkie dane trafiły do bazy CA. Oczywiście było to zrobione za zgodą Facebooka. Od tego czasu Facebook zmienił zasady i to także dzięki naszym badaniom. To się stało zaledwie dwa tygodnie po publikacji naszego artykułu w 2013 r. – od tego czasu lajki przestały być dostępne dla każdego użytkownika, bo Facebook zmienił ustawienia prywatności. To dowodzi dwóch rzeczy: po pierwsze, jak ważne są badania nad prywatnością. Po drugie, że Facebookowi wcale nie zależy na sprzedaży danych swoich klientów innym firmom.

Nie wierzę własnym uszom. Facebook żyje ze sprzedawania naszych danych! Ta firma po to istnieje. Przecież nie po to, byśmy wymieniali się opiniami na temat obejrzanych filmów i zdjęciami z wakacji.

Facebook istnieje po to, żeby zarobić jak najwięcej pieniędzy na danych, które użytkownicy zostawiają w serwisie. Ale niekoniecznie na sprzedaży tych danych. Proszę zauważyć: wartość danych dramatycznie spada w momencie sprzedaży, bo Facebook przestaje być ich jedynym właścicielem. A zatem z punktu widzenia Facebooka, Google'a czy LinkedIn lepiej jest trzymać dane użytkowników na wyłączność, bo to daje im wielką przewagę i buduje pozycję na rynku.

Ale zarabiają tylko wtedy, kiedy monetyzują te dane.

Mogą monetyzować sami. Na przykład: jeśli jest pan reklamodawcą, może pan uzyskać dane bezpośrednio od użytkowników albo zapłacić Facebookowi, żeby zrobił tę robotę za pana. Oczywiście Facebook woli to drugie rozwiązanie, bo ma pieniądze i nie musi dzielić się danymi. I wiele firm na to się godzi, co nie jest złym rozwiązaniem, bo dane nie są rozprzestrzeniane.

Broni Pan Facebooka – firmę uznawaną za samo zło, lewiatana współczesności. Rzadko kto go dziś broni. Wciąż widzi Pan w mediach społecznościowych więcej dobrego niż złego?

Barack Obama był pionierem wykorzystywania sprofilowanej reklamy politycznej w zdobywaniu głosów. To jak to jest? **Obama był wizjonerem, a Trump manipulatorem,** mimo że obaj robili dokładnie to samo?

Bez wątpienia. Oczywiście najłatwiej zdobyć popularność, strasząc sztuczną inteligencją i sprzedając historie o niechybnym końcu świata. Facebook ma być tym wrzodem, który nam zepsuł demokrację i społeczeństwo. Prawda jest dużo bardziej skomplikowana. Proszę pamiętać, że wykorzystanie informacji o ludziach, utrata prywatności, manipulowanie ludźmi – to rzeczywistość, która była z nami przed CA i będzie z nami bardzo długo.

Musimy się nauczyć w niej żyć – nie mówię tego z satysfakcją, większość czasu spędzam badając zagadnienia prywatności właśnie dlatego, że prywatność tracimy i będzie jej coraz mniej. Zostawiamy w świecie cyfrowym coraz więcej śladów, a algorytmy, które je wykorzystują, stają się coraz lepsze i potrafią przekształcić nasze ślady cyfrowe w bardzo dokładne profile psychologiczne człowieka. Zamiast starać się wygrać wojnę o prywatność – wojnę, którą niestety już przegraliśmy – powinniśmy zastanowić się, jak wykorzystać przemiany, w których uczestniczymy, dla naszej korzyści i minimalizować ryzyko, jakim jest manipulacja polityczna czy zbyt inwazyjny marketing.

No dobrze, ale co ma zrobić zwykły człowiek, który zewsząd słyszy, że wolna wola jest złudzeniem? Że wszyscy jesteśmy manipulowani? Ingerencje technologiczne w wybory 2016 r. w USA, wcześniej w referendum brexitowe, farmy trolli działające na zlecenie Rosjan czy Chińczyków – to są najbardziej nośne i spektakularne przejawy tego, że kruszeje nam demokracja. Do tego dodajmy niezwykle agresywne działania firm i korporacji, profilowanie przekazu, tak byśmy posłusznie wykonywali działania zgodne z interesem jakichś znanych albo nieznanych sił. Nawet jeżeli czujemy się wolni, to nasza wolność będzie wykorzystana albo przez polityków, albo przez biznes. Myśli Pan, że to przesada?

Nie tylko jest to przesada, ale nie ma na to żadnego dowodu. Przede wszystkim pamiętajmy, że ludzie poddają się manipulacji nie od dzisiaj i nie od czasów Facebooka. Byliśmy manipulowani i urabiani propagandowo od początku polityki i życia społecznego. Hitler i Stalin nie potrzebowali Facebooka, żeby wysłać miliony ludzi na śmierć.

Oczywiście nowe media to są nowe miejsca, gdzie gromadzą się ludzie. Za nimi idą firmy sprzedające produkty i usługi oraz politycy szukający poparcia, bo ono daje im władzę. To są znane wcześniej zagrożenia, które w nowym środowisku nabierają innej, czasem bardzo agresywnej formy. Jednak jeśli spojrzymy na współczesność, widzimy najlepiej poinformowane, najbardziej progresywne społeczeństwo od początku rodzaju ludzkiego. Wiem, że trudno w to uwierzyć, ale okazuje się także, że jesteśmy społeczeństwami najmniej spolaryzowanymi w historii. Nigdy wcześniej ludzie nie nienawidzili się mniej niż dzisiaj. Co więcej, te wszystkie pozytywne procesy najlepiej zachodzą w przedziale wiekowym osób, które mają największy dostęp do nowoczesnych technologii internetowych.

Przemawia przez Pana Steven Pinker. Żyjemy na najlepszym ze światów. Ale zna Pan na pewno angielskie powiedzenie: są kłamstwa, cholerne kłamstwa i statystyki.

Pinker pokazuje zniuansowany obraz rzeczywistości, w którym nie wszystko jest złe, a w istocie żyjemy w świecie wspaniałym – oczywiście wiele jest w nim jeszcze do poprawienia, ale to naprawdę najlepszy świat, jaki dotąd mieliśmy. Pewnie dlatego jego książki nie sprzedają się tak dobrze jak książki handlarzy strachu. Problem jest następujący: jeśli uwierzy pan, że ma raka, choć w istocie jest pan zdrowy, i zaaplikuje sobie chemioterapię, to ona nie tylko panu ↦

nie pomoże, ale i wręcz zaszkodzi. Panika wokół Facebooka, Google'a i innych technologii oraz ignorowanie korzyści, które niosą, może nas prowadzić do tej niepotrzebnej chemioterapii.

Do czego konkretnie?

Facebook został niedawno zmuszony w USA do zatrudnienia 15 tysięcy cenzorów, którzy sprawdzają nie tylko to, co firmy i politycy umieszczają w swoich postach, ale też treści zamieszczane przez indywidualnych użytkowników. Dosięga nas chichot historii. Pokolenia ludzi walczyły o wolność i likwidację cenzury, a teraz ich dzieci i wnuki domagają się powrotu cenzury, i to nie cenzury regulowanej przez władzę publiczną czy przez społeczność, która uznaje jakieś treści za szkodliwe dla siebie, ale takiej, która jest regulowana przez komercyjną firmę, nastawioną na zysk finansowy, i niekontrolowaną przez społeczeństwo.

A kto powinien kontrolować i regulować zawartość mediów społecznościowych, reklam w sieci, proces zbierania danych o użytkownikach? Czy w ogóle powinniśmy to robić?

Oczywiście, że tak. Jednak nie można pozwolić, by to same korporacje medialne wprowadzały regulacje i kontrolowały ich stosowanie. To tak, jakbyśmy zlecili firmom tytoniowym regulację rynku sprzedaży papierosów, a korporacjom naftowym rynku paliw. Nie może być tak, że to kierownictwo Facebooka decyduje, co kto może powiedzieć i zamieścić w tym serwisie.

Kto powinien wprowadzać takie regulacje?

Instytucje dobra publicznego, demokratycznie wybierane, a przynajmniej podlegające demokratycznej kontroli i weryfikacji. Dokładnie tak samo jak dzieje się to w przypadku radia i telewizji. Podstawowym kryterium powinno być jednak zachowanie wolności słowa. Płacimy za nią wysoką cenę, bo każdy – pan, ja, partia polityczna czy rząd – mogą jej nadużyć, mogą szerzyć kłamstwa, nienawiść, rozpowszechniać brednie. Jednak cena za ograniczanie wolności byłaby jeszcze wyższa – bo to samo narzędzie technologiczne, które zaknebluje dziś polityka, z którym pan się nie zgadza, jutro zostanie wykorzystane do zakneblowania polityka, z którym pan się zgadza, albo do zakneblowania pana.

> Wiem, że trudno w to uwierzyć, ale jesteśmy społeczeństwami najmniej spolaryzowanymi w historii. **Nigdy wcześniej ludzie nie nienawidzili się mniej niż dzisiaj.**

Tylko że żyjemy w czasach, w których ludzie chętniej rezygnują z wolności – w zamian za większe poczucie bezpieczeństwa – niż poszerzają jej zakres. Wszyscy wszystkiego się boją, nawet opinii, które mogą zagrozić ich komfortowi psychicznemu.

Zapomnieliśmy o czasach, kiedy tej wolności nie było. Pamiętajmy, że gotowość do rezygnacji z wolności słowa nie jest odizolowanym fenomenem. Szerzą się postawy oparte na strachu i przesądach. Popatrzmy na ruch antyszczepionkowy. Ludzie zapomnieli, jak to jest, kiedy dzieci umierają na odrę i inne choroby.

Jest nam za dobrze?

Jest nam za dobrze i zorientujemy się, że tak jest, dopiero kiedy antyszczepionkowcy na ołtarzu swoich teorii spiskowych złożą życie wielu dzieci.

Wiele jest takich teorii, homeopatia na przykład.

Brexit...

No nie. Tu Pana mam. Już miałem się z Panem zgodzić, że przesadzamy z tą katastroficzną wizją świata, w której wszyscy jesteśmy zmanipulowanymi ofiarami. Jednak brexit w ogóle do tego nie pasuje. Brytyjczycy przed świętami zafundowali sobie wybory, w których po raz kolejny zagłosowali za brexitem, i to w formie najbardziej twardej z możliwych – bo to właśnie oznaczało oddanie głosu na Borisa Johnsona. Już nie wolno nam utrzymywać, że nie wiedzą, co robią, że doznali masowego zaćmienia umysłu.

Ależ ja się z panem całkowicie zgadzam. To nie brexit jest wynikiem teorii spiskowej, tylko twierdzenie, że stoją za nim jakieś mroczne siły. Podobnie rzecz ma się z Donaldem Trumpem. Jeżeli Cambridge Analytica umiałaby tak świetnie zmanipulować amerykańskich wyborców, to wygrałby Ted Cruz, bo on korzystał z usług tej firmy na długo przed Trumpem. Hillary Clinton wydała trzy razy więcej pieniędzy niż Trump na usługi takich samych firm jak CA. Pamiętajmy też, że to Barack Obama był pionierem wykorzystywania takich technologii w zdobywaniu głosów. Tylko że wtedy mówiono, że Obama jest wizjonerem, nawet jeśli wiele osób, które potem pracowały w CA, zdobywało szlify zawodowe w kampaniach Obamy. To jak to jest? Obama był wizjonerem, a Trump manipulatorem, mimo że obaj robili dokładnie to samo?

W tej dziedzinie również obowiązuje moralność Kalego: jeśli coś służy mojej korzyści, to jest dobre, a jeśli służy korzyści mojego przeciwnika, to jest złe.

Jeżeli jest pan Demokratą w USA albo zwolennikiem Unii Europejskiej w Anglii, to najłatwiej zrzucić winę za własne błędy na algorytm, zapominając o tym, że obydwie strony wyścigu politycznego korzystają z tych samych narzędzi. Ale wynik wyborów to nie skutek działań algorytmów, tylko polityków. Demokraci uznali, że nie ma sensu rozmawiać z dużą częścią społeczeństwa – akurat tą, do której przemawiały argumenty Trumpa.

Populista Donald Trump nie wybierał – rozmawiał z każdym, kto chciał z nim rozmawiać, i używał do tego wszelkich dostępnych narzędzi, zwłaszcza w takich miejscach, gdzie spędzają najwięcej czasu, na przykład na Facebooku. Co więcej, mówił do nich językiem dla wyborców zrozumiałym i potrafił sformułować przekaz, który trafiał w ich oczekiwania. Dlatego wygrał wybory, a nie dlatego, że pomagała mu Cambridge Analytica. Dzisiaj wszyscy już wiedzą, jak skomplikowany jest brexit i jakie wiążą się z nim zagrożenia, wszyscy wiedzą, kim jest Donald Trump, jakie ma wady i zalety. A mimo to poparcie dla brexitu i Trumpa utrzymuje się na wysokim poziomie. To nie algorytmy ich popierają, tylko ludzie.

© Rozmawiał DARIUSZ ROSIAK

WOJCIECH

Bonowicz:
Haiku

W czasie kiedy prezydent krzyczał, ja leżałem w łóżku z anginą, i to w Wiedniu. Chętnie też bym sobie coś krzyknął, ale gardło spuchło mi tak bardzo, że z trudem mogłem powiedzieć kilka słów. Początkowo próbowałem leczyć się sam, ostatecznie nie będzie mi obcy lekarz w obcym języku mówił, co mam robić. Niestety, pani doktor Kantorowa była kilkaset kilometrów od miejsca, gdzie leżałem, a ból stopniowo stawał się nie do zniesienia. W dodatku miałem odpowiednie ubezpieczenie i obcy lekarz mógł mnie przyjąć bezpłatnie.

Trzeba powiedzieć – pomógł. Słowa po polsku nie umiał, bo Austriak, czyli Niemiec jakby, ale zbadał starannie, przepisał stosowny antybiotyk i po trzech dniach puściło. Kiedy opuchlizna zeszła, a ja wyrzuciłem z siebie wszystkie nagromadzone obrzydliwości, miałem ochotę iść i całować go po rękach, ale się powstrzymałem. Tylko by tego brakowało, żeby sobie pomyślał, jak bardzo mu jestem wdzięczny. Duma, duma, narodowa duma! Też mamy nie gorszych lekarzy, zresztą u niego w kolejce półtorej godziny odsiedziałem, a u nas w ośrodku, jak pobiegnę o siódmej i się zarejestruję, to potem o czternastej bez kolejki mnie przyjmą.

Tak więc jestem zdrowy – i to jest dobra wiadomość, bo innych dobrych nie ma. To znaczy dobra dla mnie jest i ta, że jak człowiek siedzi w Wiedniu, to jednak mniej rzeczy do niego dociera i mniej go denerwuje. Teraz muszę się skupić, kończę większą robotę, jeszcze przez dwa miesiące będę tak kończył, ale skończyć muszę. Czy w tym czasie w mojej ojczyźnie coś się przypadkiem nie skończy, pewności nie mam. Wszyscy mnie tu pytają, co myślę, a ja myślę to, co wszyscy. To znaczy to, co połowa wszystkich. Większa połowa? Mniejsza? Ostatnio rozśmieszył mnie mem, który znalazłem w internecie. Nauczyciel matematyki ostrzega uczniów: „Wasza klasa jest taka słaba, że 60 procent nie zda". A uczniowie: „Ha ha ha, jak nas tylu nawet nie ma!".

No więc siedzimy w tej klasie, prezydent, co kiedyś wyznał, że stale się uczy, pokrzykuje, a my nie wiemy: zdamy ten egzamin czy nie? Ręce opadają niczym wody gruntowe. Każdego dnia człowiek dostaje jakieś apele do podpisania – dodam: w języku polskim, żeby nie było, że to jakieś obce apele są – ale ileż takich apeli podpisać można, żeby nasz podpis coś jeszcze znaczył? „Wszystkiego dziś trzeba bronić przed głupkami", usłyszałem kilka lat temu w tramwaju, ale nie wiem, kogo miał na myśli ten, co mówił. Jak tak przychodzi apel za apelem, to człowiek ma wrażenie, że istotnie, szaleństwo jakieś ludzi ogarnęło, żeby popsuć, co jeszcze możliwe.

W tej sytuacji mogę wam zalecić tylko poezję. Czytajcie Leśmiana. A jak was Leśmian rozstraja, to Bargielską. A jak Bargielska to za dużo, czytajcie Sobola. A jak Sobol to za mało, bierzcie Kennetha Kocha. Na szczęście jest tych książek z poezją sporo i w dodatku dobrych. Mnie pomaga w życiu wiersz Rona Padgetta, którego tu już nie raz przywoływałem. Ma trzy wersy, nosi tytuł „Haiku", choć żadnym haiku nie jest. Ale cele ma podobne. Podaję go wam we własnym przekładzie:

Najpierw – uspokój się.
Potem – spróbuj pozostać w tym stanie
przez resztę życia.

©

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

„Tygodnik Powszechny" i Nowy Teatr zapraszają na kolejne spotkanie z cyklu TrzePak w Nowym

MOC KOBIET

O feministkach, działaczkach, matkach, siostrach, polityczkach, teolożkach, partnerkach, pisarkach, aktorkach, naukowczyniach, dziennikarkach. O miesiączce, porodzie i trudnym macierzyństwie, a także molestowaniu, przemocy i stereotypach – wśród podejmowanych tematów nie ma tabu. Obok kwestii trudnych również te, które opisują doświadczenie kobiecej wspólnoty i siostrzeństwa. Świadectwa kobiet spełnionych i mistrzyń oraz wątek religijności kobiet.

W dyskusji wokół tematów poruszanych w wydaniu specjalnym „Moc kobiet" udział wezmą Justyna Bargielska, Justyna Dąbrowska i Zuzanna Radzik. Rozmowę poprowadzi Michał Okoński.

Do zobaczenia we **wtorek 11 lutego o godz. 18.30** w Nowym Teatrze przy ul. Madalińskiego 10/16 w Warszawie.

NOWY TEATR

Wydanie specjalne do nabycia tylko w sklepach z dobrą prasą oraz na powszech.net/mockobiet

TYGODNIK POWSZECHNY

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

ZUZA KRAJEWSKA / WARSAW CREATIVES

CÓRKA DANCINGU

AGNIESZKA SMOCZYŃSKA, REŻYSERKA:

U nas w domu imprezowało się w każdy weekend.
A sylwester był dla moich rodziców najważniejszym dniem w roku.
Antidotum na szarość.

KATARZYNA KUBISIOWSKA: Myślisz czasem: chciałabym być znowu dzieckiem?

AGNIESZKA SMOCZYŃSKA: Dzieckiem to już nie, ale bardzo bym chciała robić wycieczki do tamtej świadomości. Dziś nawet miałam taki stan: przypomniałam sobie leżakowanie w przedszkolu. Nie lubiłam tego do momentu, dopóki starszy brat mi nie powiedział, że powinnam to uwielbiać, bo on sobie marzy, by pospać w ciągu dnia. I wtedy powoli zaczęłam zasypiać.

Jeszcze inne stany świadomości z dzieciństwa?

Miałam cały świat wymyślony: ten tutaj nie jest realny, istnieje alternatywna rzeczywistość, a ludzie, którzy mnie otaczają, nie są tak naprawdę ludźmi, tylko udają przede mną. I ci wszyscy niby-ludzie, gdy zachodzi słońce, codziennie spotykają się na ogromnej górze.

Długo wierzyłam w tę rzeczywistość. Potem, w wieku nastu lat, kiedy przeczytałam „Kongres futurologiczny" Stanisława Lema, to doskonale znałam opisany tam mechanizm „tworzenia zbiorowej halucynacji". Jako dziewczynka bawiłam się, że mogę wchodzić w ten nasz świat, który jest jedną wielką halucynacją, i wychodzić z niego, kiedy tylko zechcę.

Jak oglądanie filmu!

Mój zawód – reżyserowanie – to tworzenie sztucznych rzeczywistości.

W dzieciństwie nie miałam dystansu do świata, przejmowałam się wszystkim, nawet tym, że nie mogę znaleźć zeszytu. Do ludzi też mi brakowało dystansu – gdy ktoś mi coś powiedział, to nawet gdy kłamał, uznawałam, że tak jest. Bardzo wyczerpujące. Nie potrafię dokładnie powiedzieć, kiedy nabrałam dystansu, ale kluczową rolę odgrywa tu czas, który płynie, i doświadczenie, które się gromadzi. Dziś tego dystansu staram się uczyć moje córki, pokazuję im, że świat nie zawsze jest taki, jakim nam się wydaje, że jest dużo bardziej złożony.

Trudna bardzo to nauka...

Ale konieczna.

A dojrzewanie?

Dziewczyńskość i dojrzewanie też mocno przeżywałam i oczywiście wiązało się ono ze wstydem. I jednocześnie byłam tym wszystkim zafascynowana. Jak moje koleżanki, bardzo chciałam być już kobietą, nie mogłam się doczekać. Potem, gdy już miałam chłopaka, mama powiedziała, żebym jak najpóźniej poszła z nim do łóżka, gdyż wtedy zmieni się mi zasadniczo perspektywa patrzenia na świat. I nie chodzi wyłącznie o fizyczne doświadczenie, ale też o to, że od tego momentu świat zaczyna inaczej wyglądać. Jest w jakimś sensie rozczarowujący. Faktycznie: stało się, jak mówiła mama. Zasłona opadła.

Mądra mama.

I jeszcze piękna, i seksowna. Mama afirmowała swoją kobiecość.

W ogóle przez całe dzieciństwo, oprócz bardzo wspierających ojca, brata i dziadka, otaczały mnie kobiety: sześć sióstr mamy i ich córki; ciotki i kuzynki to moje naturalne środowisko. Mama z siostrą prowadziły dancing w Szklarskiej Porębie, inna prowadziła pensjonat, kolejna bar na dworcu w Żmigrodzie. Kelnerkami i bufetowymi były ich córki.

Ciotki były silnymi, w jakimś sensie spełnionymi zawodowo, niezależnymi kobietami. Z nich sześciu tylko jedna nie miała pracy i siedziała w domu. Miała bardzo dobre serce, była kochana, nie mogła mieć dzieci i od czasu do czasu zajmowała się dziećmi sióstr. Zostawił ją mąż, niedługo potem zachorowała i zmarła jako pierwsza z rodzeństwa.

Ich mama, a moja babcia, prowadziła z dziadkiem sklep. Zmarła, gdy mama miała sześć lat, jej najmłodsza siostra – dwa, najstarsza – dwadzieścia cztery. Od tego momentu wzajemnie sobie matkowały, były zmuszone usamodzielnić się i utrzymywać młodsze siostry. ↦

AGNIESZKA SMOCZYŃSKA (ur. 1978) jest reżyserką filmową. Jej pełnometrażowy debiut „Córki dancingu" (2015) otrzymał nagrodę specjalną jury na festiwalu Sundance. „Fuga" (2018) miała światową premierę na festiwalu w Cannes. Obecnie reżyserka pracuje nad swoim pierwszym anglojęzycznym filmem „Silent Twins".

Gdy to mówisz, coraz bardziej do mnie dociera, że musiałaś nakręcić „Córki dancingu": opowieść o tym, jak dziewczyna staje się kobietą i jaką cenę za to płaci.

Teraz mam 42 lata i dopiero czuję prawdziwą mądrość płynącą z tego, że jestem kobietą. A pamiętam, że o kobietach w tym wieku mówiło się na poły pogardliwie, na poły ze strachem: „ryczące czterdziestki". To podszyte lękiem spojrzenie na kobiety jest jednocześnie redukcją do ich seksualnego niewyżycia – teraz wydaje mi się to bardzo śmieszne.

Ale budzące wstyd i poczucie winy.

Poczucie winy tkwi w kobiecie bez względu na to, jaką miała wspaniałą matkę.

Dziewczyny chcą jak najszybciej stać się kobietami. W mojej szkole koleżanki zwierzały się z tego, która była już z chłopakiem. Odważniejsze udawały w szatni orgazmy: darły się na cały regulator, co zawstydzało te, które jeszcze chłopaków nie miały.

A poczucie winy spełnionej zawodowo kobiety wobec zaniedbywanej rodziny? To temat Twojej etiudy „Aria diva", w której konfrontujesz dwie postawy: wykształconą kobietę, poświęcającą całe życie dla rodziny, oraz spełnioną śpiewaczkę operową, samotną jak palec, wracająca po koncertach do pustego mieszkania.

Moją codzienną walką jest łączenie życia zawodowego z prywatnym. Po zakończeniu dnia zdjęciowego najbardziej nienawidzę samotnych powrotów do hotelu, gdy w tym czasie moje córki – dziś 10- i 15-latka – są daleko. Dla mnie nie jest wyzwaniem praca, ale łączenie jej z rodzinnością. Denerwuje mnie, kiedy kolegom z branży nie mieści się w głowie, że nie mogę pracować do oporu – w pewnym momencie muszę wrócić do domu, gdzie czekają dzieci.

Teraz już potrafię poprosić, abym mogła jechać na plan z dziećmi i ich opiekunką. Zależy mi na tym, by stało się to regułą dla wszystkich kobiet pracujących w tej branży. Coraz częściej festiwale tworzą tzw. strefę przyjazną dla matek z dziećmi. W końcu!

Z jednej strony dużo więcej bym mogła zrobić bez dzieci albo będąc mężczyzną. A z drugiej, nie byłabym tym, kim jestem teraz.

Dziewczyny chcą szybko stać się kobietami.

W mojej szkole koleżanki zwierzały się, która była już z chłopakiem. Odważniejsze udawały w szatni orgazmy.

Reżyseria to zawód obsadzony głównie przez mężczyzn.

Gdy zdawałam egzamin na reżyserię, miałam 24 lata. Byłam bardzo dobrze przygotowana i pewna, że chcę to robić. Jedyne, czego bałam się na rozmowie kwalifikacyjnej, to tego, że mogę być dyskryminowana ze względu na płeć. A teraz, gdy czytam literaturę pisaną przez Doris Lessing, Alice Munro, Justynę Bargielską, Agnetę Pleijel, oglądam filmy Sofii Coppoli czy Ildikó Enyedi, widzę, że to inne postrzeganie świata, inne budowanie narracji, które jeszcze 15 lat temu było traktowane z przymrużeniem oka – dziś staje się wartością.

Ale na reżyserię dostałaś się za pierwszym razem.

Na mój rok przyjęto siedem dziewczyn i siedmiu chłopaków, a na studiach w ogóle nie czułam się szykanowana ze względu na płeć. Miałam znakomitych wykładowców: Filipa Bajona, Andrzeja Fidyka, Edwarda Żebrowskiego, Joannę Kos-Krauze, Wojciecha Marczewskiego...

Trudniej jest w tym zawodzie, im wyżej jesteś w hierarchii. Wtedy fakt bycia kobietą staje się obciążeniem. Przykłady? Jeżeli film ma być kasowy, to kobieta go nie dostanie. Budżety filmów wyreżyserowanych przez kobiety są dużo mniejsze niż tych reżyserowanych przez mężczyzn. Tak samo jest z filmami czy serialami gatunkowymi. Oczywiście na świecie to się zmienia, w Polsce bardzo powoli. Podobnie jest z nagrodami: jak do tej pory, Oscara za reżyserię dostała tylko jedna kobieta – Kathryn Bigelow za „The Hurt Locker". W Cannes przez 71 lat istnienia festiwalu tylko dwie kobiety zostały uhonorowane Złotymi Palmami.

W 1993 r. Jane Campion za „Fortepian", w 2015 r. Agnès Varda odebrała Palmę honorową.

Dlatego gdy pojechałam tam z „Fugą", szłam w milczącym marszu 82 kobiet aktorek i reżyserek – ich liczba miała symbolizować liczbę reżyserek obecnych na tym najważniejszym festiwalu filmowym w ciągu 70 lat jego istnienia. W tym samym czasie tego zaszczytu dostąpiło 1866 reżyserów. Liczby mówią same za siebie.

Na czele protestu stanęły Cate Blanchett i Agnès Varda. Blanchett mówiła, że my, kobiety, wciąż jesteśmy dyskryminowane w branży filmowej i oczekujemy zmian w instytucjach i miejscach pracy. Na czerwonym dywanie stanęły inne ikony kina: Jane Fonda, Salma Hayek, Léa Seydoux. A Varda powiedziała: „Będziemy domagać się, aby nasze miejsca pracy były różnorodne i sprawiedliwe, aby mogły najlepiej odzwierciedlać świat, w którym żyjemy. Schody naszej branży muszą być dostępne dla wszystkich. Wejdźmy na nie". To był bardzo symboliczny moment.

Też muszę powiedzieć, że powoli, ale jednak sporo się zmienia na korzyć kobiet. Mam szczęście, bo gdybym w świat filmu weszła dekadę czy dwie temu, nie wiem, co bym robiła teraz. Czy mogłabym kręcić fabuły? Czy może pracowałabym wyłącznie jako drugi reżyser? Na palcach jednej ręki można wymienić nasze polskie reżyserki, które wtedy robiły filmy fabularne: Agnieszkę Holland, Magdę Łazarkiewicz, Izabelę Cywińską, Barbarę Sass-Zdort, Dorotę Kędzierzawską.

Kiedy dokładnie zaczęłaś?

Gdy miałam 15 lat. To był impuls. Zmarł mój tata, na pogrzebie już wiedziałam, że wszystko się zmieniło – i z automatu przeskoczyłam na drugą stronę.

Potem, już w liceum, zaczęłam kręcić krótkie filmiki i teledyski. Nikomu jeszcze nie mówiłam, że chcę iść na reżyserię, wstydziłam się tego marzenia. Zwierzyłam się dopiero swojemu chłopakowi, ale też w sytuacji szczególnej: gdy myśleliśmy, że będziemy mieć dziecko.

Oj! Symboliczne.

Wtedy zrozumiałam, że muszę zacząć działać, a nie tylko marzyć w ukryciu. Bo mnie dopadnie przypadkowe życie. Miałam 20 lat, okazało się, że nie byłam w ciąży. I to był kolejny przełomowy mo-

ment. Wiedziałam, że muszę coś zrobić. Zrezygnowałam z historii sztuki, przeniosłam się na kulturoznawstwo. A na trzecim roku kulturoznawstwa zaczęłam przygotowywać się na reżyserię, coraz bardziej rozumiejąc, że jest tym, czym chcę się zajmować w życiu.

I kontynuacją dziecięcego marzenia o alternatywnej rzeczywistości?

Gdy miałam 10 lat, ogromne wrażenie zrobiła na mnie „La Strada". Oglądnęłam ją w telewizji, z rodzicami. Nie rozumiałam świata Felliniego, ale byłam pod ogromnym jego wrażeniem. Zachwycało mnie, że film jest czarno-biały, i płakałam ze wzruszenia przy scenie końcowej, kiedy okrutny wobec Gelsominy Zampano usłyszał, jak ktoś gra na trąbce jej melodię, a potem dowiaduje się o jej śmierci, idzie na plażę i płacze.

Co jeszcze wspólnie oglądaliśmy z rodzicami? Westerny, puszczali je w soboty. Nie lubiłam ich, nudziłam się, pytałam mamę, kto jest dobry, kto zły, co ją denerwowało. Oglądałam bardzo dużo filmów na VHS-ach. Pamiętam „Żądło", „Pół żartem, pół serio". „Rocky'ego", „Rambo" i setki filmów klasy B, które brat przynosił z bazaru; zawsze trzeba było odczekać ze dwie godziny, zanim się je wsadziło do magnetowidu.

A w liceum trafiłam do klasy filmowej Barbary Lekarczyk, z którą co tydzień chodziliśmy do kina na DKF prowadzony przez Jacka Szymańskiego. Potem na lekcji rozmawialiśmy o filmach. Wtedy zafascynowałam się Bergmanem, Antonionim, Viscontim, Cronenbergiem, Polańskim.

W DKF-ie widziałam Agnieszki Holland „Kobietę samotną" i „Gorączkę", „Dreszcze" Wojciecha Marczewskiego, „Wojnę światów – następne stulecie" i „O-bi, o-ba. Koniec cywilizacji" Szulkina – te filmy mnie kształtowały.

I jeszcze ważny dla naszego pokolenia – ludzi urodzonych w latach 70. – był program „997", poświęcony niewyjaśnionym sprawom kryminalnym.

Nigdy nie zapomnę tego dreszczyku, kiedy z przerażeniem oglądałam program prowadzony przez Michała Fajbusiewicza, i tego rzeczowego głosu lektora. „997" robiło na mnie największe wrażenie do chwili, gdy zobaczyłam „La Stradę". Wtedy zrozumiałam, że kino może być niezrozumiałe, ale wzrusza i zostaje na dłużej.

> Z jednej strony **dużo więcej bym mogła zrobić bez dzieci** albo będąc mężczyzną. A z drugiej, nie byłabym tym, kim jestem teraz.

Z PRL-u jeszcze pamiętam, że się mało mówiło przy dzieciach, w ich obecności dorośli ściszali głos. W latach 80. wszyscy chcieli stąd wyjechać. I dużo się imprezowało – u nas w domu w każdy weekend. Może dlatego, że mama pracowała w knajpie, a może dlatego, że to był klin na tę wszechobecną beznadzieję. Właściwie to ja się w knajpie wychowywałam – patrzyłam na ludzi na dancingach, rozbawionych, tańczących, pijanych. A sylwester za komuny to już było wydarzenie. Dla moich rodziców najważniejszy dzień w roku. Antidotum na szarość. Do pewnego czasu mama organizowała sylwestra, a potem lubiła wyjeżdżać z tatą i przyjaciółmi – ten karnawał był im bardzo potrzebny. Jak pamiętam sylwestra z lat 80.? Poprzez srebrne tuniki i kolorowe cekiny.

Duch i estetyka PRL-u przenika każdy kadr „Córek dancingu". Twoja mama zdążyła zobaczyć ten film?

Nie, zmarła niedługo po tym, gdy go skończyłam. Tata zmarł, gdy byłam dziewczyną, mama – gdy byłam już kobietą. Mama umierała świadomie i pogodzona z tym faktem. Do pewnego momentu walczyła, a potem odpuściła... Nauczyła mnie, w jaki sposób oswajać się ze śmiercią. Byliśmy przez cały czas przy niej, do ostatniej chwili. Nauczyła mnie, jak umierać. Miała 69 lat.

Tata umierał jako 53-latek, czyli młody mężczyzna, i nie zgadzał się na to, co się dzieje. Dla nas wszystkich to była trauma. Po jego śmierci wpadłam w pustą dziurę, oczywiście funkcjonowałam, zdawałam egzaminy, ale niewiele czułam, działałam jak automat.

A gdy mama odchodziła, wiedziałam, że muszę z nią być, że nikt mnie nie zastąpi. Słyszałam historię kobiety, która opłacała inną kobietę, by ta towarzyszyła jej umierającej matce. Sama nie chciała, nie umiała, nie była gotowa...

Doświadczenie umierania taty bardzo dużo nas nauczyło przy umieraniu mamy. Te dwie śmierci się dopełniły. Taty niegotowość i mamy gotowość. Moja niegotowość przy śmierci taty i dojrzewanie do gotowości przy śmierci mamy. I w tym wszystkim cierpienie. Od człowieka stojącego wobec śmierci możemy nauczyć się, co jest najważniejsze w życiu.

Gdy widzisz, jak umiera najukochańszy człowiek, jak się z tym zmaga, jak pokonuje strach – płynie z tego siła, którą zostawia on żywym. Wracam teraz do dystansu, którego nie miałam jako dziecko wobec świata. I właśnie dystansu do życia uczyła mnie matka, która całe życie doświadczała śmierci bliskich. U nas w domu umarła babcia, u nas w domu umarł dziadek, a potem u nas w domu umarł ojciec. Te śmierci były namacalne.

Śmierć, siostrzeństwo, kobiecość – te wątki powrócą też w Twoim najnowszym filmie, nad którym zaczęłaś pracę, a opowiadającym o legendarnych siostrach – „Silent Twins".

To historia June i Jennifer Gibbons, urodzonych w 1963 r., które wychowały się w Walii. To była jedyna czarnoskóra rodzina w mieście. Kiedy dziewczynki poszły do szkoły, zaczęto je szykanować i one przestały się odzywać. Stworzyły własny język i coraz bardziej odsuwały się od świata, a świat odsuwał się od nich. W końcu w szkole powiedzieli, że nie ma z nimi komunikacji, więc uczennice odsyłają do domu.

June i Jennifer szybko trafiły pod opiekę psychiatrów, którzy uznali, że najlepsze dla nich będzie rozdzielenie. Wysłano je do różnych szkół z internatami i wtedy obie zapadły w stan katatonii. Dlatego zdecydowano się na ponowne ich połączenie. Lecz było już za późno – dziewczynki zupełnie zamknęły się w swoim świecie. Sporo pisały, początkowo pamiętniki, potem każda wydała własną powieść.

Przy tym wszystkim miały niesamowite poczucie humoru i wyobraźnię – tylko wobec innych ludzi zachowywały dystans. Zamknęły się w swojej relacji i w pewnym momencie zrozumiały, że jedna z nich musi umrzeć – aby druga przeżyła.

© Rozmawiała KATARZYNA KUBISIOWSKA

Prosto i z krzykiem

DARIUSZ KOSIŃSKI

Był naznaczony doświadczeniami bojowej kontrkultury i utopijnej wspólnoty szlachetnego humanizmu. Czyli tego, co dziś zbywa się ironią i zamienia w przewrotny mem.

Spór Lecha Raczaka z Jerzym Grotowskim, który eksplodował w roku 1980, to może jedna z najważniejszych dyskusji w polskim teatrze ostatniego półwiecza. Podobno obaj spotkali się po latach, gdy czasy i punkty widzenia się zmieniły, a emocje zastygły w zrozumienie. Nie wiemy, o czym rozmawiali. I już się nie dowiemy. 17 stycznia Lech Raczak – założyciel i wieloletni lider Teatru Ósmego Dnia, jedna z najświatlejszych postaci polskiego teatru – zmarł w Poznaniu w wieku 74 lat.

Echo tamtych sporów i tamtej rozmowy wróciło na scenę wraz z przedstawieniem „Ach, jakże godnie żyli", które Marcin Liber zrealizował w Teatrze Powszechnym w Warszawie. Choć jego premiera odbyła się 23 listopada 2019 r., to potem w prezentacjach nastąpiła długa przerwa. Kolejne pokazy, nazywane popremierowymi, zaplanowano dopiero na styczeń 2020 r. Śmierć dopisała przedstawieniu inne, żałobne znaczenia.

Reakcją na to, co stało się 17 stycznia, jest scena, w której grający Raczaka Michał Czachor mówi krótki monolog – cytat z wypowiedzi artysty z 2011 r. Dobiegłszy 65 lat, reżyser zdaje sobie sprawę, że czasu jest mało i trzeba planować dokładniej, co zostało do zrobienia. Coraz cichszym głosem wymienia teksty, które chciałby zrealizować. Urywa, oświetlające go światło gaśnie, a sceniczna Ewa Wójciak (Anna Ilczuk) mówi: „Leszek, k..., za wcześnie". Scena jest prosta, ale chwyta za gardło, jak każda opowieść o niezrealizowanych planach. W 2011 r. Raczak obliczał, że ma jeszcze jakieś 10 lat aktywności artystycznej. Nie dostał nawet tylu.

Własnym głosem

Ostatnie przedstawienie Lecha Raczaka, jakie widziałem, to jego autorski monolog „Podróże przez sny. I powroty". Mówił szeptem, bo choroba nie pozwalała mu podnosić głosu. Ale jak zawsze mówił w sposób sobie właściwy, z ciepłym a ironicznym humorem. Przenikliwy i spokojny, jakby wciąż zauroczony złożonością życia, nie miał w sobie nic z legendy i na pewno nic z kombatanta. Gdyby ktoś nie wiedział, że słucha postaci historycznej, uosabiającej jedną z najchwalebniejszych kart polskiego teatru i jego walki o wolność, może nigdy by się tego nie domyślił.

Marcin Liber w swoim spektaklu tę „kartę" Raczaka przypomina ze skrupulatnością kronikarza. W 1964 r. grupa osiemnastoletnich zaledwie studentów polonistyki UAM zakłada studencki Teatr Ósmego Dnia. W 1967 r., za pośrednictwem Zbigniewa Osińskiego, nawiązują kontakt z Teatrem Laboratorium Jerzego Grotowskiego i pod jego wpływem zmieniają radykalnie swój sposób pracy. Dzięki temu są gotowi, by w 1968 r. własnym głosem podjąć teatralną krytykę sytuacji politycznej w Polsce.

Od udziału w protestach studenckich zaczęły się dzieje zespołu uznawanego za najbardziej radykalnie polityczny teatr nie tylko tamtych czasów. Ich „szlak bojowy" znaczyły nie tylko kolejne legendarne dziś spektakle: „Jednym tchem" (1970), „Przecena dla wszystkich" (1977), „Ach, jak godnie żyliśmy" (1979), ale także kolejne prześladowania, łącznie ze sfingowanym procesem pod absurdalnymi zarzutami. W stanie wojennym stopniowo pozbawiani możliwości działania, występujący w kościołach, w końcu zmuszeni do emigracji, stali się bodaj najważniejszym znakiem teatralnego sprzeciwu.

Po 1989 r. wrócili do Polski i wznowili działalność w zmienionej sytuacji. Po kilku latach doszło do bolesnego rozpadu – Lech Raczak odszedł z zespołu, którym kierowała odtąd Ewa Wójciak. On sam w 1993 r. powołał Festiwal Malta, który po dziewięciu latach też mu zabrano. Był kierownikiem artystycznym Teatru Polskiego w Poznaniu (1995-98), reżyserował w teatrach instytucjonalnych i we własnym niezależnym zespole Orbis Tertius. Chyba najlepiej czuł się u Jacka Głomba w Legnicy, gdzie zrealizował m.in. „Marata/Sade'a" Petera Weissa (2008) czy znakomity „Czas terroru" według „Róży" Stefana Żeromskiego (2009) – spektakle, w których podejmował temat walki o wolność, jej kosztów i ambiwalencji.

Oglądając te przedstawienia miałem wrażenie, że są rozliczeniem z własnym zaangażowaniem, z bojową przeszłością. Ale Raczak nie przestał być też komentatorem aktualnych wydarzeń. Był chyba pierwszym twórcą, który zrealizował przedstawienie odnoszące się wprost do katastrofy smoleńskiej, jej przyczyn, skutków, potencjalnych znaczeń. Choć jego tytuł „Spisek smoleński" (2014) mógł wydawać się prowokacją, to spektakl był daleki od plakatowej jednoznaczności. Raczak nie przyznawał w nim racji wyłącznie jednej ze stron politycznego sporu, który wokół Smoleńska trwał. Szedł jak zawsze własną drogą.

Będąc twórcą języka scenicznego, który na długo ukształtował estetykę i politykę teatru studenckiego, w swoich dojrzałych przedstawieniach zdołał wzbogacić go w takim stopniu, że właściwie całkowicie go przekształcił. Nie da się jednak powiedzieć, że był reżyserem szczególnie cenionym – szanowany bardziej ze względu na dawne zasługi i autorytet, nie należał do tych, których przedstawienia przykuwają szczególną uwagę. Może dlatego, że zawsze obecny był w nich cień (blask?) teatralnych wiar lat 70. Naznaczone doświadczeniami bojowej kontrkultury, stawiały w centrum żywego człowieka reagującego całym sobą i zawsze jakoś zakorzenionego w utopijnej wspólnocie szlachetnego humanizmu, który dziś zbywa się ironią i zamienia w przewrotny mem.

Para-ra-ra

Pod koniec lat 70., wraz z coraz wyraźniej widocznym rozpadem systemu, maskowanym rosnącą falą represji, narastała niezgoda Raczaka na artystyczne i ideowe wybory Grotowskiego oraz na flirt, jaki nawiązał z władzami w drugiej połowie lat 70.

Eksplozja nastąpiła w jednym z najbardziej gwałtownych ataków w dziejach polskiego teatru: pamflecie „Para-ra-ra", który Raczak opublikował na łamach

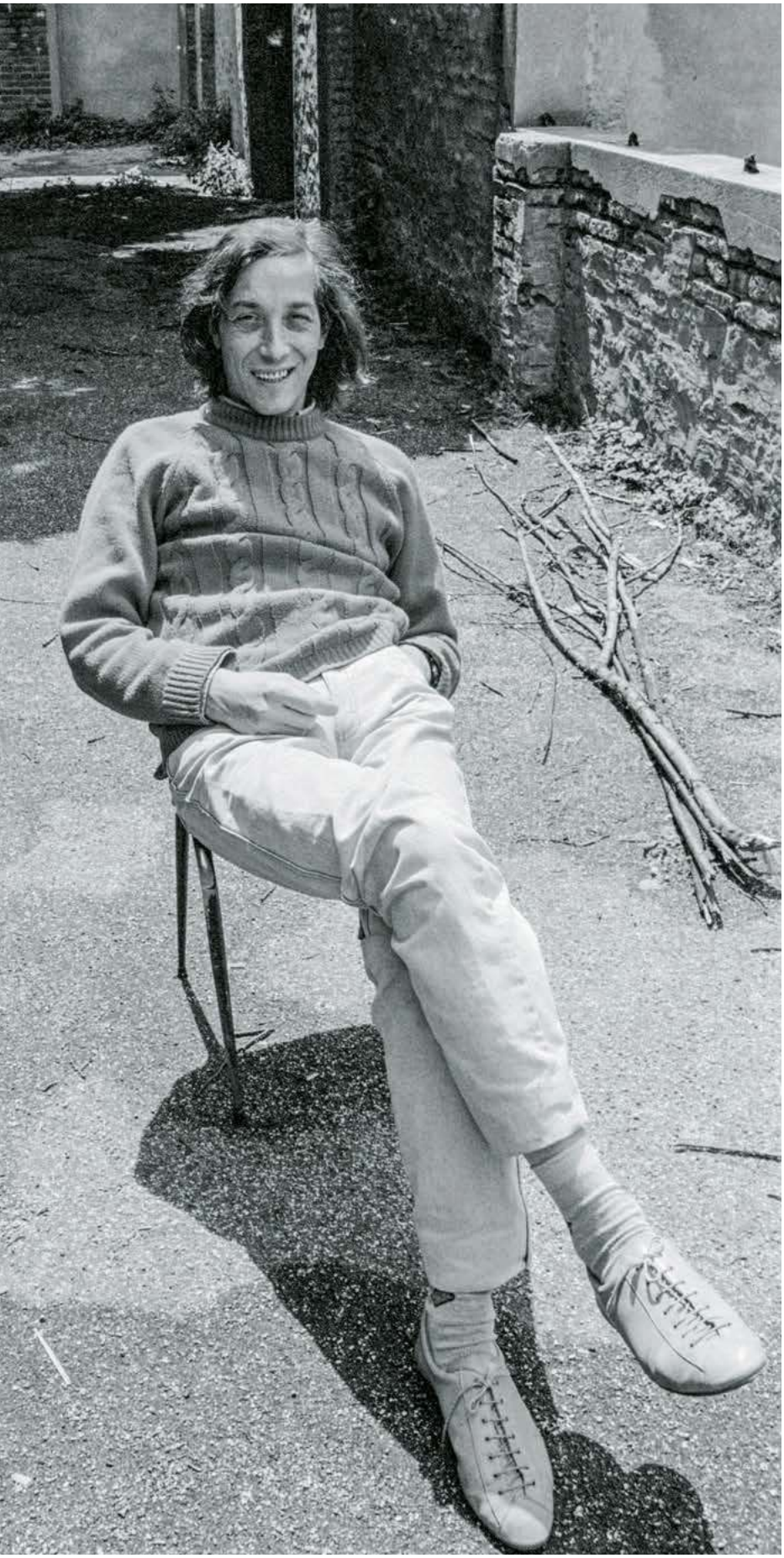

JOANNA HELANDER / OŚRODEK KARTA

Lech Raczak, Ferrara 1986 r.

„Dialogu" w lipcu 1980 r. Bezpardonowo zaatakował Grotowskiego realizującego wówczas (przy potężnym państwowym wsparciu) swój antropologiczny projekt Teatr Źródeł. Zarzucał mu eskapizm, ślepotę lub udawanie, że nie widzi, co dzieje się wokół, w kraju rozpadającego się gierkowskiego dobrobytu i „ścieżek zdrowia", które władza „ludowa" urządzała zbuntowanym przeciwko niej robotnikom.

Grotowski, idąc za swoją „pokusą główną", rzeczywiście poszedł wtedy na daleko idące kompromisy. W zamian za państwowe dotacje na swoje programy stał się twarzą potwierdzającą na świecie kulturalne zaangażowanie i artystyczną wolność, jaką mieli się jakoby cieszyć artyści w PRL-u. Jego wypowiedzi publikowała „Trybuna Ludu", a on i jego aktorzy otrzymywali państwowe odznaczenia. I ani słowem nie wspominali o represjach, jakie spotykały dawnych sojuszników.

Pamflet Raczaka jest pisany gniewem, ale i bólem. Jest jak głos przyjaciela, wychowanka, może nawet syna, który rzuca w twarz nauczycielowi i ojcu obłudę i zdradę. Jak pisał po latach Leszek Kolankiewicz, dla Grotowskiego był to atak szczególnie bolesny, bo napisany przez jednego ze „swoich", a opublikowany w miesięczniku, którego redaktorem naczelnym był ważny sojusznik i cieszący sie wielkim autorytetem krytyk, Konstanty Puzyna. Wypadki, które nastąpiły wkrótce, potwierdziły, że to oni mieli rację. Gdy wybuchła Solidarność, Grotowski z dnia na dzień znalazł się na marginesie polskiego życia zbiorowego. Po wprowadzeniu stanu wojennego opuścił Polskę.

Spór między Raczakiem a Grotowskim można sprowadzić do anegdoty o tym, że gdy za oknem sali, gdzie odbywa się próba, rozpoczyna się demonstracja, pierwszy wraz z całym zespołem dołącza do manifestantów, a drugi szczelnie zamyka okno. Anegdota jest wyrazista, ale zarazem upraszcza złożoną rzeczywistość. Grotowski był po roku 1956 jednym z liderów antystalinowskiego ruchu wolnościowego. Według świadectwa Karola Modzelewskiego władze uważały go za jednego z najbardziej radykalnych, „wściekłych" zwolenników demokratycznych zmian („Cywilizacja i wolność – nie ma innego socjalizmu" – to ↦

JOANNA HELANDER

„Ach, jak godnie żyliśmy", Teatr Ósmego Dnia, 1979 r.

jego hasło z tych lat). Potem, już w swoim Teatrze 13 Rzędów w Opolu, realizował przedstawienia o mocnej wymowie politycznej, atakujące degenerację systemu („Misterium buffo" według Majakowskiego, 1960) i bierność społeczeństwa („Kordian" według Słowackiego, 1962).

Jednak gdy na początku lat 70. porzucił teatr i rozpoczął działania w domenie kultury czynnej, łatwo było go oskarżyć – jak czynił to Raczak – o eskapizm, na dodatek wspierany przez władze, które uznały, że jego poszukiwania nie są politycznie niebezpieczne. Nie sądzę, by argument, że ich celem była przemiana społeczna tak głęboka, iż w zasadzie unieważniała sam fundament wszelkiej władzy, kogokolwiek wtedy (a i dziś) przekonał. Raczak i jego zespół prowadzili walkę jak najbardziej konkretną, nieopakowaną w teorie filozoficzne i antropologiczne. A choć Grotowski też ulegał sile wiary niesionej przez kontrkulturę, to Teatr Ósmego Dnia domagał się zmiany teraz, jasno nazywając zło dziejące się na tej ziemi. Grotowski, oddający cesarzowi, co cesarskie i zamiast rewolucji wskazujący na jakieś królestwo nie z tego świata, rozczarowywał. Wiem, że uruchamiana tu analogia może wydać się ryzykowna, ale sądzę, że jest jakoś prawdziwa i pokazuje, czego w istocie dotyczył spór. I jakie racje znajdowały się po obu, a nie tylko po jednej stronie.

Szydera jako unik

Marcin Liber w Teatrze Powszechnym nie przyznaje Grotowskiemu żadnych racji. Na scenie widzimy żałosną karykaturę Bossa (Michał Jarmicki) mówiącego okrągłe słowa i wykorzystującego znikotynizowanego „Rysia" (Andrzej Kłak), by zaprezentował w serii groteskowych „etiud" wcielone efekty swojej teorii. Wobec kronikarskiej narracji przedstawiającej wcześniej historię Ósemek ta scena jest po prostu demonstracyjnie zmanipulowana, począwszy od nieprawdziwych dat (cytowana wypowiedź pochodzi z 1964, a nie 1968 r.), a skończywszy na przypisaniu Grotowskiemu postaw, które w stanie wojennym były mu obce (decyzja o emigracji została ostatecznie podjęta po tym, gdy odmówił firmowania Kongresu Kultury, organizowanego przez władze stanu wojennego).

Być może te zafałszowania mają być właśnie takie: jaskrawo widoczne – ale podejrzewam, że większość widzów przedstawienia Libera nie ma pojęcia o biografii Grotowskiego i bezkrytycznie łyka obraz cwaniaczka, który mydli ludziom oczy opowiadaniami o gwiaz-

RADIO KRAKÓW

Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego".
Słuchaj nas w Małopolsce:
Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM
Krynica Zdrój – 102,1 FM
Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM | **www.radiokrakow.pl**

MAGDA HUECKEL / TEATR POWSZECHNY

„Ach, jakże godnie żyli", reż. Marcin Liber, Teatr Powszechny w Warszawie, 2020 r.

dach, by korzystać z dobrodziejstw reżimu. Ja wiem, że przedstawienie to nie jest tekst historycznoteatralny, a artysta ma prawo do takich radykalnych uproszczeń czy nawet karykaturalnych zafałszowań. I choć mnie najzwyczajniej boli tak niesprawiedliwe potraktowanie bliskiego mi twórcy (szczerze życzę Marcinowi Liberowi, by nikt go nigdy nie potraktował w taki sposób), to nawet nie o moje odczucia i zwyczajną uczciwość wobec kogoś, kto nie może się bronić, chodzi.

Chodzi o to, czym mogłoby być przedstawienie sporu między Raczakiem a Grotowskim, a czym ono u Libera nie jest. Podekscytowany możliwością dowalenia dawnemu idolowi reżyser likwiduje spór i chroni Teatr Ósmego Dnia, którego jest – jak sam wielokrotnie w przedstawieniu powtarza – dzieckiem, przed pytaniami trudnymi i ważnymi, które historii tego zespołu można, a nawet trzeba zadać właśnie w kontekście dyskusji Raczaka z Grotowskim.

Nie miał w sobie nic z legendy i nic z kombatanta. Gdyby ktoś nie wiedział, że to postać historyczna, uosabiająca jedną z najchwalebniejszych kart polskiego teatru i jego walki o wolność, może nigdy by się tego nie domyślił.

W przedstawieniu dużo mówi się o walce i represjach z lat PRL-u, ale zaledwie się muska to, co stało się z Ósemkami w latach 90. Liber oczywiście wspomina dramatyczny rozłam w zespole i odejście Raczaka, a w finale inscenizuje nawet swoje dziecięce marzenie o pogodzeniu „rodziców", ale nie stawia pytania o istotne przyczyny tego rozpadu, przyczyny przecież nie tylko artystyczne i charakterologiczne, ale dotyczące dokładnie tego samego sporu, który spowodował, że Raczak napisał „Para-ra-ra" i rzucił „ojcu" bolesne oskarżenie w twarz. Marcin L. mówiący w spektaklu dziecinnym głosem z offu najwyraźniej jeszcze do tego nie dojrzał i jest tylko w stanie inscenizować swoje naiwne marzenia o odzyskanej jedności rodzinnego domu. Nie mówi, czemu sam go opuścił. Nie opowiada o tym, co Ósemki robiły i robią w sytuacji odzyskanej wolności (a robią rzeczy ważne, warte przemyślenia także w tym, co wydaje się błądzeniem). Jednym słowem: nie sprostał wyzwaniu, któremu ↦

↦ sprostał Raczak. Zamiast oskarżenia narysował laurkę. Złośliwy los chciał, że mógł ją już tylko położyć na grobie.

Nieobecna rozmowa

Oglądając „Ach, jakże godnie żyli" zastanawiałem się, co sprawia, że ponad 20 lat po swojej śmierci właśnie Grotowski stał się ulubionym chłopcem do bicia polskich artystów teatralnych. Przedstawienie Libera to przykład skrajny, ale przecież nie jedyny. W tzw. środowisku lider Laboratorium funkcjonuje jako „czarny lud", oskarżany o kolejne grzechy, od mizoginizmu i patriarchalizmu, przez przemoc wobec aktorów i ich psychiczne niszczenie po służalczość wobec władzy. A przede wszystkim – o obłudę i dwulicowość.

Nie twierdzę, że Grotowski był kryształowy. Sam – ku oburzeniu jego dawnych przyjaciół – wypominałem mu zachowania i decyzje, które uznawałem za nieakceptowalne. Bo jednak Grotowski porzucał swoich dawnych najbliższych sojuszników i wołał, by oszukiwać sponsorów, nie dlatego, że był cyniczną świnią, ale dlatego, że szedł za czymś, co wydawało mu się warte tych wszystkich nieetycznych z naszej perspektywy zachowań. W tym sensie był radykalnie wierny sobie i tej wierności nie sposób mu odmówić, nawet jeśli nie uznaje się, że w swoich poszukiwaniach doszedł bardzo daleko, prawie do celu.

Wydaje mi się znamienne, że ta radykalność szukania jest tak całkowicie i z taką namiętnością przekreślana. Że to właśnie Grotowski tak uwiera, a nie ci, których można by podobnie atakować, a którzy już zostali ucukrowani i uleżeli się jak tytuń w swoich ośrodkach dokumentacji. Coraz częściej myślę, że dzieje się tak dlatego, że właśnie w Grotowskim polski teatr odczuwa i zarazem odsuwa coś, czego chciałby się bardzo wyrzec, podświadomie rozpoznając w tym wyrzeczeniu zdradę.

Nie dotyczyło to Lecha Raczaka, który po latach zdawał się rozumieć racje Grotowskiego. Dlatego choć nie wiem, o czym rozmawiali, gdy się spotkali, to jestem pewien, że była to rozmowa, której wśród podwórkowych naparzanek i humoru zeszytów szkolnych bardzo nam dziś brakuje.

© DARIUSZ KOSIŃSKI

Jeszcze nowsze terytoria

JAN BŁASZCZAK

Jako urodzony improwizator Wacław Zimpel nie lubi czuć się zbyt pewnie. Gdy w danej dziedzinie sukcesy przychodzą mu zbyt łatwo, zaczyna szukać gdzieś indziej.

Wacław Zimpel nie wyobraża sobie, że mógłby dziś grać to samo, co dziesięć lat temu. Bynajmniej nie dlatego, że wtedy grał źle. Przeciwnie, zespół Hera, któremu wówczas przewodził, znajdował się w absolutnej czołówce europejskiej sceny free jazzowej. Za każdym razem, gdy wracam do płyty „Seven Lines" (2013), jestem spokojny, że w tym stwierdzeniu nie ma odrobiny przesady. A jednak Zimpel nie nagrywa już z Herą, nie nagrywa już też free jazzu.

– Zależy mi na tym, aby muzyka, którą się zajmuję, cały czas się zmieniała, bo ja się zmieniam, bo świat się zmienia... – tłumaczy „Tygodnikowi" artysta. – Tyle że nie znaczy to zerwania z tym, co robiłem wcześniej. Wolę nadpisywać i rozszerzać w ten sposób spektrum, w którym mogę się wypowiadać.

Z tego też powodu Zimpel jeszcze w czasach Hery zainteresował się m.in. muzyką indyjską, japońską i marokańską, które to fascynacje znajdowały odbicie w jego koncertowych kooperacjach i nagraniach studyjnych. W tamtym okresie klarnecista zaczął również grać groove'y – chwytać puls nadawany przez perkusistę Pawła Szpurę i podążać za nim. Ma świadomość, że gdyby nie tamte próby, jego późniejsza muzyka nie byłaby w takim stopniu zorientowana na rytm, który stał się jedną z najważniejszych płaszczyzn nawiązujących do minimalizmu nagrań solowych oraz powołanego przez niego zespołu Lam. Ta mieszanka wcześniejszych doświadczeń zadziałała szczególnie dobrze na płycie „Lines" (2015), którą nagrał pod własnym nazwiskiem. Kompozytor połączył na niej minimalizm spod znaku Terry'ego Rileya z wpływami muzyki południowowschodniej Azji. Album ten zebrał świetne recenzje w polskiej i zagranicznej prasie. Nie tylko zresztą tej muzycznej, bo wywiad z Zimplem opublikował choćby „The New York Times".

„Lines" okazała się nowym otwarciem nie tylko ze względu na rozgłos, który zapewniła artyście wśród krytyków, promotorów i samych muzyków. Na płycie po raz pierwszy słychać – wówczas jeszcze bardzo delikatnie – wpływy muzyki elektronicznej. Począwszy od tego albumu Zimpel coraz śmielej wyglądał poza terytorium muzyki akustycznej. Wydane właśnie „Massive Oscillations" są dowodem na to, że artysta zapuścił się w ten świat zaskakująco daleko.

Ani kroku w tył

Zaskoczenia ostatecznym kształtem „Massive Oscillations" nie ukrywa sam Zimpel. Jego zadziwienie nie jest PR-owym zabiegiem, lecz dowodem na to, że zmiana narzędzi, jakimi się posługuje, nie zmieniła jego metody twórczej.

– Przede wszystkim jestem improwizatorem – mówi Zimpel. – Jeżeli nagrywam klarnet, to staram się, żeby jego linie były improwizowane. I tak samo jest w przypadku instrumentów elektronicznych – po prostu chcę na nich zagrać. Nie czuję się najlepiej, pracując myszką na ekranie. Oczywiście czasem to robię, ale baza, punkt wyjścia dla mojej muzyki musi powstawać poza decyzją. Wtedy czuję się swobodnie i jestem najbardziej produktywny.

Zimplowi było o tyle łatwiej wprowadzić tę filozofię w życie, że nad albumem pracował w holenderskim studiu Willem Twee, które słynie z olbrzymich instrumentów z lat 50. i 60. Wielkich maszyn wymagających nie tylko artystycznej wizji i wiedzy z zakresu muzyki elektronicznej, ale także – bliskiej instrumentaliście – pracy w czasie rzeczywistym: przełączania, przesuwania i ciągłego przechodzenia od urządzenia

do urządzenia. Dzięki temu Zimpel każdą z warstw albumu mógł nagrać na żywo: – W przypadku tych instrumentów pociągało mnie nie tylko ich brzmienie, ale także pewien rodzaj skupienia, którego one wymagają. Musisz być tu i teraz, żeby nad tym wszystkim zapanować. Na komputerze możesz wcisnąć klawisz „cofnij", tutaj nie masz takiej możliwości.

Składające się z czterech kompozycji „Massive Oscillations" są pierwszą płytą w dorobku artysty, która nie opiera się na brzmieniu klarnetu. Owszem, instrument ten pojawia się na płycie, ale tym razem nie jako wiodący głos, lecz akompaniament do elektronicznych struktur. Zimpel twierdzi, że zmiana ta była podyktowana intuicją. Impuls poprzedziły jednak setki godzin spędzone na zgłębianiu tajników produkcji muzyki elektronicznej. Przy czym artysta zastrzega, że sięgając po nowe narzędzia, wcale nie dąży do zdobycia pełnej kontroli nad materią, którą się zajmuje. Gdyby jego priorytetem był wykonawczy perfekcjonizm, pewnie wciąż rozwijałby swój pierwszy jazzowy zespół. – Jestem przekonany, że wirtuozowską płytą na klarnet nie dam ludziom tyle, co poszukiwaniem przestrzeni dźwiękowych na nieznanych mi terenach. Bo takie podejście jest mi bliższe, najbardziej szczere. Jako improwizator najlepiej czuję się, kiedy nie wiem, co się wydarzy i muszę reagować na bieżąco .

Z rozmachem

Nie mam wątpliwości, że „Massive Oscillations" nie powstały w jeden wieczór. A jednak, słuchając tej płyty, odnoszę wrażenie, że znów liczy się tylko tu i teraz. A przynajmniej bez takiego zanurzenia się w chwili trudno jest objąć rozmach muzyki Zimpla. Zasadzający się nie tylko na jej wielopłaszczyznowości, ale także na swobodzie, z jaką łączą się tu elementy z różnych etapów twórczości kompozytora.

Proces nagrywania tej płyty nie jest odległy metodom, którymi artysta posługiwał się w przeszłości. Także na poziomie czysto muzycznym słyszymy tu tropy, które kompozytor podejmował już wcześniej. Przede wszystkim w sposobie nakładania i przetwarzania kolejnych warstw i pętli Zimpel pozostaje w kręgu inspiracji minimalizmem. Artysta rozwija pomysły, które działały na „Lines", przy czym rozpiętość planów i liczba częstotliwości zajętych ↦

DAWID ZUCHOWICZ / AGENCJA GAZETA

↦ przez nakładane na siebie linie akustycznych i elektronicznych instrumentów jest jeszcze bardziej imponująca. W momentach kulminacji monumentalizm tych struktur przypomina raczej nagrania twórców gitarowego post-rocka. Tytuł „Massive Oscillations" nie kłamie – nowe kompozycje Zimpla potrafią przytłoczyć.

Wielowymiarowość tej muzyki przy jej jednoczesnej przejrzystości jest zapewne także zasługą Jamesa Holdena – rewelacyjnego producenta muzyki elektronicznej, który odpowiadał za zmiksowanie albumu. To w ogóle interesująca znajomość, ponieważ doświadczenie obu twórców idealnie się uzupełnia. Holden zaczynał jako złote dziecko muzyki klubowej, by przez etap fascynacji awangardową elektroniką przejść do nagrywania kompozycji czerpiących z tradycji afrykańskich i spiritual jazzu. Droga Zimpla jest niemal dokładnie odwrotna. Nic dziwnego, że mając tyle wspólnych muzycznych przestrzeni, artyści postanowili współpracować ze sobą w studiu (jeszcze w tym półroczu ukaże się album duetu Holden/Zimpel), jak i na scenie podczas koncertów powołanego przez Brytyjczyka zespołu The Animal Spirits, z którym występował Zimpel. Odnoszę wrażenie, że nie tylko sama znajomość z producentem, ale także jego albumy „The Inheritors" i właśnie „The Animal Spirits" odcisnęły piętno na solowym albumie polskiego artysty.

Co ciekawe, Holden nie jest jedynym producentem światowej sławy, którego warsztat mógł w ostatnim czasie podglądać Zimpel. Artysta, który na łono muzyki elektronicznej trafił relatywnie niedawno i z dość zaskakującej strony, może się już dziś pochwalić kooperacjami z Samem Shackletonem, Forest Swords czy Rabihem Beainim. Twórcami, którzy w ostatniej dekadzie wyznaczali trendy w bardziej eksperymentalnych rejonach muzyki elektronicznej. Co najmniej dwa z tych spotkań mają zaowocować wydawnictwami, widać więc, że Zimpel zdobywa tę scenę jeszcze szybciej, niż miało to miejsce w przypadku free jazzu. I dobrze, bo dzięki temu mamy szansę jeszcze kilkukrotnie usłyszeć go w elektronicznym wydaniu, zanim znów poczuje się zbyt pewnie i wyruszy w nieznane.

© JAN BŁASZCZAK

Bomba zegarowa

ANITA PIOTROWSKA

Kamera staje się w „1917" jednym z bohaterów. Wędruje przez okopy, czołga się w błocie, przedziera przez zasieki. Efekt jednego nieprzerwanego ujęcia pozwala zanurzyć się w wojnie, poczuć ją wszystkimi zmysłami.

Kiedy Sam Mendes, twórca dwóch ostatnich filmów o Bondzie, bierze się za wielkoformatowe kino wojenne, można spodziewać się dziarskiej akcji i fajerwerków. Kiedy za kamerą staje wielki Roger Deakins, autor zdjęć do filmów braci Coen i „Blade Runnera 2049", już wiadomo, że obrazy zamienią się w batalistyczny balet. „1917" spełnia te oczekiwania i to z nawiązką – hojną i oszczędną jednocześnie. Jeden z ważniejszych epizodów I wojny światowej zostaje przepisany na filmowy spektakl, który bardziej chciałby być indywidualnym i trzewiowym doświadczeniem niż zbiorowym obrzędem celebrującym bohaterstwo. Pozostaje gdzieś pomiędzy, za to w imponującym stylu, wykraczającym poza historyczny kontekst.

Brytyjski reżyser nie ukrywa osobistych związków z wydarzeniami z początku kwietnia 1917 r. na froncie zachodnim. Jego dziadek, pochodzący z Trynidadu Alfred Mendes, jako osiemnastolatek zaciągnął się do wojska. Jego wspomnienia stały się kanwą scenariusza napisanego przez wnuka wspólnie z Krysty Wilson-Cairns. Niedawna rocznica zakończenia Wielkiej Wojny przywróciła ekranową pamięć o tamtych czasach, by wspomnieć tylko złożony z archiwaliów pionierski dokument „I młodzi pozostaną" Petera Jacksona. Rzuciła też ostrzejsze światło na ludzki aspekt działań wojennych. W „1917" patrzymy więc na historię przerażonymi oczami dwóch brytyjskich szeregowców, którzy mają dostarczyć oddziałom po drugiej stronie linii frontu rozkaz generała powstrzymujący atak na Niemców. Ich rzekome wycofanie się okazuje się bowiem, dzięki zdjęciom lotniczym, zmyślną pułapką, w której zginąć może aż 1600 Brytyjczyków. Rozpoczyna się tak ulubiona przez kino walka z czasem. Szeregowi Schofield (George MacKay) i Blake (Dean-Charles Chapman), który ma szansę ocalić w ten sposób również życie swego starszego brata, muszą zdążyć z misją przed świtem, pokonawszy wiele najeżonych niebezpieczeństwami kilometrów.

Właśnie w organizacji przestrzeni i czasu kryje się mistrzostwo tego filmu. Sfotografowana wręcz naturalistycznie rzeczywistość okopowa, ze swoim brudem i smrodem, nudą i bezczasem, grozą i żołnierską głupawką, okazuje się bezpieczną przystanią w porównaniu z tym, co czeka bohaterów na zewnątrz. Każdy fragment ziemi niczyjej: pusta aż po horyzont łąka, porzucony przez „Helmutów" system bunkrów czy idylliczny wiśniowy sad, wygląda niczym ustawiona przez wroga złowieszcza scenografia, za którą czai się kolejna pułapka. Dookoła roztacza się na wpół martwy pejzaż, bury i zamglony. Te niezbyt malownicze warunki klimatyczno-przyrodnicze oddalają obraz Mendesa od typowego hollywoodzkiego landszaftu. Choć przecież, przy swej rzekomej powściągliwości, jest to film jak najbardziej „Oscarowy" – zwłaszcza w tym, co wyczynia stojący za obiektywem Deakins.

Kamera staje się tu jednym z bohaterów i niemal wraz z nimi oddycha. Wędruje przez okopy, czołga się w błocie, przedziera przez zasieki, kuli się przed nadlatującymi samolotami, daje się ponieść rwącej rzece... Efekt jednego nieprzerwanego ujęcia, jakkolwiek wspomagany komputerowo, pozwala widzowi zanurzyć się w wojnie, poczuć ją wszystkimi zmysłami. Tradycyjny język filmowy, złożony z cięć mon-

MONOLITH FILMS / MATERIAŁY PRASOWE

„1917", reż. Sam Mendes

tażowych, uczyniłby z „1917" jeszcze jeden konwencjonalny fresk wojenny, jak „Jarhead: Żołnierz piechoty morskiej" tegoż Mendesa czy „Przełęcz ocalonych" Mela Gibsona. Za to zbyt mechaniczne utożsamienie widza z kamerą groziłoby przemienieniem filmu w rzuconą na duży ekran „strzelankę pierwszoosobową". Mendes stara się uniknąć i tego ryzyka, choć chwilami film przypomina bieg z przeszkodami albo grę komputerową z gatunku *survival*.

Reżyser pragnie, abyśmy na własnej skórze poczuli każdą upływającą sekundę i jej ciężar. W wywiadach odwołuje się nawet do swych doświadczeń z teatru, gdzie przedstawienie musi za każdym razem budować swój rytm i tempo, pracując niejako „w jednym ujęciu". Jego najnowszy film miał być właśnie taki – niczym bomba zegarowa tykająca w czasie rzeczywistym. Nie chodziło jednak wyłącznie o to, by była adrenalina, szrapnele świszczące tuż nad naszymi głowami, grzebanie się w gnijących bebechach, czyli o czysty hiperrealizm. Mendes, tworząc wysokooktanowe widowisko, zarazem dystansuje się wobec niego – rozmach i minimalizm, ambicja i pokora idą tutaj w jednym szeregu. Najważniejsze, że samemu filmowi, choć dedykowany jest bohaterom, daleko do tromtadrackiej bohaterszczyzny. Jest on nade wszystko pochwałą odwagi rozumianej skromnie: jako odpowiedzialność. Na froncie „1917" tradycyjne pojęcia: męskość czy męstwo, wymagają przedefiniowania. Zwykły uścisk dłoni znaczy czasem więcej niż szerokie gesty. Szczęki młodziutkich towarzyszy broni częściej zaciskają się od tłumionego szlochu niż z nienawiści wobec wroga. Okazuje się, że czasami warto zrobić krok do tyłu, zamiast prężyć muskuły, a biologiczne przeżycie może mieć większy sens aniżeli ofiara z życia.

Najbardziej apokaliptyczna, wręcz abstrakcyjna wizualnie sekwencja „1917" rozgrywa się nocą w zbombardowanym i prawie wyludnionym mieście. Kiedy szeregowiec Schofield błądzi pośród rozświetlonych łunami ruin (Deakins posiłkuje się tu obrazami z „Dziecka wojny" Andrieja Tarkowskiego), spotyka przerażoną dziewczynę z niemowlęciem – wątły znak normalności w tym krajobrazie po bitwie. Niechaj ta scena pozostanie puentą dla filmu, który mając na podorędziu całą machinę kina wojenno-przygodowego, wszelkie możliwości techniczne oraz fabularne nieprawdopodobieństwa, potrafi przemówić ściszonym głosem. I pyta, przy wtórze tęsknej pieśni gospel i wiersza Edwarda Leara, o cenę tego wszystkiego. Albowiem obcy jest Mendesowi zarówno naiwny pacyfizm, jak i hałaśliwy triumfalizm. Jego film pokazuje, ile waży odwaga, ale też rozsądna strategia – ile „mięsa armatniego" można dzięki niej zaoszczędzić. Bo nie zawsze wystarczy nam korzystny splot okoliczności i wola życia. ©

1917 – *reż. Sam Mendes. Prod. USA/ /Wielka Brytania 2019. Dystryb. Monolith Films.*

WARTO ZOBACZYĆ W TV [30 I – 7 II]

1. Synowie Danii

Sensacyjny, reż. Ulaa Salim, Ale kino+, 30 I, 20.10, 2 II, 22.00

W niedalekiej przyszłości atak terrorystyczny spowoduje dojście do władzy duńskiej partii ultranacjonalistycznej. Tę sytuację oglądamy z perspektywy arabskiego chłopaka, który również ulega radykalizacji, stając się częścią błędnego koła manipulacji i przemocy. Film był zwycięzcą ostatniego festiwalu Off Camera.

2. Van Gogh. U bram wieczności

Biograficzny, reż. Julian Schnabel, Francja/ /Szwajcaria/Irlandia/ /Wielka Brytania/USA 2018, Canal+ Film, 4 II, 20.00

Nikt nie potrafi zrozumieć artysty tak dobrze jak drugi artysta. Schnabel, malarz, rzeźbiarz i filmowiec w jednej osobie, tworzy obraz daleki od typowego biografizmu. Rozdrgana kamera zdaje się naśladować ruchy pędzla, a charyzmatyczny Willem Dafoe jest tu bardziej vangoghowski od swego pierwowzoru.

3. Jutro albo pojutrze

Dokumentalny, reż. Bing Liu, USA 2018, vod.pl

Jeden z najlepszych dokumentów ostatnich lat, nominowany w zeszłym roku do Oscara, to coś więcej niż opowieść o subkulturze deskorolkowców. Chłopak z pozbawionego perspektyw miasteczka w stanie Illinois filmuje przez lata siebie, swoich kumpli i krewnych, tworząc przejmujący portret dorastania i codziennej rzeczywistości mieszkańców „Pasa Rdzy".

4. Pororoca

Dramat, reż. Constantin Popescu, Rumunia 2017, HBO GO

Wielbiciele nowego kina rumuńskiego mogą nadrobić zaległości. Kiedy z placu zabaw znika nagle dziecko głównego bohatera, życie przeciętnej rodziny z klasy średniej zostaje poddane najcięższej próbie. Niepokazywany w polskich kinach film z każdą minutą (a liczy ich aż 152) buduje klimat desperacji i grozy.

Lektor:
Dziewięć opowiadań

▪ *Joanna Rudniańska*
RURU
Z ilustracjami Mateusza Kaniewskiego. Nisza, Warszawa 2019, ss. 190.

Wydać dwie świetne książki jednego roku? Niemożliwe – a jednak Joannie Rudniańskiej się udało. Na początku minionego roku ukazały się „Sny o Hiroszimie" – misternie skonstruowana wielowątkowa powieść, w której splot pojedynczych losów ma za tło wielkie zbiorowe katastrofy, akcję zaś śledzi się niby thriller. W grudniu dostaliśmy z kolei zbiór dziewięciu opowiadań, każde próbujące nieco innej formy narracji i innej perspektywy. Często jest to perspektywa dziecka, które nie potrafi jeszcze odczytać sensu widzianych wydarzeń, ale okazuje się nadzwyczaj spostrzegawczym obserwatorem i znakomitym medium przekazującym klimat czasu, w którym te wydarzenia się rozgrywają. Tak jest w krystalicznie przejrzystym i budzącym dreszcze obrazie schyłku stalinizmu w „Panu Popowiczu", gdzie cała akcja skupia się w jednej warszawskiej kamienicy. „Ja jestem czarna i woda jest czarna" zrazu wydaje się tylko wspomnieniem inicjacji seksualnej bohaterki, ale szybko przemienia się w wyraziście naszkicowany obraz Marca '68 jako niepojętej katastrofy rujnującej dotychczasową tożsamość polsko-żydowskiej rodziny.
„Trawy" i „Wystawa" pokazują, że na kilku stronach można dzięki wehikułowi, jakim jest obraz, połączyć odległe miejsca i czasy: łagier nad Wołgą i Paryż, ostatnie przedwojenne wakacje ze Starym Doktorem i współczesny Izrael. „Gwiazdka Dawida" to nieco sentymentalna opowieść wigilijna o niespodziewanej wyprawie młodego Izraelczyka do nieznanej rodziny w Warszawie. Zupełnie inny ton znajdziemy w halucynacyjnym monologu narratorki „RuRu", tytułowej (i zamykającej tom) czarnej baśni opartej na faktach.
I jeszcze mój ulubiony „Dom w Marakeszu": w słabnącej świadomości starej architektki zaciera się granica między realnością, w której syn oddaje ją do ponurego domu opieki, a wspomnieniem marokańskiego raju, gdzie zaprojektowała swoje najlepsze dzieło i spotkała miłość. Teraz odebrano jej wszystko, co trzymało ją przy życiu, kocha ją już tylko wnuk, a dwie szkolne koleżanki komentują wydarzenia niczym grecki chór...
Jest w opowiadaniach Rudniańskiej coś, co każe do nich kilkakrotnie powracać, szukać niedostrzeżonych wcześniej znaków i nawiązań. Jest też frapujące połączenie złudnej idylli i realnej grozy. Mateusz Kaniewski dał im zaskakującą i znakomitą oprawę graficzną. Bierzcie więc, czytajcie i patrzcie! ©℗

BOOK'S NOT DEAD
– TU SIĘ DOBRZE CZYTA

Zacznij przygodę z literaturą, która dotąd była dla Ciebie obca
Bądź na bieżąco z premierami książkowymi
Dyskutuj o ulubionych autorach
Dziel się emocjami
Dołącz do grupy Czytelniczek i Czytelników na **powszech.net/bnd**

TYGODNIK POWSZECHNY
Book's not dead

ŁAMIEMY ZASADĘ, ŻE O GUSTACH SIĘ NIE DYSKUTUJE

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

PAWEŁ

Bravo: *Bliskość, butelka, barman*

Zakochujemy się od pierwszego wejrzenia – nawet jeśli tak naprawdę będzie dziesiąte, to język ma swoją mądrość i nie trzeba mu przeczyć: przyciągamy wpierw przez oczy. Słuchem posługujemy się, by odbierać słowa – mówione, nie pisane – które pieczętują więź. Węch, zmysł dziś wypchnięty poza nawias, oszukiwany feerią perfumeryjnych bodźców, zapewnia związkom trwałość, jaką może dać tylko zwierzęce wyczucie dopasowania genów. O smaku wiele się nie mówi publicznie w tym kontekście, bo jest kluczem do intymności i dobrze, niech pozostanie w dyskrecji. Lecz biada temu, kto by go lekceważył; kto nie wie, co to znaczy zjeść człowieka.

A jednak to dotyk pierwszy przychodzi do głowy, kiedy pytamy o emblemat bliskości, o symbol więzi z drugim, która wykracza poza ramy rynku z jego tysiącem transakcji i poza role społeczne. Symbol dwuznaczny. Za tzw. zły dotyk, za nietrzymanie łap przy sobie, są w prawie konkretne paragrafy, wciąż lekceważone w praktyce. Dotyk jest najtrudniejszy do oszukania i najbardziej ryzykowny. Najprościej go więc odciąć. A potem całą resztę kontaktu przez inne zmysły, tak będzie bezpieczniej i sprawniej, aplikacja się wszystkim zajmie.

Myślę o tym, ilekroć jadę Uberem. W tej przejściowej formie transportu kierowca jest li tylko bezmyślną wkładką mięsną do technologii. Kiedy wkrótce upowszechnią się autonomiczne samosterowne samochody, problem tego kłopotliwego bioogniwa zniknie. Równolegle będą wymierać ostatni z pokolenia, które lubiło rozmowę z taksówkarzem – za to może upowszechni się przykład ze Sztokholmu, gdzie dostępna jest specjalna usługa niby-terapii w niby-taksówce: płacisz, nie jedziesz donikąd konkretnie, tylko gadasz.

20 lat temu futurolog John Nesbitt rozróżniał elementy codzienności naznaczone dwoma rozjeżdżającymi się trendami: *high tech* i *high touch*. Zaawansowana technologia albo zaawansowany dotyk, czyli kontakt osobowy. Jego książka z końcówki lat 90. opowiada o telefonach Nokii z wymienną obudową, mandarynkowych iMacach, pagerach, a prozac jest u niego nowinką – ale to niczego nie unieważnia. Śmiejąc się ze „staroci" sprzed dwóch dekad, uświadamiamy sobie, jak przyspieszyły opisywane procesy. Zapośredniczenia wszystkiego przez technologię i równoległego rozwoju pigułek – tych z apteki i tych „duchowych" – które mają nam zapewnić moment wytchnienia od tak skażonego świata.

Postęp sztucznej inteligencji zjada właśnie jeden z bliskich mi zawodów, czyli tłumaczenia. A teraz zaczynam się bać o kolejne swoje zajęcie, w którym *touch* łatwo da się zastąpić przez *tech*. Spieszmy się gadać z barmanami, tak szybko mogą odejść. W niektóre wieczory staję za barem w pewnym lokalu z winami na Kazimierzu, łaknę tego rodzaju zmęczenia i bodźców. W krótkich chwilach przestoju można polerować kieliszki i oddać się namysłowi: czyż nie istnieją już maszyny zasysające igłą wino, tłoczące do opróżnianej stopniowo butelki argon, co blokuje utlenianie? Mogłyby zamiast niepewnego człowieka rozlewać z dokładnością do ułamków mililitra. A system bezosobowego zamawiania przez ekran dotykowy działa już bez zarzutu w każdym fast foodzie.

Na takim ekranie zmieści się więcej informacji, niż barman zdąży powiedzieć, dopóki gość ma cierpliwość słuchać. Część opisów wina, bądźmy szczerzy, to marketingowe gadu-gadu – prawie każde wino smakuje trochę porzeczką, trochę wiśnią i jeśli leżało w dębie, to czuć wanilię, skórę i cedr... ale niewiele to mówi o jednostkowym doświadczeniu picia. Ale można też ładnie rozpisać bardziej obiektywne dane, jak ogólną i lotną kwasowość, cukier resztkowy, a także istotne dla języka parametry, jak budowę, koncentrację, garbniki, czyli tak naprawdę ogólny styl wina i jego charakter. A do tego jeszcze gwiazdkowy ranking z internetów, bo mądrość stada nie może się mylić. Coraz częściej zresztą gość po wejściu skanuje etykiety aplikacją Vivino. Zamiast zagadać do mnie, woli uśredniony ranking pochodzący od głównie amerykańskich konsumentów i parę skrótowych opisów stworzonych przez nie wiadomo kogo, nie wiadomo w jakim nastroju.

Wprawny barman z dobrym okiem potrafi lepiej dopasować wino do człowieka i chwili na podstawie wyczucia albo paru pytań: wolą państwo secesję czy bauhaus? To dla pani wieczór wspomnień czy oczekiwań? Jak długi jest pański jaguar? Ale to wymaga zaufania, zgody na moment niemal intymnego kontaktu. Wiem, że coraz rzadziej ktoś mi powie: weź nalej, co uważasz. No i na co mi będzie cały *high touch?* Chyba żeby siebie obsłużyć, kiedy ostatni gość wyjdzie. Flaszkę na dobranoc wybieram sobie bez pudła. ©℗

ADOBE STOCK

Po długiej zmianie dobrze jest przyjąć coś ciepłego, ale niezbyt ciężkiego, co syci raczej przez skojarzenie. Dla mnie taką „oszukaną" nieco potrawą jest lasagna light, bez beszamelu i bez mięsa (które zastępuje wędzony ser). Podgrzewamy na wolnym ogniu na oliwie 1 posiekaną szalotkę, wlewamy ok. 500–600 ml dobrego przecieru pomidorowego, dusimy pod przykryciem pół godziny, na koniec dodajemy parę listków bazylii. Odkładamy trochę sosu na bok, do reszty dodajemy 500 g ricotty i 100 g parmezanu, mieszamy. Na dno brytfanki wylewamy cienką warstwę sosu pomidorowego, potem dajemy płaty lasagni (zwykle chwilę je obgotowuję), na to sos z ricottą oraz garść startego na grubej tarce sera wędzonego – najlepiej, gdy to jest włoska scamorza, ale rolada ustrzycka też ujdzie. Kładziemy tak 3–4 warstwy, na wierzch sos pomidorowy i tarty ser. Pieczemy w 180 stopniach tak długo, aż się dobrze zrumieni, czasem warto na początek przykryć folią aluminiową, żeby za szybko się od góry nie spaliło.

HIACYNTOWA DZIEWCZYNA

W sali seminaryjnej działu zbiorów specjalnych w Princeton bibliotekarze Don Skemer i John Logan stanęli za stołem pełnym drewnianych skrzyń, dzierżąc przecinaki do metalu. I się zaczęło.

MAGDA HEYDEL

Na początku 2020 r. w czytelni zbiorów specjalnych Firestone Library Uniwersytetu Princeton zasiedli pierwsi szczęśliwcy, którzy przeczytają najdłużej chroniony i budzący w ostatnim półwieczu największe emocje zbiór korespondencji – listy Thomasa S. Eliota do Emily Hale. Poeta, którego twórczość wywarła zasadniczy wpływ na rozwój literatury w XX wieku, a także na sposoby jej odbioru i rozumienia, przez niemal trzydzieści lat pisał listy do szerzej nieznanej panny Hale.

Pochodziła z Bostonu i podobnie jak Eliot wywodziła się z tradycyjnego nowoangielskiego środowiska. Z zawodu była instruktorką sztuki dramatycznej, z zamiłowania aktorką i wielbicielką teatru, ze zrządzenia losu – młodzieńczą miłością i wieloletnią powierniczką jednego z najważniejszych twórców literatury nowoczesnej. Eliot napisał do niej więcej listów niż do kogokolwiek innego: w otwartej właśnie kolekcji jest ich 1133, z czego, jak skrupulatnie wylicza eliotoložka Lyndall Gordon, 1131 nikt poza adresatką dotąd nie czytał.

Jako pierwsza ślad obecności Hale w życiu Eliota odkryła w 1973 r. Helen Gardner. Doszła do wniosku, że w 1934 r. Emily towarzyszyła poecie w wyprawie do Burnt Norton, otoczonego ogrodem pałacu w Gloucestershire, który stanowił tło i dał tytuł pierwszemu z czterech późnych poematów Eliota. Jednak dopiero Gordon, w latach 70. doktorantka pracująca nad datowaniem wczesnych utworów przyszłego noblisty, w swoich publikacjach, zwłaszcza w biograficznych książkach o poecie, podkreśliła istotne znaczenie Emily Hale w życiu i dziele Eliota.

Pod podszewką

Poznali się u kuzynki Eliota w Cambridge, Massachusetts, w 1912 r., kiedy przyszły noblista studiował filozofię na Harvardzie. W 1914 r. Eliot wyjechał do Anglii, gdzie po kilku miesiącach niespodziewanie ożenił się z Vivienne Haigh-Wood. Związek z praktycznie mu nieznaną Vivienne, która, jak się okazało, cierpiała na zaburzenia psychiczne, stał się dla obojga uwięzionych w nim ludzi tragedią. Traumatyczne małżeństwo trwało 17 lat; w tym czasie powstały największe arcydzieła wczesnego okresu twórczości poety. Słynna scena nerwowej nocnej rozmowy, gdy do drzwi dobija się wiatr w poemacie „Ziemia jałowa" (1922), to portret Vivienne. W tym samym poemacie mamy jednak również tchnący łagodnością obraz hiacyntowej dziewczyny, przy której można wejrzeć „w serce światła, w ciszę". To, jak można sądzić, wizerunek Emily.

W całym dziele Eliota, zarówno w poematach, jak i w sztukach teatralnych, powstałych po 1939 r., wielokrotnie pojawiają się postaci kobiece, które mają w sobie nieuchwytność, jakby były nie całkiem z tego świata, oddalone albo oddalające się, obiecujące wielkie spełnienie i szczęście, jednak ich obietnica nigdy nie może się spełnić.

Listy, na które trzeba było czekać ponad 50 lat, przynoszą nie tylko masę fascynującego i ekscytującego materiału biograficznego, ale także nowe klucze do dzieła, które wydawało się już przeczytane jak mało które. Twórczość Eliota przez kilkadziesiąt lat porywała czytelników, imponując nowoczesną formą, dyscypliną myślową i nowatorskim modelem wypowiedzi poetyckiej; później zaczęła irytować suchością, celebralnością i sterylnością, brakiem wszystkiego tego, co zbyt ludzkie i zbyt cielesne, a zatem wszystkiego, co mogłoby zszargać reputację zapiętego na ostatni guzik stylu i ego poety. Do tego doszły interpretacje pokazujące antyse-

Emily Hale i Thomas S. Eliot, 1946 r.

PRINCETON UNIVERSITY

mityzm i mizoginię tej poezji oraz ujawnienie nieprzyjemnych aspektów biografii jej autora. Na przełomie wieku Eliot został strącony z piedestału.

Zarówno w tych korektach wizerunku, jak i w oczekiwaniach, z jakimi czytelnicy podchodzą do archiwum Emily Hale, słychać wcale nie tak cichy chichot historii: twórczość Eliota, na straży której przez długi czas stały poglądy krytyczne, sformułowane przez samego poetę i wzmocnione przez jego wyznawców, stanowi najwyższe osiągnięcie tak zwanej poezji bezosobistej. Wiersz, powiada Eliot, ma być nie osobistą wypowiedzią, ale „zwornikiem przedmiotowym" (*objective correlative*), dzięki któremu czytelnik doświadcza przeżycia, które powołało ów wiersz do istnienia. „Zwornik" nie może mieć i nie ma związku z życiem autora: zadaniem artysty jest wyzbycie się siebie i własnej osobowości. Doktryna Eliota to jeden z fundamentów szkoły czytania w oderwaniu od pozatekstowego horyzontu, w skupieniu na utworze jako samoistnej przestrzeni znaczeniowej.

Listy do Emily Hale – można to stwierdzić już na podstawie tego, co dziś o nich wiemy – odsłaniają podszewkę tej surowej i zimnej ideologii pisarsko-lekturowej.

Otwieranie skrzyń

„14 października po południu, na oczach niewielkiej grupki zebranej w sali seminaryjnej działu zbiorów specjalnych, bibliotekarze Don Skemer i John Logan stanęli za stołem pełnym drewnianych skrzyń, dzierżąc w dłoniach przecinaki do metalu – przeczytać można na stronach internetowych biblioteki uniwersyteckiej w Princeton. – Wspólnie rozpoczęli przecinanie mosiężnych taśm spinających skrzynie, a o blat zaklekotały drewniane listwy. Oto ukazały się pudełka zawierające listy, w których zawarte są odpowiedzi na najbardziej intrygujące zagadki modernizmu: ukryty dotąd w Princeton skarb".

Listy czekały w skrzyniach od 1956 r., kiedy to Hale ofiarowała je uniwersytetowi pod warunkiem, że zostaną ujawnione dopiero po 50 latach od śmierci obojga korespondentów. Eliot zmarł w 1965 r., Hale – w 1969 r. Cenne archiwum trafiło do Princeton w stanie imponująco kompletnym: adresatka zachowała koperty ze znaczkami, dzięki czemu można nie tylko precyzyjnie datować ↦

↦ listy, ale też zobaczyć, skąd zostały wysłane, jak długo szły z Anglii do Stanów Zjednoczonych oraz ile czasu mijało między napisaniem listu a jego nadaniem. Niemal połowa była złożona w kopertach. W kolekcji znalazły się także fotografie i inne druki ulotne. Pełny zasób zostanie opisany w miarę rozpoczętych 2 stycznia tego roku badań. Dzięki digitalizacji, jakiej dokonano od października, są dostępne bez niebezpieczeństwa zniszczenia oryginałów.

DOMENA PUBLICZNA

Emily Hale, zdjęcie niedatowane

Jedną z czytelniczek archiwum jest Frances Dickey, która na stronie T.S. Eliot Society codziennie zamieszcza sprawozdanie z kolejnego etapu lektury – te znakomite opracowania są chyba najlepszym dostępnym obecnie źródłem wiedzy o zawartości skrzyń, która do 2035 r. jest chroniona prawem autorskim. Dickey streściła znajdującą się także w archiwum historię znajomości z Eliotem, napisaną przez Hale. Stąd np. wiemy, że w 1914 r., przed wyjazdem do Europy, Eliot wyznał jej miłość, choć nie zaproponował małżeństwa. Kiedy spotkali się po latach, jak pisze Hale, uczucie poety nie zmieniło się, a jego list, rozpoczynający w 1930 r. korespondencję, jest listem miłosnym. W 1932 r. mieli okazję zobaczyć się w Kalifornii, kiedy Eliot przebywał w USA. Regularnie spotykali się w Anglii od czasu, gdy żona Eliota Vivienne trafiła do zakładu – pojawia się wspomnienie wyprawy do pałacu w Burnt Norton i poemat, który, jak pisze Hale, był dedykowanym jej wierszem miłosnym. Dwa wspomniane w jej narracji bolesne momenty pokazują zaskakująco nieprzyjemne oblicze Eliota. Po śmierci Vivienne nie zaproponował Emily małżeństwa, czego nie mogła zrozumieć, ale co zaakceptowała jako jego wybór. Nie przerwało to korespondencji ani spotkań. Jednak kiedy potajemnie przed wszystkimi, nawet przed najbliższymi przyjaciółmi, w 1957 r. poślubił swoją wieloletnią sekretarkę Valerie Fletcher, relacje z Hale kończą się całkowicie i nieodwołalnie.

Otwieranie koperty

Równolegle z otwieraniem skrzyń w Princeton na Uniwersytecie Harvarda dokonano może mniej spektakularnego, ale równie ważkiego aktu otwarcia koperty zdeponowanej tam w 1963 r. przez Valerie Fletcher-Eliot. Koperta zawiera wskazówki dla spadkobierców oraz list Eliota, który jest komentarzem do archiwum Hale, napisanym na wiadomość o tym, że korespondencja trafiła do Princeton. Zgodnie z wolą poety list został upubliczniony w chwili udostępnienia kolekcji. Prywatne papiery Eliota przechowywane w Harvardzie nadal częściowo podlegają restrykcjom ustalonym przez samego poetę, a potem przez wdowę po nim. Uzasadniając swoją decyzję, poeta pisał do opiekującego się jego archiwum Williama Jacksona: „Listy napisane wiele lat wstecz i być może wręcz zapomniane, mogą zostać źle zrozumiane przez takich ludzi [tzn. studentów i badaczy – MH], zresztą nie widzę żadnego powodu, żeby mieli grzebać w czyjejś prywatnej korespondencji".

Podobnym tonem rozbrzmiewa dokument dotyczący listów do Hale. Skoro, pisze Eliot, panna Hale z Massachusetts popełniła tak nierozważny krok i przekazała jego listy bibliotece, a co więcej, dodała do nich własny opis ich znajomości, to i on ma prawo do wygłoszenia takiego komentarza. Licząc na to, że wszystko to wydarzy się rzeczywiście 50 lat po jego śmierci, poeta zastrzega jednak, że gdyby wydarzyło się wcześniej, list ma zostać niezwłocznie przedstawiony do wiadomości publicznej.

Już nad tymi suchymi uwagami unosi się niewątpliwy zapaszek strachu i wstydu. W trzystronicowym liście-oświadczeniu od tej woni, wymieszanej z innymi, jeszcze mniej nadobnymi, robi się wręcz duszno. Co takiego chce wielki poeta u schyłku życia powiedzieć o związku, który przez długie lata zapewniał mu wsparcie duchowe, a w niektórych okresach wręcz dawał szczęście? Jak opowiada o kobiecie, której wyznał miłość, nie składając przy tym wobec niej żadnych zobowiązań i którą porzucił bez gestu lojalności?

Spowiedź zza grobu

„Konieczność napisania tego, co następuje, napawa mnie bólem" – zaczyna Eliot. Pisze, że trudno jest dokonać osobistych wyznań nawet w konfesjonale. Ten przejmujący, choć i nieco żenujący list do potomności jest poniekąd spowiedzią, przeniknięta – co wszak nie takie rzadkie – elegancką, a jednak niewątpliwą potrzebą użalania się nad sobą oraz szukania usprawiedliwień i winy w innych. Czytając go trudno nie poczuć ulgi na myśl, że wola wszystkich bohaterów została należycie uszanowana i Emily Hale nie musiała nigdy spojrzeć na siebie w krzywym zwierciadle tego dopisku do korespondencji, w której rozgrywało się między tą dwójką uczucie intensywne, prawdziwe i ważne.

Wiadomość o tym, że Hale zamierza przekazać archiwum, była dla Eliota, jak czytamy w liście zza grobu, przykrą niespodzianką, która odkryła przed nim rzeczywiste powody, dla których listy te zostały przez adresatkę zachowane. „»Autografy Jeffreya Asperna« na opak"– dorzuca okrutnie, a aluzja do znanej noweli Henry'ego Jamesa sugeruje, że były to motywy niskie. Streszczając dzieje swojego uczucia („Zakochałem się w Emily Hale w 1912 (...) Nie miałem żadnego powodu, by sądzić (...) że moje uczucia zostały odwzajemnione"), bardzo szybko zaczyna mówić o małżeństwie z Vivienne i własnym rozwoju poetyckim pod wpływem Aikena i Pounda w Anglii, gdzie, jak pisze, „nawet w czasie wojny" był szczęśliwszy niż w Ameryce. Małżeństwo okazało się pomyłką, ale wynikło z niedojrzałości i nieśmiałości samego Eliota oraz sugestii Pounda. Vivienne nie doświadczyła w tym związku szczęścia, podsumowuje Eliot, a jego samego wprawiło ono w stan, z którego wynikła „Ziemia jałowa". I – dorzuca – uratowało przed małżeństwem z Emily Hale. „Emily Hale zabiłaby we mnie poetę; Vivienne niemal zabiła mnie, ale podtrzymała życie poety" – stwierdza i dodaje, że z perspektywy czasu uważa ów koszmarny okres za znacznie lepszy wybór niż los „przeciętnego nauczyciela filozofii – bo taka była alternatywa".

Pisząc o spotkaniach z Hale w latach 30., a potem także po śmierci Vivienne (1947), Eliot wyznaje, że zdał sobie wtedy sprawę, iż nie kocha żywej kobiety, a tylko wspomnienie sprzed lat; że z żywą Emily niewiele go łączy: „dostrzegłem

już wcześniej, iż nie była miłośniczką poezji, a z pewnością nie interesowała jej moja poezja; martwiły mnie wyraźne dowody niewrażliwości i złego smaku z jej strony. Zabrzmi to być może zbyt okrutnie, ale sądzę, że ceniła raczej moją reputację niż dzieło. Być może kochała mnie na miarę swojego pojęcia miłości".

Nie da się ukryć – brzmi to okrutnie, zwłaszcza wobec przytoczonych zaraz dowodów: Emily więcej liczyła się ze zdaniem swojego wuja-ramola i to nie krewnego, tylko powinowatego (takie szczegóły tu poznajemy!), niż ze zdaniem Toma w sprawie przyjmowania przez nią jako unitariankę komunii w Kościele anglikańskim. Gdyby mnie kochała, pisze Eliot, uszanowałaby moje uczucia, jeśli już nie poglądy teologiczne, i zaprzestała tego „szokującego mnie" działania oraz zmieniła poglądy w sprawie chrześcijańskiego i katolickiego podejścia do rozwodów. W takim właśnie kontekście pada najczęściej cytowane przez media zdanie tego dokumentu: „nigdy nie miałem żadnych stosunków seksualnych z Emily Hale".

Czytane dzisiaj wyznanie to jest i śmieszne, i straszne. Nawet gdyby – przyjmując perspektywę maksymalnie korzystną dla Eliota, choć nieszczególnie przekonującą – założyć, że w ten sposób chciał zadbać o jej „cześć" i „dobre imię", trudno wyobrazić sobie bardziej brutalne obnażenie prywatności obojga korespondentów i budzącą większą odrazę trywializację tego, co ich łączyło. Czyli to ma być najważniejsze? To ma nas interesować? O to, z kim poszedł do łóżka, mamy się martwić, kiedy otwiera się przed nami tak bogate archiwum? To nie huk, to skamlenie... Tak oto posągowy Eliot, twórca doktryny poezji bezosobowej, autor poematów uznawanych za najwyższe osiągnięcia XX-wiecznej liryki filozoficznej, dokonując tej publicznej quasi-spowiedzi, będącej zarazem jakże żałosnym samousprawiedliwieniem, schodzi do poziomu prasy plotkarskiej, która zresztą z wdzięcznością podchwyciła temat.

I jeszcze ostatni akapit listu, w którym autor anonsuje światu, że dopiero w wieku 68 lat zaznał prawdziwej miłości od kobiety, która jako jedyna jest w stanie kochać go naprawdę bezinteresownie i całym sercem, dając mu poczucie całkowitego zjednoczenia i szczęścia. O swoim pożyciu seksualnym z Valerie Fletcher w liście nie wspomina. Za to opisuje je dość dokładnie i bardzo otwarcie w powstałych w okresie ich małżeństwa wierszach o „Wysokiej dziewczynie".

Jej listy

Miłość do Emily, pisze Eliot, była nie więcej niż „duchem ducha", a listy, które do niej wysyłał – listami „człowieka majaczącego". W świetle stwierdzeń dokumentu, który skierował do nas, można by się spodziewać, że również te majaczenia okażą się pokazem bezduszności, braku empatii i egocentryzmu ze strony człowieka pełnego zahamowań i spętanego narzuconymi sobie nakazami religijno-obyczajowymi. Aby się w pełni przekonać, trzeba pojechać do czytelni Firestone Library w Princeton albo poczekać na zapowiadaną na 2021 r. publikację wydawnictwa Faber. Tymczasem dzięki wspomnianemu blogowi na stronie T.S. Eliot Society można dowiedzieć się sporo o pojawiających się w korespondencji tematach i wątkach. Prócz niezwykle wzruszających osobistych wyznań, wprost świadczących o tym, jak szalenie ważna jest dla Eliota jako człowieka i jako twórcy ich adresatka, w listach znajdują się autokomentarze poety. To bezcenne źródło wiedzy na temat procesu twórczego Eliota, powiązanych z nim wydarzeń i okoliczności, bezpośredni dostęp do kontekstów i tła poematów.

Dzięki Frances Dickey wiemy już teraz, że w grudniu 1930 r. Eliot miał plany dotyczące zdeponowania listów od Emily Hale wraz z innymi dokumentami w Bibliotece Bodlejańskiej w Oksfordzie – z klauzulą, że dostęp do nich ma być otwarty po 60 latach od jego śmierci. Jaki był powód? Otóż widząc, jak mylne są wnioski dotyczące znaczenia jego dzieła, poeta chciałby zasugerować interpretacyjne poprawki: prawda o jego wierszach jest znacznie prostsza, niż się wydaje krytykom. Jak bohater jego wiersza, Prufrock, Eliot mówi więc: „To nie to, o co mi szło. Nie to, daję słowo". W jednym z listów stara się wręcz przekonać Emily, żeby nie miała obaw co do tego, że w ten sposób zdradzone zostaną ich osobiste sprawy, bo przecież kiedy nie będzie już osób, których dotyczyły, stracą znaczenie.

Eliot pragnie zachować jej listy nie dla sławy, ale po to, by po śmierci zyskać prawdziwe zrozumienie, a listy Emily mają być dla przyszłych pokoleń kluczem do jego twórczości. To nie jego listy, ale te do niego kierowane są tu ważne. W 1932 r. Eliot pisze do niej, że jego przesyłki pozostają własnością korespondentki, która może z nimi uczynić to, co uzna za stosowane – oddać do Bodlejanki lub przekazać w inne miejsce, np. do Princeton, co rozważała ze względu na znajomość z tamtejszym profesorem literatury.

Być może w kolejnych pudłach znajdzie się dowód na to, że Eliot zmienił w tej kwestii zdanie, oraz ewentualne wyjaśnienie poczucia nieprzyjemnego zaskoczenia, z którego zwierza się w nieszczęsnym liście zza grobu. Wydaje się zatem, że Emily Hale przekazując zbiór do biblioteki w Princeton w istocie spełniła życzenie swojego przyjaciela. Tymczasem kolekcja cennych listów pióra Hale, która miała trafić do Oksfordu, nigdy się tam nie znalazła i nie będziemy mogli się z nią zapoznać. W 1963 r., niecałe dwa lata przed śmiercią, kiedy list Eliota do potomności już czekał na otwarcie, poeta przekazał skrzynkę wypełnioną listami swojemu koledze z redakcji wydawnictwa Faber and Faber, Peterowi du Sautoy z prośbą o ich spalenie. Du Sautoy, który wiedział o sekretnym związku Eliota z Hale, skrupulatnie spełnił tę prośbę Eliota.

W napisanym dla Emily Hale poemacie „Burnt Norton" Eliot mówi:

Co mogło było być, jest abstrakcją
I ciągle trwa jako możliwość
Jedynie w świecie spekulacji.
Co mogło było być i to, co było,
Jeden ma kres, teraźniejszy wiecznie.
Echo stąpania dudni nam w pamięci
Przejściem, w któreśmy sami nie wchodzili nigdy,
Ku drzwiom zamkniętym, których nie otwieraliśmy nigdy,
Do różanego ogrodu. Tak echem w pamięci
Są wam i moje słowa.

© MAGDA HEYDEL

Fragmenty „Ziemi jałowej" i „Burnt Norton" w przekładzie Czesława Miłosza. Fragment „Pieśni miłosnej J. Alfreda Prufrocka" w przekładzie Adama Pomorskiego. Blog Frances Dickey ze sprawozdaniami z archiwum Emily Hale: tseliotsociety.wildapricot.org/news

STANISŁAW

Mancewicz:
Krzesanie

Warto od czasu do czasu podjąć próbę rozpalenia choćby skromnego ogniska troski i życzliwości. Wobec władz oczywiście. Jest to zajęcie ogromnie męczące, z dnia na dzień trudniejsze, wymagające bolesnego krzesania i prób rzucenia iskry na mokrą hubkę. Siwy dym z tego idzie zaledwie. Jest to jak walka o ogień – nie bójmy się tego porównania – człowieka pierwotnego z jego marzeniami o zjedzeniu ciepłej zupki, gdy sprzykrzy się gryzienie surowego amonitu bądź paproci, rzecz jasna kopalnej. Słowem, idzie nam tu o dobrą wolę, o którą jakże trudno, ale też o sens.

Naturalnie ostatnie wydarzenia jeszcze utrudniły nasze podejście do spraw państwa i władz jego, a to dlatego, że nastroje przypominające przeddzień stanu wyjątkowego napawają nas zawsze odrazą, ale przede wszystkim politowaniem. Stan gruntownej rozsypki, owa mityczna, ale dosłowna skłonność do destrukcji maskowana minami à la Duce – wszystko to nie może skłaniać do akcji miłosnych. Władze nasze zaiste wprawiają nasz korpus w stan bezustannego kiwania, przód-tył, lewo-prawo, tik i tak. Czy chcą one – władze – ognia naszej życzliwości i troski, czy nie chcą, pytamy? Raz się wydaje, że owszem, że – powiadają – lepiej będzie, gdy władze poprzemy, bowiem ona da nam i polską tożsamość, i forsę. Dla każdego dziecka jest już jasne, że tożsamość polska jest ściśle reglamentowana, jak ongiś buty. Forsa zaś jest uzależniona od okazywania tożsamości i nie mamy tu na myśli pokazywania dowodu osobistego. No więc chcielibyśmy bardzo mieć kwit na polskość i być nową elitą, co mogłoby nam otworzyć bramy do bycia kimś dziś. Już, już zaczynamy kombinować w temacie lojalek i czynienia hołdów, czołobitności, samokrytyk i tym podobnych objawów gibkości, ale oto mija chwilka, i to wszystko staje się nieaktualne, i po nic. Tożsamość nam władza odbiera, zanim ją dała, a forsę daje sobie.

Mamyż więc – pytamy – pracować nad sobą dla poparcia partii i władzy czy nie mamy? Przecież to nie jest praca na pół dnia bez ZUS-u, a etat życiowy niemal. Owszem, nasza elastyczność jest gumowa, ale i guma ma swe sztywne parametry rozciągliwości. Kiełkuje w nas podejrzenie, że władza nie wie, o co jej chodzi, komu ona kibicuje i czy chce naszej troski i życzliwości. Rzec trzeba, że w świetle naszej nieskomplikowanej umysłowości mamy trudny dylemat. Czy oto mamy hajlować, czy mamy nie hajlować? Uczyć się obcych języków czy się nie uczyć? Czy mamy czytać konstytucję, czy mamy uważać, że to jest czynność niewarta Zachodu w sensie dosłownym? Czy mamy – do diaska – sortować śmieci, i gdzie w trakcie tej czynności kończy się sortowanie, a zaczyna życie w śmiertelnym grzechu komunizmu? Te zagadki przerzynają nas jak – za przeproszeniem – PiS mierzeję. Nie do pojęcia to wszystko bez słownika jakiegoś odizolowanego plemienia, żyjącego na Księżycu, które patrząc zeń na Ziemię myśli, że to ser.

Mniej osobistą sprawą jest wrażenie, że owa władza nie wie, na co ma wpływ, a na co nie ma – dajmy na to w polityce zagranicznej. Czyimże, jako kraj inflacją wszystkiego płynący, jesteśmy wrogiem, a czyim przyjacielem? Nie wiadomo. Czy ktoś nas kocha, i kto to jest, czy nikt nas nie kocha? Wszystko jest tu zagadką. Szarzy, szarzyzną na granicy zzielenienia, chcielibyśmy wiedzieć cokolwiek. ©℗

BARTOSZ MINKIEWICZ

Kochani, jesteście ze mną co tydzień

a także:

„»Tygodnik« od kilku lat prenumeruje moja mama, która zawsze pożycza mi egzemplarz po jego przeczytaniu OD DESKI DO DESKI”

„Nic nie zmieni mojej opinii na temat »mojego« »Tygodnika«... bo lepsza być nie może”

„Cały mój kształt umysłu i duszy zawdzięczam lekturze Waszego pisma”

„Dziękujemy za jedyne pismo, które da się czytać z przyjemnością!”

„W mojej ocenie to najlepsze źródło informacji i opinii w Polsce”

„Nie chciałabym stracić żadnego numeru”

„Czysta przyjemność czytania”

„Dziękuję za to, że jesteście”

Jeśli możesz podpisać się choć pod jednym z tych cytatów – może czas dołączyć do prawie siedmiotysięcznej społeczności naszych prenumeratorów? Kupując abonament, wspierasz bezpośrednio misję „Tygodnika”, pisma niezależnego dzięki swoim Czytelnikom.
„Tygodnik Powszechny” w prenumeracie to także pewność otrzymania każdego egzemplarza; to – przy rocznej prenumeracie – niższa cena numeru; to zniżki na inne wydawnictwa „TP”; to nieprzypadkowe prezenty dołączane z myślą o Was.

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- internet na powszech.net/prenumeruj
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny
  ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków
  Bank Pekao SA
  nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987
- opłacenie osobiste w Dziale Prenumeraty „TP”, ul. Wiślna 12 w Krakowie, od poniedziałku do piątku w godz. 9.00–16.00

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate, na której podane są ceny

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa pod nr. tel. 12 431 26 83, tel. kom. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@tygodnik.com.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na powszech.net/ewydania

Pomocy przy problemach technicznych udziela Anna Dziurdzikowska pod nr. tel. 668 475 263 (w godz. 10.00–14.00) lub adresem e-mail: kontakt@powszechswiat.pl

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ*

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	370 zł	450 zł
Półroczna (26 numerów)	220 zł	270 zł
Kwartalna (13 numerów)	120 zł	140 zł
Pokolenia**	333 zł	
Karta Dużej Rodziny***	333 zł	

„TYGODNIK POWSZECHNY WYDANIE SPECJALNE” NA 2020 ROK W PRENUMERACIE WRAZ Z „TYGODNIKIEM”

	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna + 4 wydania specjalne	430 zł	510 zł
Pokolenia** + 4 wydania specjalne	393 zł	
Karta Dużej Rodziny*** + 4 wydania specjalne	393 zł	
4 wydania specjalne	69 zł	

* ważny od 1 grudnia 2019
** z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia
*** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

TYGODNIK POWSZECHNY

PARTNER MARKETINGOWY
SALES MANAGO
marketing automation

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

REKLAMA

DOROSNĄĆ DO NOWEGO ŻYCIA

Śmierć taty boli zawsze. Nawet jeśli się go nie pamięta.
Nawet jeśli był bohaterem i zginął na służbie.

Martusia ma 5 lat. Uwielbia lepić pierogi. Zuzia ma 4 lata i chce zostać nauczycielką. Tymon ma lat 6 i uwielbia budować wieże z klocków. Łączy ich śmierć tatusiów.

Cześć!
Mam na imię Marta. Mam 5 lat i chodzę do przedszkola. W przedszkolu lubię rysować i bawić się z dziećmi. Do przedszkola odprowadza mnie Mama. Bo ja nie mam Taty. Mój Tata jest w niebie. Umarł daleko od domu, kiedy bronił innych ludzi.

Tata Martusi, st. chor. Rafał Celebudzki, służył w Afganistanie. Zginął 16 września 2014 r., kiedy samochód kierowany przez zamachowca samobójcę wbił się w kolumnę polskich pojazdów. Zostawił żonę i dwoje dzieci. Kiedy zginął, Martusia miała miesiąc.

Cześć!
Mam na imię Zuzia. Mam 4 lata. Lubię śmiać się i dużo mówić. Mama mówi, że mam to po Tacie. „Po Tacie" t o znaczy, że jestem taka jak on, kiedy żył. Bo mój Tata umarł, kiedy walczył ze złymi ludźmi. Ja nie wiem jaki był mój Tata.

Tata Zuzi, st. asp. Cezary Mokrzewski, był specjalistą w Wydziale do Spraw Zwalczania Zorganizowanej Przestępczości Narkotykowej Centralnego Biura Śledczego Policji. Zginął 7 maja 2015 r. podczas konwojowania zatrzymanego. Zostawił trzyletnią córeczkę Hanię i żonę, która spodziewała się kolejnego dziecka. Zuzia przyszła na świat dwa miesiące po śmierci Taty.

Cześć!
Mam na imię Tymon. Mam prawie 6 lat. Lubię budować z klocków wieże. Takie ogromne – od ziemi do nieba. Bo tam w niebie jest mój Tata. Mój Tata umarł, kiedy pilnował porządku na drodze.

Tata Tymona, policjant mł. asp. Tomasz Frąszczak, pracował w Referacie Kontroli Ruchu Drogowego w Szczecinie. Zginął 7 sierpnia 2015 r., kiedy jechał motocyklem na interwencję. Zostawił żonę i dwóch synów. Kiedy zginął, Tymon miał półtora roku.

Pomóż mi dorosnąć do nowego życia, wejdź na stronę
www.dorastajznami.org
i zobacz, jak to zrobić.

Dziećmi poległych strażaków, ratowników górskich, policjantów, żołnierzy opiekuje się Fundacja Dorastaj z Nami. Finansuje pomoc psychologiczną, naukę i zajęcia pozalekcyjne oraz pomoc doradcy edukacyjnego.

Prosimy o wsparcie NR KONTA
29 1030 1508 0000 0008 1545 4006
Fundacja Dorastaj z Nami,
ul. Ogrodowa 7, 00–893 Warszawa
z dopiskiem „TP"

Fundacja
Dorastaj z Nami

Przekaż swój 1%
nr KRS 0000 361265

Brakuje mi
TATY!

Pomóż mi dorosnąć do nowego życia!

POMÓŻ

dorastajznami.org